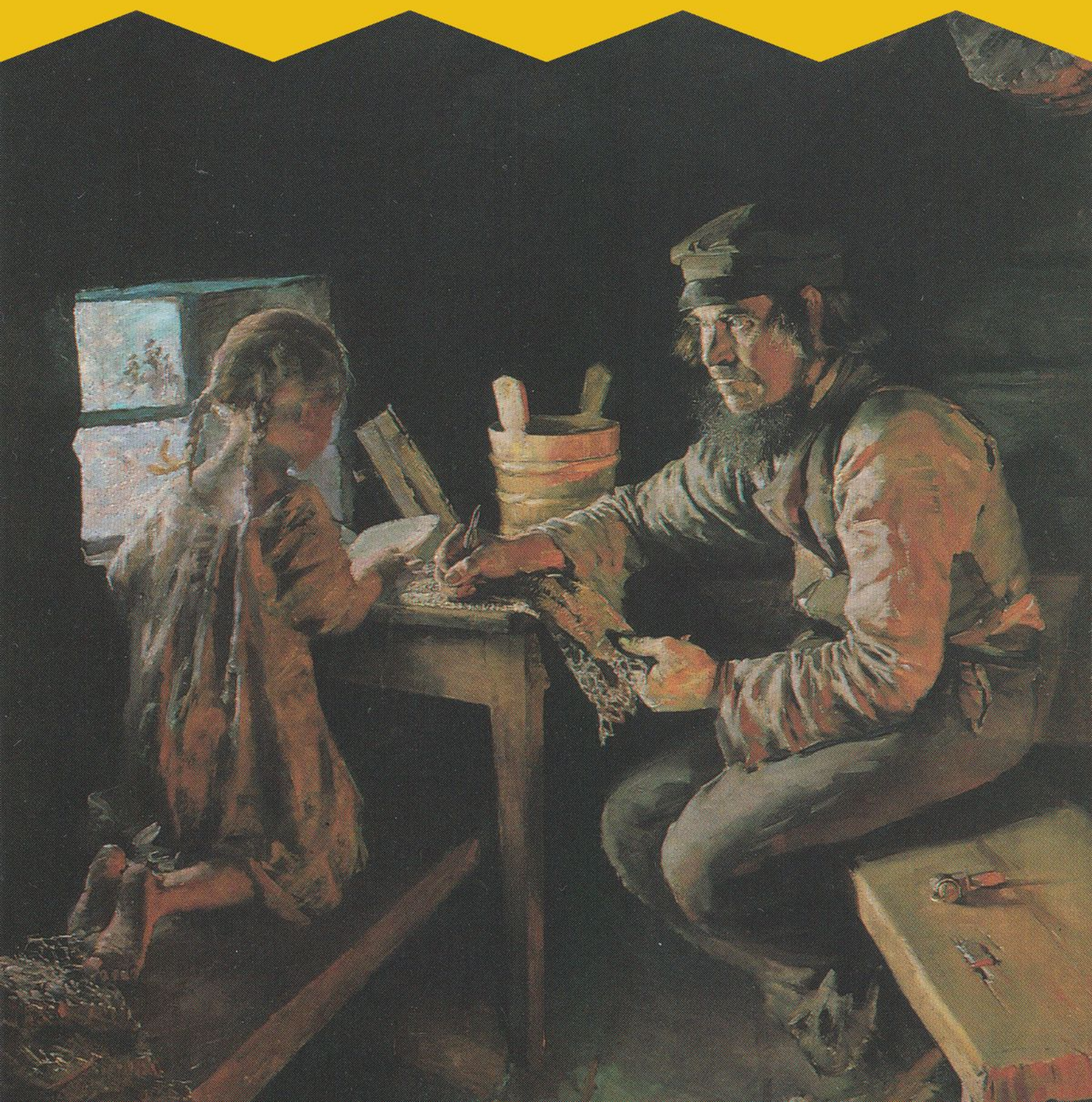


Joan. VIII 1-12



MARIA RODZIEWICZÓWNA

*Joan. VIII 1–12*¹

I

Gedras wyszedł na swój nocny dyżur, wstąpił do rządcy, zabrał klucze od bram i rozpoczął monotonną wędrowkę wśród zabudowań gospodarskich i fabrycznych. Chłop był młody, atletycznej budowy, ale kaleka, gdyż mu maszyna zmiażdżyła lewą rękę, i wskutek tego skazany był na służbę mało płatną i na pół próżniaczą. Od trzech lat był stróżem nocnym u pana Zaremby, który przy miasteczku posiadał folwark i fabrykę odlewów żelaznych i narzędzi. Gedras przybył nie wiadomo skąd, już kaleka, papiery miał w porządku, stanął na służbę i odtąd spełniał ją sumiennie, żyjąc, jak niektóre zwierzęta, tylko w nocy, znając wszystkich i znany wszystkim, a nieżyjący właściwie z nikim.

Tego dnia rządcą, słysząc, że zdejmuje klucze z gwoźdźcia u drzwi, rzekł doń, nie podnosząc oczu od rachunków.

— Nie odchodź od dworskiej bramy, bo pewnie goście z pociągu przybędą do pałacu. Jutro chrzciny panienki.

Gedras skinął głową, zatrzymał się sekundę, patrząc na ścienny kalendarz, jasno lampą oświetlony.

— To jutro dwudziestego szóstego kwietnia? — rzekł.

— No, jutro. Więc co? — odparł rządcą.

Gedras poczerwieniał, coś zamruczał i spiesźnie wyszedł. Klekotka jego odezwała się raz i drugi, coraz dalej, rządcą już zapomniawszy szczególnego pytania². Duży, ciemny cień stróża posuwał się z wolna od budynku do budynku.

Pałac był oświetlony, jeszcze się bawiono w salonie i służba się snuła, więc Gedras w swej wędrowce go omijał i skierował się ku spoczywającym, czarnym gmachom fabrycznym.

Robotnicy przychodzili co rana z miasteczka, nie było tam żadnych mieszkań, palacze dyżurni nocowali tylko przy kotłach, które rozpalano przed świtem. Reszta fabrykantów przychodziła na sygnał parowy o szóstej rano.

W kotłowni było jeszcze ciemno i cicho, ale gdy Gedras mijał ślusarnię, ujrzał w oknie światło i wszedł do środka. Nie było tam nic nadzwyczajnego; dwaj ślusarze, Józef Nowik i Hilary Arcimowski, stali przy warsztatach swych opodal jeden od drugiego i kończyli jakiś zapewne pilny obstalunek³. Dwie małe lampki wśród cieni wielkiej sali ledwie oświetlały schylone głowy i ręce pracujących.

Zresztą Gedras znał ich dobrze i rzekł:

— Długo jeszcze zabawicie?

— Jak się uda — odparł Nowik, szpakowaty, krępy majster, zajęty polerowaniem i dopasowywaniem jakiegoś trybu.

Drugi nic nie odparł, piłował coś zawzięcie i gwizdał. Gedras spojrzał nań przelotnie i jakby z niechęcią oczy odwrócił. Nie lubił Hilka. Nowik ozwał się wesoło:

¹Joan. VIII 1–12 — tytuł powieści Marii Rodziewiczówny stanowi dawne skrótowe oznaczenie (siglum) fragmentu Ewangelii Jana (dziś J 8,1–12). W początkowych wersjach ósmego rozdziału opisane jest, jak Jezus okazał miłosierdzie kobiecie oskarżonej o cudzołóstwo. Uczni w Piśmie i faryzeusze przyprowadzili ją do Jezusa, ponieważ zgodnie z Prawem Mojżeszowym kobieta powinna zostać ukamienowana. Jezus natomiast ku ich zdumieniu odpowiedział im słowami: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień”. Po tych słowach wszyscy oskarżyciele odeszli, a w końcu Jezus został sam z kobietą. Nie potępił jej, lecz wezwał do zmiany postępowania: „Idź, a od tej chwili już nie grzesz!”. [przypis edytorski]

²zapomniał szczególnego pytania — dziś raczej: zapomniawszy o szczególnym pytaniu. [przypis edytorski]

³obstalunek — zlecenie wykonania czegoś przez rzemieślników. [przypis edytorski]

— Przesiedzę choć do rana, ale zarobię pięć rubli. To do młyna tego dzierżawcy ze Sławek. Dobry człowiek, tak prosił, żeby na jutro wieczór dostał, bo mu młyn stoi.

— A to jutro nie wyśpieszycie⁴?

— Jutro u mnie święto. Chrzczyny.

— Oho, razem z panienką? A też dziewczyna?

— Aha. Baśka będzie.

— Dużo ich u was?

— Szóste. Będzie dycht⁵ trzy pary.

— Trudno nakarmić pewnie?

— At! Niegłodne tymczasem. Co robić, jak Bóg daje!

Hilek się roześmiał szyderczo.

— Niech no ładne będą, to i potem głodu nie zazną. Bóg daje dla chłopców na uciechę.

— Jak dla jakich chłopców i na co — mruknął Nowik.

— At, bab dla wszystkich jest do syta.

Nikt mu nie zaprzeczył. Wiadomo było w fabryce, że Hilek pomiatać mógł dziewczętami, bo sły za nim bandą, choć znany był hulaka, pijak i awanturnik.

— Ty także do tego młyna robisz? — spytał go Gedras.

— Nie, ja za Siwca kończę, bo rękę okaleczył.

— Dziw, że ci się chciało drugiego wyręczyć.

— Siwiec mnie przy okazji zastąpi.

Gedras posłyszał dzwonek u bramy i wyszedł śpiesznie. Myślał, że to od pałacu dzwonią, ale to do furty⁶ fabrycznej ktoś kołatał. Wyrzwał tedy i zobaczył wyrostka, syna mechanika.

— Czego? — począł parlamentować⁷.

— Czy Hilek tutaj? — odparł chłopak zdyszany.

— Tutaj. Czego chcesz?

— Mnie trzeba do niego na moment.

Gedras furtkę otworzył i poprowadził chłopca do ślusarni.

— Hilek! Wyjdź no tu, coś ci rzeke! — zawołał chłopak.

Ślusarz głowę podniósł, poznał go. Oczy mu źle zabłyśły.

— Czegoś tu? Gadać! Nie mam czasu twoich sekretów słuchać! — krzyknął.

Chłopak się zawahał, potem podszedł do niego i począł zdyszany szeptem:

— Józia prosi... żebyś przyszedł do nas. Zachorowała... i matka ją chce wypędzić.

— To niech wypędzi! Mnie co do tego!

— Ona strasznie płacze i prosi, żebyś ją ratował. Matka też powiada, że jak przyjdiesz, to jej nie wygoni.

— Idź do stu diabłów! A mnie co za mus czy interes do was chodzić i godzić baby?

— Mus, nie mus — ozwał się Nowik — ale po sumieniu, to ci wypada tam iść. Zgubiłeś pocziw⁸ dziewczynę.

— Jakem zgubił⁸, to szukać nie myślę ani pilnować takich pocziwych. Jak się wam spodobała, to wy ją sobie znajdźcie.

Chłopak stał, patrząc na niego.

— To ty naprawdę nie pójdziesz? — spytał innym tonem, skupiając się jakby w sobie.

Hilek za całą odpowiedź z błyskawiczną szybkością kopnął go nogą. Ale chłopak uskoczył i plunął mu w twarz.

— Hycel!⁹ — syknął zajadle.

Ślusarz rzucił się nań, chwycił za włosy, jął pięściami okładać. Ale wtem poczuł na

Kobieta, Mężczyzna,
Obyczaj

Kobieta, Mężczyzna,
Obyczaj

Bijatyka

⁴wyśpieszyć — przyspieszyć coś, pospieszyć się lub sprawić, że coś zostanie wykonane szybciej; zdążyć coś zrobić. [przypis edytorski]

⁵dycht (z niem.) — akurat, w sam raz [przypis redakcyjny]

⁶furta — jednoskrzydłowe, ciężkie drzwi w murze lub w bramie. [przypis edytorski]

⁷parlamentować (z fr.) — wchodzić w porozumienie lub układy z nieprzyjacielem; tu: wchodzić w dyskusję. [przypis edytorski]

⁸jakem zgubił — przykład ruchomej końcówki fleksyjnej czasownika; inaczej: jak zgubiłem. [przypis edytorski]

⁹hycel — tu obraźliwie: hultaj, nicpoń. [przypis edytorski]

karku jakieś kleszcze, które go uniosły w górę, potrząsnęły, zdławiły i cisnęły z rozmachem w próżnię. Zatoczył się, padł na ziemię i na chwilę stracił przytomność.

— Idź! Masz jego odpowiedź! — rzekł Gedras do chłopca, popychając go do drzwi, potem się odwrócił.

Hilek się zerwał, stał przed nim i pięściami wygrażał.

— A ty, mańkut¹⁰, psiakrew, jak śmiesz mnie tykać? Won, ty sam! Spuścili cię, psie, z łańcucha, żebyś czekał na podwórzu, a nie wtrącał się do naszych spraw! Żebyś nie był kaleką, to byś poznał mnie!

— Ja cię i tak znam. Mnie do twoich spraw nie interes, ale na brudy nie pozwolę. Wychodź albo pracuj, jeśli nie chcesz, bym cię u rządcy meldował!

Hilek popatrzył nań krwią zabiegłymi oczyma, nic nie rzekł, wrócił do swego warsztatu, zebrał narzędzia i wyszedł.

Gedras szedł za nim, gdy go Nowik z cicha zawołał:

— Dogoni chłopca i utłucze.

Stróż ruszył ramionami z obojętnością, jakby mówił: „Poza obrębem fabryki ja nic nie pomogę”, i Nowik został sam.

Po długiej chwili Gedras wrócił.

— Poszedł?

— Zemknął¹¹. Furtkę chłopak zostawił otwartą, jużem¹² go nie dogonił.

— Aleś ty siłacz! Jak szczeniaka za kark podniósł. Musiałeś ty mieć moc, jakieś cały był.

Gedras usiadł, zapalił papierosa.

— Słabszym był wtedy — rzekł powoli. — Moc nie w rękach, a pięść ślepa rzecz i niesprawiedliwa być może.

— Na Hilka słuszna była.

— Zdarzyło się. Ale taka moc często słabszego ukrzywdzi, przed silniejszym stchórzy. Niewielka sława. Nie pożałowałem ni chwili, gdy mi ją odjęli.

— Gadasz! Ja bym ta nie chciał na twoim miejscu być. Szczęście, żeś nie familijny, dlatego mędrkujesz.

— Ja też się dołą nie szczycę, tylko moje kalectwo nie ta ręka. Nie cała zgryzota nie mieć czym robić¹³.

— Albo co?

— Bywa gorzko nie mieć dla kogo robić.

— Ot, bieda, to się ożeń. Ja ci zaraz tuzin naraję¹⁴. Wszystkim dziw, żeś taki młody i jak mnich żyjesz w kawalerskim stanie.

— Ja nie kawaler. Pięć lat temu, akurat dziś ten dzień, żona mi umarła.

— Aa?! — zdziwił się Nowik. — Myślałem, żeś kawaler. Nigdy nic o sobie nie powiesz.

— Nieciekawe opowiadanie. Nie ma jej — i nie będzie. Wspomniałem, że to dziś rocznica.

— No, pewnie, pięć lat, kawał czasu. Już ci próchnieć nie warto przez to całe życie. Kawaler, a wdowiec bezdzietny — to jedno. A ile ci lat?

— Trzydzieści.

— Bierz Wiktę Zorkównę! Ja cię wyswatam, ot, jutro u mnie na chrzcinach się spotkacie. Przyjdź, ludziom się po dniu pokaż.

Gedras popatrzył na mówiącego, jakby się wahał, chciał coś powiedzieć, ale słowa nie wymówił i prędko wyszedł. Nowik ramionami wzruszył.

— Temu bednarza do łba trzeba — zamruczał.

Samotność

¹⁰mańkut — osoba leworęczna. [przypis edytorski]

¹¹zemknąć — uciec. [przypis edytorski]

¹²juzem go nie dogonił — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: już go nie dogoniłem. [przypis edytorski]

¹³Nie cała zgryzota nie mieć czym robić — inaczej: Cała zgryzota nie na tym polega, że nie ma się czym robić (pracować). [przypis edytorski]

¹⁴naraić — tu: polecić komuś kandydata na męża lub kandydatkę na żonę. [przypis edytorski]

Stróż, wyszedłszy z warsztatów, ruszył drogą prosto w najdalszy kąt gumna¹⁵, obejrzał się parę razy za siebie, czy go kto nie widzi, skrył się za węgiel¹⁶ stodoły i tam padł na ziemię. Leżał nieruchomy, jak martwy, słychać tylko było jego ciężki oddech.

Od miasteczka zbliżał się po szosie turkot, potem dzwonek u pałacowej bramy zadźwięczał. Gedras się zerwał, biegł na służbę. Byli to goście z kolei na chrzciny panienki.

Zajechało przed pałac kilka dorożek, wszczął się ruch i gwar; dorożki puste odjechały, stróż bramę zamknął i rozpoczął znowu swą monotonną wędrówkę. W miarę postępu nocy gasły wszelkie odgłosy i światła. Już Nowik odszedł, już pociemniał pałac, już ostatni pociąg przeszedł, rozdarłszy powietrze gwizdem, zadudniwszy głucho po moście naprzeciw fabryki, tylko klekotka Gedrasa rozlegała się od czasu do czasu lub w stajniach parsknął koń.

Gedras zmęczony się. Usiadł na ziemi pod murem, objął ramionami kolana, złożył na nich głowę i tak, skulony, zdawał się drzemać. Nagle głowę podniósł; za murem, szosą ktoś szedł. Kroki były powolne, wlokące się, ustawały, czały się może po złodziejsku. Stróż uszu nastawił, czatował, patrzył na wierzch muru, spodziewając się, że ów spóźniony gość zechce się tamtędy wdrapać.

Nagle kroki ustały, coś, a raczej ktoś upadł i zajęczał, zawył, zaskomlał, jak trafiony strzałem pies włóczęga. Nic ludzkiego nie było w tym okrzyku, ale był tak przejmujący, że Gedras się zerwał i pobiegł do bramy.

„Ktoś ginie!” — myślał, otwierając furtę i ręce mu się trzęsły ze zgrozy.

Wyjrzał na drogę, pusta była i głucha; opodał, pod murem, w mroku szarzał jakiś przedmiot.

Był to człowiek skulony, skręcony jak szmata, nieruchomy, zapewne martwy.

Gedras się na sekundę zawahał, czy nie obudzić rządcę, ale doleciał go znowu ów jęk, rzucił się tedy¹⁷ naprzód.

Na skraju szosy, w kałuży, leżała kobieta, łachmanami ledwie okryta. Na widok zbliżającego się człowieka starała się dzwignąć, uciekać zapewne, ale nie zdołała, poderwała się na rękach i opadła z głuchym jękiem:

— O, Jezu!

— Co tobie? — spytał Gedras.

— Ratujcie! Umieram! — wybelkotała, wijąc się po ziemi.

Potem się wyprężyła i tylko żalosny jęk wyszedł z gardła.

Chwilę się zawahał, czy ją dzwignie swą jedyną ręką, czy iść po pomoc, potem się schylił, spróbował i aż się zdziwił, że człowiek może być tak lekki. Pod ramiona ją wziął, okaleczonym ramieniem podtrzymał za nogi i poniósł. Zajmował on przy bramie malutki domek o jednej stancji¹⁸, tam ją wniósł i na swym tapczanie umieścił. Potem zapalił lampkę i przyjrzał się swej zdobyczy.

Było to prawie dziecko, drobne, wątłe, bose, w szmatach obłoconych i podartych. Z twarzy sinobladej patrzyły nieprzytomne, zgrozy i osłupienia pełne, wielkie oczy, czarno okrażone. Spod chustki wypływały na twarz potem zlane kosmyki ciemnych włosów. Oczy były rozwarłe, ale nic nie widziały z otaczających przedmiotów, patrzyły w jakąś straszną, czarną otchłań, widziały już — śmierć. Dreszcze wstrząsały całym ciałem, zęby szczękały, ręce odrzucone wpijały się palcami w próżnię, jakby się konwulsyjnie chciały uchwycić życia. I znowu zawyla przeciągle, żałośnie. Pochylił się nad nią i nagle odskoczył przerażony. Zrozumiał, że to dziecko miało zostać... matką.

Przez chwilę zdreptał z wrażenia, twarz mu się skurczyła, zbieleły usta, potem postawił lampkę na stolku i pobiegł do mieszkania rządcy, i począł stukać w okno.

— Co tam? — rozległ się po chwili zaspány głos.

— Proszę pana! To ja, stróż.

Rządca się zerwał, przyskoczył do okna, otworzył lufcik¹⁹.

— Co? Pali się?

— Nie, proszę pana, ale u mnie kobieta rodzi...

¹⁵*gumno* — budynek, gdzie składowano zboże przed wymłóceniem. [przypis edytorski]

¹⁶*węgiel* — róg; miejsce zetknięcia się dwóch ścian zewnętrznych budynku. [przypis edytorski]

¹⁷*tedy* (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

¹⁸*stancja* (daw.) — pokój, sypialnia. [przypis edytorski]

¹⁹*lufcik* — mała szybka w oknie, dająca się osobno otwierać. [przypis edytorski]

— Co? Jaka kobieta? Pijanyś, szelmo!
— Proszę pana, znalazłem za bramą! Co robić?
— Idź mi do stu diabłów! Budzi mnie dla takich bredni. Kto ci kazał zbierać po drodze baby rodzące? I do mnie z tym przychodzi! Jakiś sobie to zwlekle²⁰, to sam pilnuj! A to mnie huncwot²¹ wystraszył!

Łufcik zamknął z pasją i snadź²² uspokoił żonę, bo po chwili rozmowy zaśmiali się oboje i rządcą legł, światło zgasło.

Gedras pozostał bezradny pod oknem. Połajanka²³ rządcy, a potem śmiech oprzytomniły go.

Prawda, sam sobie biedy napytał, teraz nie wiedział, co robić. Budzić pałacowej gospodyni nie śmiał, więcej kobiet nie było we dworze, on sam pojęcia nie miał, jak ratować położnicę. Poszedł do swego domku, ale mu było straszno wejść. Pomyślał, żeby do miasteczka po kobietę skoczyć, ale nie wolno mu było wydalać się w nocy poza obręb obojścia, więc stał na drodze, wahający się, przerażony, rozglądając się wokoło. Wtem posłyszał około kotłowni ruch. To palacze rozpoczynali pracę.

Zaspani, zmęczeni raczej niż wypoczęci parogodzinnym snem na ziemi, krzątali się leniwie, ziewając, i mrużąc pacierze. Jeden wrzucał polana²⁴ w czeluść, drugi łupał podpałki. Nawet się nie obejrżeli, gdy stróż stanął we drzwiach.

— Wiecie, co mi się przytrafiło? Poratujcie, ludzie! — zawołał. — Słyszę, na szosie ktoś jęczy, wyszedłem, patrzę, kobieta leży. Podniosłem jak drewno, przyniosłem do izby, a ona rodzi.

Palacze na razie zdumiali.

— Któż ona? Jaka?

— Nie wiem, nie znam!

— Eee!... pewnie mechanikowa Józia... — Jeden się zaśmiał, a drugi obojętnie dorzucił:

— Rodzi... no to będą chrzciny.

Ale ich ten wypadek rozbudził, zajął.

— Po drogach szelmy²⁵ zlegają jak suki! — splunął młodszy.

— Nieznana, mówisz, toć mechanikową znasz? Któraż to być może? — rzekł starszy.

— Żadna z fabryki ni czeladzi. Mała, czarna, ot tyle, dziecko! Jęczy, że aż mi straszno wejść. I co ja poradzę? Ja tu ciebie, Wiktor, zastąpię, skocz po jaką babę, ty wiesz, gdzie która mieszka, mnie nie wolno odejść.

— Udurzał ty²⁶? Ani myślę! — oburzył się młodszy palacz. — Mam po akuszerki²⁷ biegać! A toć mnie cała fabryka na pośmiewisko poda, a moja żona, co? To już wtedy do domu nie zachodzi!

— No, to co ja mam robić?

— Idź do rządcy i melduj!

— Byłem! Wyłajał²⁸ i przepędził.

— Boś durny — zdecydował starszy palacz. — Po coś ją brał z drogi? Musi być ostatnią łajdaczką!

— Ja brałby i psa, żeby tak skomlił! Co wiedziałem? A choćbym i wiedział, tobym też sprzątnął, żeby koń nie potratował na drodze. Jakże zostawić? Pijaka na brzeg się ściąga, żeby pod kołami nie był.

— Pijak, co innego. Przytrafi się upić najporządniejszemu, a taka...

— Idźcie wy po babę, Antoni — błagalnie rzekł Gedras. — Dam wam rubla, i babie, ile zechce, ale tak nie można bez ratunku człowieka zostawić.

— Jaki to człowiek? Tfu! — splunął stary palacz, a młodszy się zaśmiał.

Kobieta, Obyczaj

²⁰jakiś (...) zwlekle — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak zwlekleś. [przypis edytorski]

²¹huncwot — nicpoń, łobuz. [przypis edytorski]

²²snadź — widocznie, zapewne, najwyraźniej. [przypis edytorski]

²³połajanka — ostre słowne potępienie czyjegoś zachowania. [przypis edytorski]

²⁴polano — drewno przeznaczone na opał. [przypis edytorski]

²⁵szelma — oszustka, łajdaczka, łotrzyca. [przypis edytorski]

²⁶Udurzał ty? (gw.) — Oszalałeś? [przypis edytorski]

²⁷akuszerka (daw.) — położna. [przypis edytorski]

²⁸wyłajać — udzielić ostrej reprymendy; skarcić. [przypis edytorski]

— Gedras, coś ty bardzo hojny. Może ciebie sumienie gryzie, a ta wiedziała, gdzie, do kogo idzie.

Stróż się zatrząsł.

— Nie kpij, Wiktor! Nie godzi się! Proszę was z duszy, poratujcie!

— Nu²⁹, daj rubla, to i tytoniu kupię przy tej okazji, i moją starą sprowadzę. Dasz jej rubla, ona znająca kobieta.

— Dam! Ot macie! — odparł Gedras, wydobywając woreczek z pieniędzmi.

Odliczył srebrem dwa ruble, palacz je starannie odrachował³⁰, schował, nie kwapiąc się³¹, zbierał do odejścia, szukając czapki, podpasując³² kozuch, dając Wiktorowi rozporządzenia co do kranów i wentyli.

— Idźcie już! — nalegał Gedras.

— Ot, nic pilnego! Widać, że ty raz pierwszy w takiej okazji. Będzie jeszcze moja siedzieć nad nią cały dzień, obiadu mi nie zwarzy³³. A gdzie moja fajka?

Marudził jeszcze długą chwilę, a wreszcie poszedł.

Gedras go przez furtę przeprowadził i wrócił pomagać Wiktorowi. Czas mu się wydawał bardzo długim, a wreszcie i rzeczywiście minęła godzina jedna i druga, kotły były rozpalone, para zebrana, na niebie czynił się ranek, palacz nie wracał. Gedras wyszedł do bramy, otworzył ją. Robotnicy już szli drogą, sygnał parowy grał, zaczynał się pracowity dzień.

Nareszcie na końcu roboczej czeredy³⁴, nie kwapiąc się, ukazał się palacz z żoną, opowiedzieli już wypadek; kto tylko miał stróża, rzucił mu gruby żart lub pytanie, rozlegały się drwiące śmiechy i przewiska. Ten jakby nie słyszał, poprowadził kobietę do swej budy.

Weszli, lampka dogasała, kopiąc, ale już izba pełna była wiosennej zorzy słonecznej i w tym blasku złotoróżowym, jak czarna plama, jak brudna szmata, leżała na ziemi kobieta z głową odrzuconą sztywnie, z wyprężonymi w kurczu rękoma, wpólnaga, bez jęku już i skargi.

— Co jej? — zagadnął Gedras, stając w progu.

— A toć już trup! — krzyknęła baba i przypadła do ziemi.

Gedras oparł się o futrynę drzwi i zdrętwiał.

— Jezus, Maria! — wołała baba przerażona. — A dziecko jeszcze żyje. Może i ją by docucić jeszcze można. Leć po doktora, po gospodynię od pańskich dzieci!

Gedras rzucił się na oślep do pałacu. Już się niczego i nikogo nie bał ani się nie wahał. Już nie nędzarz chory potrzebował ratunku, już w jego chacie była wielmożność śmierci. Na alarm trupa poruszyli się wszyscy: rządca, gospodyni, lokaje, nawet brat pani, przybyły na chrzciny, a doktor z zawodu. Po chwili tłum otoczył domek stróża i wewnątrz pełno było ludzi i gwaru.

Doktor odstąpił pierwszy, nie miał co robić. Popatrzał na zmarłą, złożoną na tapczanie, sztywną, białą, bez kropli krwi, obnażoną na pastwę oczu motłochu i wzdargi ludzkiej, otarł ręce, dobył portmonetkę, wyjął rubla.

— Na pogrzeb! — rzekł, rozglądając się, komu by ofiarę doręczyć.

Usunęli się wszyscy.

Wtedy Gedras z tłumu wystąpił, ściągnął ze siebie kozuch i okrył nim trupa, potem klęknął, i przeżegnawszy się, począł cicho pacierze.

W izbie nagle ucichł gwar, tłum się cały przeżegnał, jedna z kobiet zdjęła ze ściany gromnicę, zapaliła. Żółty płomyk chybotął się i kopcił, a słońce, coraz wielmożniejsze, zalewało izbę — i była chwila jasnej ciszy.

Brzęk szabel wezwanej policji przerwał skupienie. Dozorcy fabryczni i folwarczni zapędzili gapiów do roboty; doktor, położwszy na stole rubla, wyszedł. Zostało kilka kumoszek³⁵, rządca, Gedras i policja. Zaczęto badać stróża. Opowiedział po raz setny wypadek. Zmarła była wszystkim nieznana, nikt jej w nocy nie spotkał.

²⁹nu (gw.) — no. [przypis edytorski]

³⁰odrachować — odliczyć pewną liczbę, kwotę. [przypis edytorski]

³¹kwapić się — spieszyć się; por. skwapliwie. [przypis edytorski]

³²podpasować — dopasować. [przypis edytorski]

³³zwarzyć — tu: ugotować. [przypis edytorski]

³⁴czereda — grupa ludzi. [przypis edytorski]

³⁵kumoszka (daw.) — kobieta gadatliwa i wścibska. [przypis edytorski]

Śmierć

Trup, Obyczaje

Przeszukano odzież, nie znaleziono ani pieniędzy, ani papierów, tylko z prawej dłoni, kurczowo zaciśniętej, wydobyto jakąś szmatkę na zerwanym sznureczku. Był to szkaplerz Serca Jezusowego i medalik ostrobramski. Zerwała je snadź³⁶ z szyi w agonii.

Policja spisała protokół i odeszli. Zajęcia domowe odwołały część kobiet, już tylko został rządcą, Gedras i gospodyni dworska, stara Jankowska.

— A cóż z dzieckiem będzie? — rzekła, zaglądając w garść szmat, leżących na ławce pod piecem. — Jeszcze żyje. Trzeba by prędko ochrzcić, nim zastygnie. Dziewczynka.

Gedras rozwinął szmaty, rozległ się cichy pisk, ujrzał drobinę nagą, siną, otwartą, a nic jeszcze niewidzące oczy; przypadł u ławy na kolana i nie wiedząc, co robić, by to życie utrzymać, jął je rozgrzewać oddechem.

— Toć żyje! Jadłoby! — wyjąkał.

— Ale, posyłajże po mamkę³⁷! — urągała Jankowska. — Ot, ochrzcij prędzej z wody, bo zemrze lada moment.

— Coś ty narobił, osłe! — wybuchnął rządcą. — Teraz koszt pogrzebu, ciąganina, ambaras³⁸. Pani się zestraszyla podobno; w sam dzień chrzcina taki paskudny wypadek. Pewnie cię każą ze służby za to wygonić. Z dziesięć rubli to kosztować będzie, lichy wie za co i po co wydatek.

— Ja sam zapłacę, ja sam! — rzekł Gedras. — To dla mnie Bóg zesłał. Ja tę pochowam, a tę wychoduję, niech żyje. Od Boga mi to, od Boga.

Był bardzo błady, wargi mu się trzęsły, urywane padały słowa.

— Sfiksował — ruszyła ramionami Jankowska.

Lokaj z pałacu wpadł, wzywając rządcę. Stara też się ruszyła i wyszła, mówiąc:

— Po chrześcijańsku ci radzę, ochrzcij, a to grzech będziesz miał, jak tak zamrze.

— Przyslijcie mi kapkę mleka — zawołał za nią błagalnie Gedras.

Pozostał sam i zrozumiał, że oprócz ciekawości próżnej, nic od ludzi mieć nie będzie. Położył tedy dziecko na powrót przy ciepłym piecu, pobiegł do pachtu³⁹ po mleko. Dano mu butelkę ciepłego jeszcze.

Trudno mu było dać sobie radę jedną ręką, ale wreszcie, udarłszy kawałek koszuli, zrobił smoczek, wziął dziecko na kolana i spróbował napoić.

— Pij, nieboże, pij! Nie zmieraj mi — szeptał. — Toć Bóg cię mi tu zesłał, jakże masz zemrzeć. Ja tyle pokutował, żyj, Maniś.

Po twarzy puściły mu się gorące łzy, padały na twarzyczkę dziecka, były jego pierwszą w życiu kąpielą. Rozległo się mlaskanie, maleństwo chciało żyć — piło.

Przez łzy Gedras począł się uśmiechać.

— Stróż, duchem⁴⁰ do rządcy — ktoś mu, przebiegając, przez okno krzyknął.

Groza utraty służby, wydalenia, włóczęgi, oprzytomniła człowieka. Rozejrzał się po izbie, zatrzymał oczy dłużej na zmarłej, poczuł, że mu zimno bez kożucha, poczuł głód, jakiś strach przyszłości, gdzie pójdzie, co zrobi z dzieckiem, gdy go wygonią. Skurczył się, głowę zwiesił.

A potem przygarnął dziecko do siebie, pocałował, zawinął w szmaty, ułożył przy piecu, na siebie naciągnął starą kurtę i z głębokim westchnieniem wyszedł już na wszystko zrezygnowany.

Rządcę spotkał na podwórzu. Zły był i od razu począł krzyczeć:

— Ty sobie pamiętaj, żeby mi tego trupa do wieczora to nie było! Jakaś sobie sprowadził, to na własny koszt sprzątaj. A cicho, żeby w pałacu i słyhać nie było. Ja o niczym wiedzieć nie chcę, ani ambarasu z władzami. Marsz!

O wydaleniu nie było mowy. Gedras odetchnął i odszedł śpiesznie.

Wrócił do stancji, przebrał się odświętnie, wziął z kuferka pieniądze, drzwi za sobą zamknął na klucz i poszedł do miasteczka. Kupił trumnę, zamówił u znajomego kolonisty konia i furę, wydobył w policji potrzebne świadectwo i około południa zziąjany,

Dziecko, Obyczaj

³⁶snadź (daw.) — prawdopodobnie, zapewne. [przypis edytorski]

³⁷mamka — kobieta zawodowo trudniąca się karmieniem własną piersią cudzych dzieci. [przypis edytorski]

³⁸ambaras — trudna, kłopotliwa sytuacja; kłopot. [przypis edytorski]

³⁹pacht — dzierżawa; tu: budynek, w którym mieszkają osoby zajmujące się handlem nabiałem, dzierżawiące ten towar. [przypis redakcyjny]

⁴⁰duchem — prędko, bez zwłoki. [przypis edytorski]

w śmiertelnej trwodze o dziecko, stawiał się na plebanii. Proboszcz właśnie po sumie⁴¹ śniadanie pił, gdy Gdras stanął w progu z papierami w garści.

— A co tam? Czego wam potrzeba?

— Przyszedłem o pogrzeb prosić.

— Kto taki?

— Ja nie wiem, proszę dobrodzieja. Dziś w nocy nieznana kobieta u mnie w izbie zmarła przy porodzie. Świadcstwo od policji już mam. Pan kazał do wieczora trupa z dworu uprzątnąć. Zapłacę, ile dobrodziej każe.

— To mniejsza, ale jakże to? Kto? Zupełnie nieznana?

— Powiadają, że może z pociągu wysiadła w nocy. Nikt nie zna. Z drogi podniosłem i u mnie zmarła.

— A wy kto? Nie znam.

— Ja stróż nocny z fabryki pana Zaremby, Gedras.

— Katolik?

— Tak.

— Jakże, że cię nie znam. Nie pamiętam ciebie ani z kościoła, ani ze spowiedzi. Niedawno tu jesteś?

— Już trzy lata.

— U spowiedzi bywasz?

Spowiedź

Gedras milczał z oczyma wbitymi w ziemię.

— Nie bywasz? Czemu? — łagodnie ksiądz spytał.

— Po co? — wyrwało się głucho z piersi człowieka. — Nie godzi mi się do Boga chodzić. On wie, jaki ja.

Ksiądz uważnie na niego popatrzał.

— Dawno już u spowiedzi nie był?

— Pięć lat.

— A przedtem bywałeś?

— Bywałem.

— A lepiej ci tak nieumytemu tyle lat?

— Jak się kto w krwi ubrocy, to go nic nie obmyje.

Zapanowało milczenie.

— Pokaż papiery — rzekł ksiądz. — I opowiedz, jakieś tę kobietę znalazł. A dziecko? Nieżywe?

— Jeszcze żyło, jakem rano wychodził, ale tyle godzin. Już chyba nie zastanę.

Było coś łamiącego się w głosie, ksiądz dosłyszał.

— No, a jak jeszcze zastaniesz żywe? Toć ochrzcić trzeba. Cóż z nim zrobisz? Masz żonę?

— Nie. Sam jestem. Jeśli żywe zostanie, to będzie moje. Uchowam.

— Dobrą masz duszę. Zostawi ci je Bóg. Zobaczysz.

Gedras oczy podniósł. Patrzył na księdza, ciężko mu pracowały piersi, ale milczał.

— Teraz ci pilno do domu. Idź! Przed wieczorem przywieź zmarłą na cmentarz. Ja tam będę, każe mogiłę wykopać, pogrzebiemy. Jutro rano mszę za nią odprawię. Dziecko, jeśli będzie żywe, do chrztu przynieś. Nie lękaj się! Boży dom dla grzesznych, dla chorych, dla słabych, dla smutnych, a ja w nim sługa i lekarz.

— Ile dobrodziej każe zapłacić?

— Porachujemy⁴² się później, po chrzcie. Nie lękaj się, nie obedrę cię, wezmę, ile mi się należy.

Uśmiechnął się do niego życzliwie, pochylonego do kolan za głowę objął i odprawił słowem:

— Idź do dziecka! Żywe znajdziesz.

— Niech będzie pochwalony — wyjąkał, cofając się Gedras.

— Na wieki.

Teraz już biegł z powrotem, targany niepokojem, czy nie znajdzie w domu dwóch trupów. Ale dziecko żyło i pischowało z głodu. Nakarmił je i zajął się zmarłą. Izbę uprzątnął,

Ksiądz

⁴¹suma — uroczysta, główna msza odprawiana w niedziele i święta w Kościele katolickim. [przypis edytorski]

⁴²porachować (daw.) — uregulować rachunki z kimś. [przypis edytorski]

zwłoki ubrał w jakieś szmaty, które na dnie kufra chował po żonie, ułożył na tapczanie, świecę zapaloną i krzyżyk na stoliku postawił. Nie śmiał warzyć jadła, więc się chlebem posilił i stróżując tym zwłokom, przesiedział parę godzin obok dziecka na ławie, wyczekując trumny i furmanki.

Na widok trumny nadbiegła garstka gapiów. Gadali, przypatrywali się, krytykowali, dziwili, ale nikt pomóc się nie kwapił. Gedras sam kobietę na pościeli z wiór umieścił, obrazek święty w ręce włożył, zagwoźdździł wieko.

— Na cmentarz ksiądz nie przyjmie, zobaczycie — zdecydowali gapie.

— Jest za murem spory plac cholerników⁴³.

— Jużci kędyś zakopią⁴⁴ — odparł kolonista, ładując z Gedrasem trumnę na wóz, i zaciął konia.

Wóz się potoczył szybko. Gedras uczył się drabiny, zdając znowu dziecko na Opatrzność.

Chmurno było, deszcz mżył, wiatr napędzał słotę⁴⁵.

Kolonista zapalił fajkę i rozpoczął rozmowę.

— Myślicie dziecko chować?

— A cóż? Nie wyrzucę.

— Oddacie na mamki chyba.

— A kto to weźmie? A skąd zapłacę?

— Toć i mlekiem nie uchwasz. Zamrze. Dziecko nie ciele. Od byle czego zgaśnie. Ho, ho! Rodzona matka nie uchowa często, takie to delikatne.

— A bywa tak, że wszystko przetrzyma.

— Bywa, takie, co to nikomu nie miłe, to na złość żyć będzie. A wiecie, Józia, mechanika, syna miała. Sądny dzień tam u nich. Gałganstwo teraz między dziewczętami, o jakim dawniej i słyhać nie było. Ot, memu chłopcu żenić się pora. Strach pomyśleć, na jaką trafi.

— A toć gadali, że Wiktę Prozorowską brać będzie.

— Chciał, ale i ta nie lepsza. Latała za nim, latała, aż i wylatała. Kto by ją teraz brał? Podobno do Białegostoku do fabryki wyjeżdża. Wiadomo już, co to taka fabryka znaczy. Ot, ta, co wiem, pewnie też do takiej się wleka.

Kolonista splunął z niechęcią. Gedras milczał.

Jechali przez całe miasto, deszcz już padał gęsty i zmrok nadchodził, gdy stanęli u wrót cmentarza.

— Czyżby ksiądz zakrystiana⁴⁶ przysłał? — zdziwił się mieszczanin, poznając bryczkę i konie proboszczowskie w ogrodzeniu.

I zdumiał do cna, gdy z domku grabarza sam ksiądz wyszedł i grabarz z krzyżem, i poprowadzili trumnę, w daleki kąt, do wykopanej już mogiły.

Odśpiewano zmarłej ostatnie ziemskie pożegnanie, zasypano mogiłę. Żółty piasek i deszcz na nią płakał i zmrok ją pokrył wreszcie, i został kopczyk niewielki, z którego rychło⁴⁷ i śladu nie będzie.

A przecie przeżyła też życie. Była komuś droga i miła, matczyną może uciechą, człowieczym pożądaniem, mówiono jej „córus” i „kochanie”, śmiała się, bawiła, cieszyła życiem, śpiewała, roiła⁴⁸ o dobrej doli. I tak przeminęła, i tyle po niej zostało, co po zdeptanym na drodze motylu.

Milcząc, ludzie odeszli. Ksiądz odjechał, spytawszy Gedrasa o dziecko, przykazawszy, by je jutro do chrztu przyniósł. Grabarz i kolonista domawiali się o poczęstunek, więc stróż sprowadził wódkę i w domku grabarza pić poczęto, przeczekując deszcz. Gedras zabawił chwilę, potem wysunął się milczkiem i pobiegł do domu. Czekala go nocna służba. Jak zwykle, o przepisanej godzinie wszedł do rządcy po klucze.

Dziecko, Cięża, Kobieta,
Obyczaje, Pogarda

⁴³cholernik — tu: zmarły na cholere. [przypis edytorski]

⁴⁴jużci kędyś zakopią (gw.) — pewnie gdzieś zakopią. [przypis edytorski]

⁴⁵słota — deszczowa, ponura pogoda. [przypis edytorski]

⁴⁶zakrystian — sługa kościelny opiekujący się świątynią, przedmiotami liturgicznymi (naczyniami i szatami) oraz przygotowujący kapłanów do obrzędów w kościele rzymskokatolickim. [przypis edytorski]

⁴⁷rychło — szybko, wkrótce. [przypis edytorski]

⁴⁸roić — myśleć, marzyć o czymś nierealnym. [przypis edytorski]

— Aha, jesteś! Posyłałem po ciebie sto razy. Gdzie się włóczysz? — krzyknął nań rządcą.

— Chowałem tę kobietę.

— A to nie wiesz, że dziś w nocy magazyn okradli?

Gedras skamieniał.

— Nie wiesz! Naturalnie! Ty po szosie włóczęgów zbierasz, a spod nosa ci mosiądz wynoszą. Wiesz, ile wynieśli? Dwa pudy⁴⁹. Ktoś ma dorobiony klucz i gospodaruje jak u siebie, a ty niby wartujesz. Masz pięć rubli sztrafu⁵⁰, a jeśli nie odkryjesz, kto ukradł, to precz pójdziesz! Daję ci tydzień czasu!

Gedras stał i kombinował. Potem zabłysły mu zajadły⁵¹ oczy.

— To chyba Hilek, proszę pana. Dziś w nocy pracował w ślusarni do późna. On tego nigdy nie robił. Gadał, że za Siwca odrabia. Mnie się to wydawało podejrzané. Ja dojdę.

— Warto. Bo inaczej możesz się wynosić.

Gedras poszedł wprost do magazynu fabrycznego i zaczął oglądać, jak wyżeł⁵², drzwi, zamki, okna, drogę wokoło. Przeświadczenie miał, że to Hilek był sprawcą, bo już parę razy się zdarzyło, że z warsztatów to i owo ginęło, i w fabryce szeptano, że Hilek na pijatykę do Lejzora nosi różne fanty, miewa zawsze kredyt u Żyda.

Przypomniawszy sobie Gedras, że po rozprawie z chłopcem od mechanika Hilka już u bramy nie widział, został tedy prawdopodobnie w obrębie fabryki i potem przez mur się przedostał. Począł tedy tropić dalej i obszedłszy mur wokoło, w kącie, za oborami, znalazł drabinę porzuconą, jakby ją ktoś nogą strącił, a pełzając po ziemi, znalazł i rzemyk od paska z przerwaną sprzączką. Schował to skrzętnie, odkładając dalszy pościg do dnia.

Noc zeszła bez wypadków. Co czas jakiś stróż wstępował do swej izby, zapalał światło i zaglądał do poduszki na piecu. Gdy dziecko pisało, poił je ciepłym mlekiem, gdy znajdował śpiące, słuchał tylko oddechu, otulał i odchodził.

Tak mu zeszło do rana. Odnosząc rządcy klucze, pokazał pasek i poprosił o uwolnienie na cały dzień. Zwykle bowiem miał obowiązek otwierania bramy pałacowej dla gości.

— Dziś cię nie uwolnię. Przecie chrzciny. Kto u bramy będzie? — burknął rządcą.

— Poproszę kogo, co mnie zastąpi.

— Zaczynasz się włóczyć i opuszczać — fuknął rządcą, ale że formalnie nie zabronił, Gedras najął ogrodnikową na swoje miejsce, rubla jej zapłacił i zaczął się zbierać do odejścia.

Ubrał się odświętnie, znowu do kuferka po pieniądze sięgnął i niezdarnie zaczął dziecko do chrztu ubierać.

Ogrodnikowa weszła w tej chwili i poczęła się śmiać.

— Komedia, dalibóg, za biletami pokazywać! Co wy wyprawiacie z tą znajdą?!

— Toć trzeba wykapać. Do chrztu poniosę.

— Dajcież mnie, a to z waszych łap żywe nie wyjdzie! Patrzajcie, jaki jednak znający! I wody nagrzał. Pieluszki macie?!

Śmiała się, ale jej kobiecie serce rozczuliło się do maleństwa.

— Niebożatko, piskłę. Co winne? Ot, żyć chce. Jak to się skarży pokornie! Ot, jak sążone na świecie zostać, to wszystko przetrzyma. Nawet niezgorsze dziecko i zdrowe. Czarne ma oczka jak żuczek. No, nie płacz, wykapię cię, a jak będziesz grzeczna, to jeszcze cię i pokarmię. Ot, dola!

Gedras podarł parę swych koszul na pieluszki i przyglądał się kąpaniu, uczył się na niańkę.

Ogrodnikowa rozczuliła się, przemogła zupełnie wstręt cnotliwej mężatki i matki do dziecka występku i gdy było wykąpane i spowinięte⁵³, dała mu ssać na drogę do chrztu.

— Sami poniesiecie? A któż kuma⁵⁴?

— Nikogom nie prosił. Dość się naurągali⁵⁵ — burknął Gedras.

⁴⁹pud — rosyjska jednostka wagi, mająca wartość 16,38 kg [przypis redakcyjny]

⁵⁰sztraf (niem.) — kara pieniężna, grzywna [przypis redakcyjny]

⁵¹zajadły — gwałtowny, nieustępliwy. [przypis edytorski]

⁵²wyżeł — pies myśliwski. [przypis edytorski]

⁵³spowinać — dokładnie owinać. [przypis edytorski]

⁵⁴kuma — matka chrzestna. [przypis edytorski]

⁵⁵nauragać — obrzucić kogoś obelgami, obrażliwymi słowami. [przypis edytorski]

— Za kumę każda stanie. Takie trzymać, to się bydlę wiedzie — rzekła ze śmiechem. Stróż nic nie odparł, nasunął czapkę na oczy, poduszkę z dzieckiem otulił kożuchem i poszedł.

Na drodze wyminął go powóz, wiozący panienkę do chrztu. Chrzestni rodzice siedzieli na głównym siedzeniu, przed nimi na rękach wystrojonej piastunki⁵⁶ dziecko w fali koronek i batystów⁵⁷.

Gedras przeprowadził wzrokiem pański cug⁵⁸ i kroku przyspieszył.

„Zajmą ksiądz, a potem może i na obiad zabiorą, to i wrócę z niczym” — pomyślał.

Gdy przyszedł do kościoła, dworski zaprzęg stał u bramy, wewnątrz ksiądz mszę żałobną odprawiał; w pierwszej ławce siedzieli państwo i piastunka z dzieckiem, które hałaśliwie objawiało swe niezadowolenie, że musi czekać. Gedrasowa znajda, przeciwnie, zachowywała się cicho, że aż uchylił poduszki, wciąż niespokojny, czy żyje, a potem pokłęknał w kącie i cisnąc swą jedyną ręką dziecko i czapkę do piersi, starał się modlić.

Ale nie mógł. Było mu straszno w kościele, czegoś się bał, czegoś się wstydził, czegoś strasznie oczekiwał, chciałby uciekać, skończyć, być sam w swej izbie.

Ksiądz mszę skończył, przeszedł do zakrystii, ruszyli się państwo z panienką, on wciąż klęczał, nie śmiejąc iść, nie wiedząc, co robić.

Zakrystian wyszedł na kościół, rozejrzał się i prędko do niego podszedł.

— Czemu nie idziesz? Ksiądz czeka, pytał o ciebie.

Gedras tedy poszedł i znowu w zakrystii u progu stanął. Państwo już byli uszykowani.

Matka chrzestna, młoda, strojna panienka, trzymała już niemowlę, rozmawiając szepem po francusku z kumem⁵⁹. Był to brat pani, ów doktor, którego Gedras widział poprzedniego rana przy trupie w swojej izbie. Nieco opodał dwoje znajomych mu fabrykantów stało odświętnie ubranych; kobieta miała także niemowlę na ręku. Wszyscy obejrzel się na niego, bo ksiądz właśnie w tej chwili skinął nań.

— Chodźże bliżej!

Państwo się usunęły, fabrykanci coś poszeptali ze sobą.

— Chłopak? — spytał ksiądz.

— Dziewczynka — odparł cicho.

Tedy się ksiądz obejrzał, skinął na wystrojoną Jankowską, piastunkę panienki.

— Potrzymajcie z nim — rozkazał krótko, biorąc do rąk książkę i rozpoczynając ceremonię.

Jankowska poczerwieniała, otworzyła usta, ale bez protestu wzięła znajdę na ręce.

— Jakie imię? — spytał ksiądz Gedrasa.

— Maria.

— Jakie imię? — spytał panienki.

Zawahała się, ale miała polecenie rodziców.

— Maria — szepnęła.

Zwrócił się do fabrykantów.

— Jakie imię?

Spojrzeli po sobie.

— Jakie dobrodziej raczy — odparła kobieta.

— Niechże wszystkie Marii służą!

Zwrócił się do państwa, dodając z uśmiechem:

— Ta się najgłośniejsz dopomina. Od niej zaczniemy.

Ale panienka i po chrzcie nie umilkła. Więc ksiądz spieszenie przeszedł do znajdy, aby rychlej Jankowską uwolnić, a gdy Gedras na powrót dziecko z rąk jej odebrał, rzekł mu:

— Zaczekaj.

Doktor w imieniu szwagra zaprosił proboszcza na obiad do fabryki i państwo odeszli, unosząc krzykliwą chrześcijankę.

— A to czyje? — spytał ksiądz fabrykantów.

Kobieta rezolutniejsza zabrała głos:

⁵⁶piastunka (daw.) — kobieta opiekująca się dziećmi. [przypis edytorski]

⁵⁷batyst (fr. *batiste*) — tkanina o delikatnej fakturze, bardzo cienka i przezroczysta. [przypis edytorski]

⁵⁸cug (niem.) — zaprzęg cztero- albo sześciokonny, zaprzężony parami [przypis redakcyjny]

⁵⁹kum — ojciec chrzestny. [przypis edytorski]

— A to, proszę dobrodzieja, tej Józi, mechanikówny. U nas ona leży, bo rodzice wypędzili, więc uprosiła nas, żebyśmy do sakramentu doprowadzili. Ale to nic z tego nie będzie, to zemrze pewnie, ledwie już zipie.

Ksiądz dalej nie pytał, ceremonii dokonał, fabrykanci wyszli. Wtedy skinął na Gedrasa.

— Wstąp przed wieczorem do mnie na plebanie. Spiszemy akt zgonu matki i metrykę dziecka.

Gedras położył dziecko na ławie, dobył woreczek z pieniędzmi. Ksiądz go ruchem ręki powstrzymał.

— To potem, aż wszystko będzie w porządku. Niech ci się zdrowo chowa tymczasem!

Uśmiechnął się i dodał żartobliwie:

— Dobrą ci dobrałem kumę, co? Ja już i nadal jej obowiązki przypomnę. Pomoże ci w chowaniu. No, co? Przyjdiesz do mnie? Niestraszno tutaj?

— Przyjdę — odparł Gedras oszołomiony.

Ale gdy wracał, opadł go lęk tego rozkazu księdza, zbudziła się nieufność, wahanie.

— Po co mi przyjść kazał? Po co te papiery dla dziewczyny, po co ślad, kim ona jest? Wychowam ją sobie za własne. Co komu do niej?

A potem poczuł fizyczne zmęczenie ostatnich chwil, chęć spoczynku, jadła, snu przed nocną służbą, a wreszcie opadły go troski o groźbę rządcy, zawziętość na złodzieja, żal kary pięciorublowej i zdecydował, że pójdzie do księdza, ale potem, kiedyś...

Wrócił do domu i od razu dowiedział się od gadatliwej ogrodnikowej, że i państwo, i Jankowska oburzeni są na niego, że się wcisnął zuchwale do zakrystii i wywołał taką kompromitację.

— Wygonią cię niezawodnie — zdecydowała, odchodząc. — Jakże można cisnąć się między ludzi z takim dzieckiem?

— A toć i mechanikowej Józi przynieśli — rzekł. — Mnie ksiądz sam zawołał. Kazał.

— Głupiś. Trzeba swój rozum mieć. Co teraz zrobisz, jak cię wygonią?

Tego i Gedras nie wiedział, choć cały dzień nad tym przemyślał, choć mu to myślenie nie dało zasnąć ani jeść.

Pod wieczór zjechało się do pałacu więcej gości, chrzciny zapowiadały się hucznie. Miał tę tylko pociechę, że o nim nikt na razie nie myślał i nawet rządcą nie zdawał się go uważać, gdy o zwykłej porze przyszedł po klucze. Noc była bardzo cicha i ciepła. Otucha jakaś wstąpiła w serce Gedrasa, gdy tak się snuł w tym łagodnym powietrzu i słuchał tonów muzyki z salonów.

— Dobrze im, wesoło, śmieją się, tańczą, to i zapomną. Na oczy się nie pokażę w dzień, w nocy spać będą, to i zapomną — pocieszał się. — Żeby to wszystko tak zapomnieć. Co ja do nich, żeby pamiętali? Nie trza się pokazywać, nie trza, żeby i dziecko widzieli. Żebyż nie płakało głośno, to i kto o nim się dowie? Żeby choć zostać na miejscu i złodzieja złapać.

Rozmyślał i kombinował, snując się jak widmo. Potem po północy poczuł zmęczenie, usiadł tedy nieopodal pałacu w cieniu, żeby mu muzyka nie dała się zdrzemnąć, i zaparty w oświetlone okna, czuwał.

Ciągle w kółko mózg jego pracował nad kwestią: „wypędzą”, „nie wypędzą”. Chwilami zdawał sobie sprawę, że bardzo głupio postąpił. Na szosę nie trzeba mu było wyglądać, kobiety nie trzeba było ratować, no, i dziś w kościele, po co się pchał „między ludzi”. Nie pił, a jak pijany odurzał⁶⁰.

Ale wnet bunt jakiś wzbierał z głębi. Co on tym za krzywdę komu zrobił, co komu szkodzi to dziecko, że na nie pluja? On nie dopilnował magazynu, prawda, osztrafowali go⁶¹ — słuszną, ale za co się gniewają, że do chrztu dziecko przyniósł, co z tego za hańba panience albo Jankowskiej, kiedy je przecie do Boga przyniósł. Wypędzą — może, moc mają, a zresztą, może to już takie i sądzenie jego. Dziecko wtedy zamrze na włóczędzie. Wiadomo, stary zmarnieje, drobiazg duszę wyzionie. No i co? Znowu sam będzie.

Poderwało go. Wstał, poszedł do swej stancji. Dziecko płakało. Zapalił świeczkę, zagrział mleka, począł poić. Wydało mu się takie małe, wątłe, niedołążne.

⁶⁰odurzyć — doznać odurzenia, osłabienia zdolności postrzegania. [przypis edytorski]

⁶¹osztrafować (daw.) — nałożyć na kogoś karę pieniężną. [przypis edytorski]

— Nie będzie i ciebie — szepnął, czując, że go coś za gardło dławi, że ma chęć o ścianę tłuc głową z jakiejś bezsilnej rozpacz.

I znowu nie mógł zrozumieć, czy to życie, ten ledwie tlejący kaganek⁶², który mu los zesłał w doli, zaświeci mu w ciemności, poprowadzi do dnia, czy błysnie, przemknie, zmiażdży i zgaśnie, jak wtedy — ta maszyna.

Maszyna... Gedras oczy utkwili w płomyk świecy i ze zgrozą widział w pamięci: noc, blask lokomotywy, pędzącej z czarnej głębi — mgnienie — przeleciała — zgasła w oddali.

— Mańka! — wyrwało mu się z jękiem z gardła.

Ocknął się na swój własny głos, wstrząsnął się cały, rozejrzał błędnie po kątach.

Podobna była izba, ale nie tamta. Podobna była noc, ale nie tamta. Tamto zmiażdżyło wszystko: ją na śmierć prędką, jego na długą pokutę. Już to przeszło, tylko zapomnieć nie można, jak i naprawić nie można. Dziecko wypilo mleko, usnęło. Gedras je przewinął i na zwykłym miejscu u pieca położył.

Potem przetarł ręką czoło i szepnął:

— Może by kto posłyszał, co mi jest, lżej by było, nie tak straszno. Inni się wygadają i poweseleją, inni się upiją i zapomną. Ja nie potrafię gadać i komu? Do księdza pójść, rozgrzeszenia nie da pewnie. Straszno. Żeby mi ja choć wiedział, czy to dziecko za karę mi dane, czy na przebaczenie. Ja nie wiem, nie rozumiem.

II

Hilek rzeczywiście mosiądz ukradł, ale się nie bardzo tej nocy obłowił, gdyż Lejzorowa, utrzymująca szynk⁶³, dom zabaw, zajmująca się zarazem paserstwem⁶⁴ i stręczycielstwem⁶⁵, dała mu za tę zdobycz tylko trzy ruble. Pieniądze Hilek zaraz następnej nocy przehuła i zostawił w szynku, gdzie baraszkował do rana z jakimiś nieznanymi trzema kobietami, które przybyły statkiem z Kijowa pod eskortą syna Lejzorowej. Gdy przyszedł na robotę, dowiedział się, że kradzież już spostrzeżono i że osztrafowano Gedrasa. To go ucieszyło niezmiernie.

— Ma pies za swoje — warknął z triumfem.

Dalej zaś nie rozmyślał o tym epizodzie swej złodziejskiej praktyki, bo był spokojny, że się udało, po wtóre, senny był i przepity, a po trzecie, musiał się opędzać zgrai młodych fabrykantów, którzy mu dogadywali Józią mechanikówną.

Wśród zgrzytu pilników ślusarni jeszcze zgrzytliwiej rozlegały się ohydne koncepty⁶⁶, dwuznaczniki, przewiski, sprośne szczegóły. Starsi słuchali obojętnie, chłopaki-wyrastki kształciły się w tej językowej szermierce. Hilek zrazu⁶⁷ się bronił, potem zaczął się cynicznie śmiać i dopowiadać.

Wreszcie temat zniecierpliwiał nawet otrząskanego z tym życiem i gwarą Nowika, seniora ślusarzy.

— Pyska byś tak nie rozpuszczał — rzekł — a to doniosą mechanikowi i przez sąd cię do ślubu doprowadzą albo każą na dziecko płacić.

— Oho, niech no zaczepią, to pożałują. Powiem ja lepsze rzeczy w sądzie — warknął Hilek, ale jednak ściślił.

Z kolei sala zaczęła komentować wypadek Gedrasa, natrząsać się⁶⁸ z niego. Podczas paury obiadowej rozeszła się wieść o chrzczinach i dała nowy temat do gawędy; stróż był na wszystkich ustach. Każdy z niesłuchaną jednomyślnością dodawał mu tytuł „durnia”.

Tak zeszedł jeden z mnóstwa monotonicznych roboczych dni. O zmierzchu zajęczał sygnał, na drogę ku miasteczku wyroił się tłum brudny, osmolony, głodny, biedny i złośliwy. Szli zrazu gromadą, potem zaczęli się rozpełzać, wsiąkać w miasteczkowe mrowie. Wszyscy mieszkali niedaleko fabryki w żydowskich i mieszczańskich domkach, zajmując ciasne kłitki, rozwalające się oficynki, zwykle cała rodzina w jednej izbie, subarendując⁶⁹

⁶²kaganek — używana daw. mała lampka w kształcie miseczki z dziobkiem i uchwytem. [przypis edytorski]

⁶³szynk — karczma, gospoda lub bar, w którym sprzedawano alkohol. [przypis edytorski]

⁶⁴paserstwo — pośrednictwo w sprzedaży kradzionych rzeczy. [przypis edytorski]

⁶⁵stręczycielstwo — pośrednictwo w prostytucji. [przypis edytorski]

⁶⁶koncept (daw.) — żart, dowcip. [przypis edytorski]

⁶⁷zrazu (daw.) — początkowo. [przypis edytorski]

⁶⁸natrząsać się — wyśmiewać się z kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

⁶⁹subarendować — podnajmować, wydzierżawiać od dzierżawcy [przypis redakcyjny]

Wspomnienia

Żaloba, Żal

kąty kawalerom, cisnąc się na kupie starzy i młodzi, zdrowi i chorzy, swoi i obcy. Całe życie w niespełnionym marzeniu o czystej i całej odzieży, o sytym żołądku, wygodnej pościeli, ciepłe, dostatecznym śnie i wypoczynku.

Hilek szedł zrazu z całą gromadą, potem z bandą podobnych jemu kompanów, a wreszcie sam.

Może on jeden z całej fabryki miał właśnie to wszystko, o czym tamci marzyli. Był jedynakiem u matki, która służyła za kucharkę u bogatego bezżennego urzędnika akcyzy⁷⁰. Kuchnia była obszerna i ciepła, posłanie Hilka czyste i miękkie, jadło sute. Stara bałwochwalczo⁷¹ kochała jedynaka, żyła tylko dla niego, on zaś był jej katem.

Co wieczór urzędnik wychodził do klubu i grał tam w karty do północy, dom cały był dla służby.

Hilek, wchodząc, zastał jak zwykle wieszak na stole, ciepłą wodę do mycia, odzież czystą na zmianę i rozpromienioną matkę, czekającą jak łaski dobrego odeń słowa. Ale dnia tego Hilek nie raczył jej nawet powitać, nie zdjął czapki, nie umył rąk, tylko cisnął z hałasem w kąt swoje narzędzia i usiadł za stołem.

— Wódki przynies — burknął.

— Zjedz co ciepłego! Masz kielbasę z kapustą.

— Wódki daj, nie gadaj, bo pójdę do Lejzorowej.

Stara na tę groźbę bez protestu postawiła na stole butelkę. Hilek wypił szklankę i po chwili raczył się udobruchać.

— Masz cygaro? — spytał. — Stary przecie choć tego nie zamyka ani ze sobą nie zabiera.

— Mam, ale zjedz coś przecie i posłuchaj, co ja dziś za awanturę miałam.

— Możesz doszła nareszcie, gdzie stary chowa pieniądze?

— Ot, co mi z tego!... Toć mu ich nie wezmę. U mnie dzisiaj z rana była mechanikowa. Toć ich Józia podobno zległa⁷².

— No, to i co?... Na to jest baba.

— Oj, Hilek, po coś ty, synku, tam łąził, i niceś mi nie powiedział⁷³? Co ja się nasłuchać musiałam!

— Coś musiała, głupia!... Nie miałas to⁷⁴ sagana z ukropem⁷⁵, żeby tej jędzy oczy zalać?

— Dobrze tobie gadać, ale oni świadki stawia, że tyś się żenić obiecał. Toś ty sobie, nieszczęsny, świat zawiązał⁷⁶! Czy to dla ciebie partia?... Ty byś mógł rzeźnicką jedynaczkę dostać. My już o tym ze starą gadali. Nie od tego są⁷⁷. A teraz?

— A teraz co? Myślisz, że mnie mechaniki złapią? Coś ty tej jędzy odpowiedziała?

— Ano, że z tobą pogadam i że jutro sam u nich będziesz.

— Aha, będę! Niech im kot jajko zniesie! — zaśmiał się cynicznie Hilek.

— To ty się nie boisz tych świadków?

— Głupiaś! Pluję na nich i na te świadki⁷⁸.

Rozparł się na stole, pił ciągle wódkę.

— Słuchaj, długo ja tu jeszcze gnici będę?

— Alboż ci tak bardzo źle, synku?... Toć i syty jesteś, i obuty, i odziany. Myślisz, lepiej ci będzie gdzie indziej, znajdziesz lepszą robotę?

— Dureń tylko robi, a mądry panuje. Ale co ty rozumiesz... Twoja rzecz pieniędzy mnie dać.

— Toć oddaję wszystkie.

⁷⁰akcyza — tu: urząd odpowiedzialny za pobieranie podatków na rzecz państwa lub gminy. [przypis redakcyjny]

⁷¹bałwochwalczo — ślepo, bezkrytycznie. [przypis edytorski]

⁷²zlegnąć (daw.) — ciężko, obłożnie zachorować; tu: z powodu powikłań po porodzie. [przypis edytorski]

⁷³niceś mi nie powiedział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nic mi nie powiedziałeś. [przypis edytorski]

⁷⁴Nie miałaś to — inaczej: czy nie miałaś. [przypis edytorski]

⁷⁵sagan z ukropem — duży garnek (sagan) z wrzącą wodą (ukropem). [przypis edytorski]

⁷⁶zawiązać sobie świat — pozbawić się możliwości działania, zawęzić swój horyzont życiowy. [przypis edytorski]

⁷⁷nie od tego być — być skłonny się zgodzić. [przypis edytorski]

⁷⁸te świadki — dziś popr. forma: tych świadków. [przypis edytorski]

— Wielka parada. Mnie trzeba tysiąc rubli.
— Matko cudowna! Skądże ja tyle wezmę? Toć wiesz, że nie mam.
Hilek splunął i spojrzał na nią z najwyższą pogardą, potem rzekł:
— No, daj jeść. Nie ma co z tobą gadać.

Gdy pożarł wszystko, co mu podała, sen go zmorzył. Rzucił się w odzieży na łóżko, a gdy mu chciała buty ściągnąć, oburkliwie zabronił. Usiadła tedy przy nim i zapatrzona miłośnie, czuwała nad niespokojnym, pijackim snem. Około północy Hilek się zerwał.

— Stary jeszcze nie wrócił? — spytał.
— Nie. Co on cię obchodzi?... Tutaj nie przyjdzie.
Hilek nic nie odpowiedział. Ziewnął, wziął czapkę i wyszedł.
— Zaraz wrócisz? — spytała niespokojnie.
— Jak mi się zechce — odmruknął.

Poszedł w ulicę. Noc była bardzo ciemna, z rzadka paliły się na słupach kopcące latarnie, ulice, źle brukowane, pełne były błota, puste i głuche.

Niekiedy z daleka dobiegał turkot dorożki, gwizdawka nocnego stróża, mignął spóźniony przechodzień z latarką lub pies włóczęga rewidował śmietniki.

Po domach nigdzie nie świeciło już światło, takie miasteczka zasypiają wcześniej.

Hilek szedł bez celu i nie kwapił się. Kierował się ku głównej ulicy, ale nie zamierzał na nią się wynurzyć. Przystanął, słysząc turkot dorożki, zmierzającej ku niemu. Koń zwolnił na wybojach bocznej ulicy i Hilek poznał chlebobawcę matki w powozie. Przeprowadził go złym wzrokiem.

— Bestia, piechotą nie raczy — mruknął, a gdy dorożka minęła, plunął za nią.

— Zdechniesz ty, a ja cię jeszcze dopilnuję — rzucił z wściekłością i zawrócił do domu.

Gdy przyszedł do kuchni, zastał matkę już rozebraną, mruczącą pacierze. Czekala tylko na niego, by lampę zgasić. „Pan” już wrócił, dom był zaryglowany starannie, drzwi z mieszkania do kuchni mocno zatrzasknięte. Ta niedbałość urzędnika o dom, gdy z niego wychodził, to skrzące ryglowanie, gdy wracał, upewniało Hilka, że pieniądze nosił przy sobie. Zaś pieniądze te Hilek postanowił dostać i na nie polował z niecierpliwością i wytrwaniem człowieka, który, co postanowił, spełni.

Nazajutrz Hilek spędził dzień jak zwykle, ale wieczorem nie poszedł do matki. Wprost z fabryki skierował się do Lejzorowej.

Było to na bocznej ulicy, schodzącej ku rzece, domostwo stare, obszarpane, od frontu szynk i zajazd najniższego gatunku, w głębi labirynt klitek, alkierzyków⁷⁹, składów, stajen, kończący się wreszcie podwórzem, pełnym desek, i ogrodzeniem nad rzeką. Klitki te i alkierze roily się od Żydów. Cała liczna rodzina Lejzorowej tam się gnieździła, czterech synów żonaty i trzy córki z zięciami, handlujący i szachrujący⁸⁰, czym można, a szczególnie, czym nie można. Szyld opiewał nad gankiem i latarnią: *Zajazd Odeski*, obok tabliczka obwieszczała sprzedaż trunków i „bakalijskich towarów”, na progu przybity był czerwony but i chomąto, namalowane na białej desce.

Oprócz tego wypasano tam gęsi i konie, sprzedawano deski, jedna z córek była pokątną akuszerką, druga farbowała chłopom wełnę, jeden z synów był faktorem⁸¹ i krawcem zarazem. Nie było interesu, którego by u Lejzorowej nie można było załatwić.

Rodzina ta liczyła członków już czynnych — dwudziestu, odrzuciwszy drugie tyle na małe dzieci. Ożywiona była jednym duchem — zarobku i z bogacenia, solidarna w powodzeniu i katastrofach, słuchająca ślepo matki, wielbiąca zaś ojca. Lejzorową znał każdy. Lejzora nie widywał prawie nikt, spędzał życie w najzacisniejszym alkierzu nad *Talmudem*⁸².

Owoż⁸³ zdarzyło się, że tego dnia słońce wiosenne zajrzało do izdebki „naucznego” Lejzora i wywabilo go na ganek. Wyjątkowo dnia tego cały sztab Lejzorowej był rozproszony za interesami i nad starym dziadkiem czuwała dwunastoletnia Rojza.

⁷⁹alkierzyk — boczny mały pokój, niewielka sypialnia. [przypis edytorski]

⁸⁰szachrować — oszukiwać. [przypis edytorski]

⁸¹faktor (daw.) — pośrednik. [przypis edytorski]

⁸²Talmud — zbiór komentarzy biblijnych oraz przepisów religijnych, obyczajowych i prawnych judaizmu, spisany w okresie od II do V wieku n.e. [przypis redakcyjny]

⁸³owoż — otóż. [przypis edytorski]

Gdy o zmierzchu wróciła Lejzorowa, dziewczynka pochwaliła się, że utargowała trzy ruble, i opowiedziała, że gdy siedziała z dziadkiem na ganku, przyszedł jakiś goj⁸⁴ i zażądał mosiężnego kranu. Ona zaś podpatrzyła w alkierzu pod łóżkiem worek z kranami i przyniosła mu. No, i wybrał sobie jeden niewielki, dawał za niego rubla, ale ona zażądała trzy i po krótkim targu zapłacił. Lejzorowa zamiast pochwały zarzuciła ją gradem wymysłów, szturchańców i pytań: kto był ten goj, jak wyglądał, skąd przyszedł.

Rojza, przerażona, uderzyła w płacz⁸⁵, plątała się w odpowiedziach, ale zrozumiała po minach i gestach rodziny, że popełniła coś bardzo złego. Worek z kranami sprzątnięto, rodzice dołożyli jej jeszcze parę szturchańców i srogi rozkaz, aby jeśli kiedy ten goj się pokaże i będzie dowodził, że od niej kran dostał, zaparła się wszystkiego.

Potem starsi poczęli się naradzać, a ją wypędzono do dziadka. Plan obrony był obmyślony, Żydzci wrócili do swych zajęć. Co wieczór izba szynkowna i sąsiadujące z nią izdebki i klitki były miejscem zebrania małomiasteczkowych i wiejskich szumowin. Do ich obsłużenia, upojenia, do słuchania, co mówią, do wyzyskania tej zgrai cały klan Lejzorowej był potrzebny i gremialnie⁸⁶ występował do czynu.

Gdy Hilek zjawił się z roboty, gości już było pełno i on się w szynku nie zatrzymał; jako stary bywalec poszedł do jednego z „gabinetów”. Ale tam czekało go nieprzyjemne spotkanie. Jakaś kobieta rozłożyła na stole węzeł szmat, córka Lejzorowej je roztrząsała i odbywał się zajadły targ o te lachmany.

— Trzy ruble! Kpiny! A co ja zrobię z trzech rubli? To ledwie na trumnę wystarczy, a przecie w kościele każą zapłacić. A skąd wziąć na jaki taki poczęstunek, a mnie co zostanie za tyle mordęgi? Oszaaleście, Fajga, toć to same korale warte dziesięć rubli, a jedna suknia, toście sami na Wielkanoc szyli, raz włożyła! Dawajcie piętnaście, dobrze, ani grosza mniej.

Żydówka wzięła w ręce korale, Hilek je poznał, ale i kobieta obejrzała się i poznała go.

— Aha, jesteś, to dobrze! Może co dasz na pogrzeb córki. I mnie się od ciebie coś należy, że to w domu trzymać muszę. Twoja matusia, fanaberia, nie raczyła nawet przyjść, a i tyś, nicponiu, nosa nie pokazał. Licho wie, za co to na mnie spadło tyle kramu⁸⁷, a teraz, trup w izbie. Daj ze trzy ruble.

— Dam, ale korale wezmę! Nu, Fajga, postąp w cenie, bo cię przelicytuję.

— Nu, tobie co do mego interesu — oburzyła się Żydówka. — Tyś przyszedł tu piwo pić, to ty pij!... Pani Sikorska. Ja powiem ostatnie słowo. Ja dla pani to zrobię, ja dam pięć rubli.

Kobieta zwinęła szmaty w chustkę. Hilek sięgnął, porwał korale, rzucił trzy ruble. Wszczął się zmieszany wrzask Sikorskiej i Żydówki o tę zdobycz.

Na to ukazał się z szynkowni syn Lejzorowej, wysłuchał spornej kwestii, kazał siostrze dać za szmaty pięć rubli, dodał Sikorskiej na kredyt garniec wódki i gdy się targ uspokoił, usiadł z Hilkiem za stołem i rzekł cicho:

— Wiesz ty, z tym mosiądzem to trefny interes.

— Co? Może pasek znaleźli? Głupstwo.

— Nie ma głupstwa w takim interesie. Ja tobie mówię, że coś węższą. A z tym sklepem pod monasterem⁸⁸, to myślisz, że skończone? To także wisi nad tobą. Ty by powinien zmienić powietrze⁸⁹.

— Zmienię. Ale jeszcze mam jedną sprawę. Z gołymi rękoma nie pojadę.

— Nu, a co ty myślisz zrobić z tą mechaniczną?

— Na licha mi ona!

— Z baby takiej można mieć dochód. Ty ją namów ze sobą do Warszawy, to ja jej tam służbę dam, że siebie i ciebie utrzyma. Dziecko umarło.

Hilek się roześmiał.

— A ty mnie za nią ile dasz?

⁸⁴goj — nie-Żyd. [przypis edytorski]

⁸⁵uderzyć w płacz — zacząć płakać. [przypis edytorski]

⁸⁶gremialnie — tu: masowo. [przypis edytorski]

⁸⁷kram — tu: trudność, problem. [przypis edytorski]

⁸⁸monaster — kościół i klasztor w tradycji wschodniej [przypis redakcyjny]

⁸⁹Ty by powinien zmienić powietrze — w znaczeniu: Ty powinienes zmienić otoczenie. [przypis edytorski]

— Nu, ja tobie dam na drogę dziesięć rubli.
Hilek gwizdnął pogardliwie.
— Szukaj głupich! Mnie nie okpisz. Już ty u niej był i mydło zjadł, a ja ci ją dowiozę, gdzie zechcesz, ale sto rubli dostanę.
Żyd się roześmiał.
— Jak tak bredzisz, to jedźcie sobie sami w świat. Ja tobie ani przeszkodzę, ani pomogę. My wtedy cudze ludzie⁹⁰.
Wstał i wyszedł. Hilek został nad piwem i rozmyślał. Po długiej chwili zjawiła się Lejzorowa.
— Ot, ty tutaj? Ja nie wiedziała. Co dopiero pytał o ciebie policjant. Czego *oni* takie ciebie ciekawe? A tu był jeden od was z fabryki i gadał, co tobie chcą oddać papiery.
— Niech oddadzą!... Wielka mi kara! Mogę i tak żyć bez tej podłej roboty.
— Nu, pewnie. Nie tyle świata, co w oknie. A ty pamiętasz, że ty mnie trzydzieści rubli winien?
— Skąd? A to sukno, com dał, mało wam jeszcze?
— Co to sukno warte? Co ja z nim zrobię? Jak zaczną za tobą policjanty łązić, to mnie trzeba będzie je pokazać, że od ciebie mam. Może ono kradzione? Ja handluję czystym towarem.
Hilek się porwał jak tygrys do skoku. Zaryczał przekleństwo, Żydówka usunęła się.
— Czego ty szum robisz? Czy ty się skręcił? Tam za ścianą jest kwartalny⁹¹. Sza! — syknęła. — Ty sobie alkierzem się wynoś⁹². My potem pogadamy. W dzień przyjdź.
I wysunęła się do szynku.
Hilek chwilę posiedział jeszcze, potem czapkę nasunął na oczy i wyniósł się przez alkierz.
Gdy wszedł do matki, pierwszy przedmiot, który ujrzał na stole, był jego pasek, ów zgubiony przy kradzieży mosiądzu.
Pobladł, chwycił go, zwrócił się do matki.
— Skąd ty to masz? — zaryczał.
Kobieta pomyślała, że się tak mocno zdziwił.
— A widzisz!... Odnalazł się. Mówiłeś, żeś zgubił na ulicy, a to w fabryce jakiś człowiek znalazł i odniósł.
— Taki wysoki, bez ręki?
— Skąd wiesz?...
— Wiem, wiem! Zaprowadzisz ty mnie na stryczek, ty głupia! Cieszy się jeszcze! Tfu! Może ci we dwóch tę zgubę odnieśli, a tyś im wypowiedziała całą historię tego rzemienia? Żebyś się była z nim obwiesiła, wrono!
— Hilek, co tobie? Czego się złościsz! Toć twój pasek nowiutki. Rubla za niego dałam. Pewnie, żeś rada była, że nie zginął. Ten człowiek mówił, że przy bramie znalazł, żeś ty pytał, czy kto takiego nie widział, więc znalazłszy, że do miasta szedł, to po drodze u mnie zostawił. Nic za to nie chciał.
— Sam był, nikogo więcej?
— On sam przyszedł, ale tu zastał Adasia mechaników, co wstąpił z polecenia matki spytać, czy przyjdiesz. Oj, Hilek, mnie czegoś straszno, jakoś tej dziewczynie tę krzywdę trzeba zagodzić⁹³.
— Zagodzę, zagodzę, nie bój się!... Zagodzę z turmy⁹⁴, gdzie ty mnie swą głupotą zaprowadzisz!
— Ależ to powiedz, co ja złego zrobiłam? Rzucasz się i wściekasz, gadasz jak w malignie⁹⁵!
— Bodajżeś oniemiała! Masz, powieś się ty na tym rzemieniu!

⁹⁰cudze ludzie — ludzie obcy, nieznający się. [przypis edytorski]

⁹¹kwartalny — tu: policjant [przypis redakcyjny]

⁹²Ty sobie alkierzem się wynoś — dziś raczej: Ty wynoś się przez alkierz. [przypis edytorski]

⁹³zagodzić — załatwić coś ugodowo; załagodzić sprzeczności, spór. [przypis edytorski]

⁹⁴turma (daw.) — więzienie. [przypis edytorski]

⁹⁵maligna — wysoka gorączka połączona z utratą orientacji w rzeczywistości i halucynacjami. [przypis edytorski]

Cisnął jej w twarz pasek i wyleciał jak oszalały. Czuł, że mu się grunt usuwa spod nóg, ale nie umiał sobie sam radzić w takiej okazji.

Najlepiej by było wyjechać natychmiast, ale papiery były w fabryce, dokąd jechać, nie wiedział i nie miał pieniędzy. W kieszeni były tylko korale Józi. Pomacał je, pomyślał, zastanowił się i poszedł w kierunku mieszkania Sikorskich.

Mieściło się ono w zaułku żydowskim, w oficynie tak wrosłej w ziemię, że się do izby schodziło jak do piwnicy. W izbie tej mieszkali Sikorscy i troje sublokatorów, ogółem dziesięcioro ludzi. Jedyne łóżko zajmowali Sikorscy, lokatorowie mieli za posłanie tapczany. Pięcioro dzieci mieściło się w wielkiej pace drewnianej pod piecem, na legowisku ze starej słomy i gałganów. Tego wieczora lokatorowie się rozpierzchli, bo nie chcieli nocować z trupem. Zwymyślali i poszli.

Dziecko Józi sinawożółte, z twarzą obrzękłą i starą, leżało w trumnie, owinięte w matczyne różowy kaftan. Obok zwłok, skulona na ławce, siedziała Józia tak przemęczona, wyczerpana, że ani płakała, ani odczuwała cokolwiek. Z głową wtuloną w kolana zdawała się spać. Co miała całych szmat, oddała Sikorskiej, nie miała nawet trzewików, łachman spódnicy, na ramionach brudną, podartą wełnianą chustkę. Włosy jasne, ale rozwichrzzone, stargane, potem sklejone, okrywały ją, spadały aż na trumnę, na głowę dziecka. Sikorscy przy stoliku u okna jedli wieczerzę z dziećmi. Za jej pieniądze, osiągnięte ze sprzedaży szmat, nasycali się choć raz na rok, pożerali w milczeniu, z łapczywością istot stale głodnych. Dzieci robiły wrażenie szczeniąt-włóczęgów, wydzierały sobie kęsy, dławiły się, byle najwięcej połknąć.

Starzy zakrapiali jadło wódką i półgłosem rozprawiali, jakby teraz pozbyć się jak najprędzej kobiety. Nie miała już więcej nic do dania, stawiała się ciężarem, a narażała ich tylko na gniew mechaników. Postanowili tedy przetrzymać ją tylko do następnego wieczora, a potem wygnać.

— Nie zimno, nie zmarznie. Niech szuka chleba. My i tak więcej dla niej zrobili jak rodzice.

I mieli w tym zdaniu zupełną rację.

Na tę chwilę trafił Hilek. Wszedł, jednym spojrzeniem objął całą izbę i roześmiał się.

— Niezgorzej się posilacie na stypie — rzekł. — Dajcie i mnie wódki przy tej okazji.

Na głos jego Józia się zatrzęsła, poderwała głowę. Twarz jej ładna, ale zmizerowana okropnie, zadrzała życiem. Wyciągnęła do niego ręce bez słowa i poczęła płakać. Ale on ją minął, poszedł do stołu, wypił parę kieliszków, zapalił papierosa, rzucił jakiś cyniczny żart i dopiero potem zbliżył się do niej.

— Czego ty, głupia, płaczesz? Zbyłś kłopotu i tyle. Ależ bachor paskudny, dobrze, że go zakopią. I tyś do ścierki podobna. Masz, wypij wódki i nie rycz, bo plunę i pójdę.

— Hilek! Tyleś dni o mnie nie wspomniał! — jęknęła. — Nie pomyślał, w jakiej ja biedzie przez ciebie!

— Może i pomyślał, kiedy przyszedł.

— Co ja zrobię teraz, nieszczęsna! Rodzice nie przyjmą, gdzie się podzieję? Tylko się utopić!

— Nie lamentuj, bo mi zbrzydniesz! Niech no tego bachora uprzątną, to już z tobą nie bieda. Trzy ruble dałem, korale twoje odebrałem. Nie bój się, nie porzucę ciebie. Masz, wypij i zjedz.

Kobieta wzięła do rąk kieliszek, ale spojrzała na trupa i nie mogła wypić, zęby jej szczękały, łzy rzuciły się do oczu. Hilek się zachnął, sięgnął po jakiś łachman i cisnął na trumienkę. Potem usiadł obok Józi i spytał z cicha:

— Była tu u ciebie Lejzorowa?

— Była, namawiała na mamkę.

— Coś powiedziała?

— Twojam jest. Toć mnie nie dasz na poniewierkę. Ożenisz się, Hilek, mój złoty!

— Juści, byleś mnie słuchała. Ja stąd jutro wyjadę.

— A cóż ja?

— Zabiorę ciebie.

— Naprawdę? Jakiś ty dobry! Ja z tobą w piekło gotowa, ja tobie całe życie rada służyć! Ja wiedziałam, że ty mnie nie porzucisz. A dokąd pojedziemy? To ty rzucasz fabrykę?

— Co mi mają czy wypiekać... Pojedziemy do Warszawy.

Śmierć, Bieda

— I tam weźmiemy ślub?

— Weźmiemy.

Józia rzuciła mu się do rąk, całowała je, oblewała łzami. Zapomniała o przebytej niedoli.

— Oj, Hilek, będę ci pracowała, będę ci dogadzała, będę ci służyła. A znajdziesz tam robotę?

— Żeby tyle biedy! Tylko ty pamiętaj, że jak cię Lejzorowa zbuntuje, to z nami koniec. Ja tu więcej nie przyjdę. Naści trzy ruble, ogarnij się i jutro w nocy żebyś była na stacji, na pociąg. Rozumiesz? A słowa nie piśnij nikomu. No, bywaj zdrowa.

Zatrzymała go za rękę.

— Hilek, może byś jutro rano na pogrzebie był? — szepnęła nieśmiało.

— Jeszcze co może! — oburzył się i rękę wyszarpnął.

Podczas tej poufalej rozmowy Sikorscy położyli się spać, dzieci polokowały się w pudle, izbę napępniało duszne powietrze i chrapanie, lampka dogasała. Józia wkrótce, pogrążona w zupełnej ciemności, zwinęła się w kłębek na ławce i roiała przyszłe życie. Widziała siebie we własnej izbie, żoną ślusarza, gospodynią wśród własnych statków⁹⁶; rozmyślała, jak będzie zarabiała szyciem i praniem, jak będzie kiedyś przyjmowała u siebie rodziców albo jak we dwoje, zebrawszy grosza, odwiedzą tutaj znajomych. I ukojona dobrą nadzieją, usnęła wreszcie, wszystkich swych bólów niepomna, z głową wspartą o trumnę dziecka.

Hilek zaś nie spał wcale tej nocy. Spędził ją w jednym z alkierzyków Lejzorowej na rozmowie poufnej z synem szanownej matrony. Rozmowa była chwilami burzliwa, a bezustannie zakrapiana wódką. Toteż gdy Hilek szedł o świcie do fabryki, wzrok miał szklany, twarz spuchniętą, a chód ciężki.

Gedras otwierał bramę i spotkali się.

Ślusarz się obejrzał, że byli sami, i rzekł ze złowieszczym sykiem gadu w głosie:

— Myślisz mnie zakopać, psie! Niedoczekanie twoje! Ale ja ci to popamiętam, ja ci to odpłacę, zobaczysz!... Wymotam ci kiszki! Ty szpiegu!

Gedras ani drgnął, jakby nie do niego mówiono. Spojrzał na pijaka i pobrzękując pękiem kluczy, odszedł ku mieszkaniu rządcy.

Hilek wziął się niby do roboty, ale znać było, że o nic już nie dba. Drgnął jednak, gdy dozorca zbliżył się do niego i rzekł:

— Arcimowski! Do rządcy!

— A czego to tam? — burknął.

— Powie ci, jak tam będziesz.

— Oho, będzie ci ciepło — zaśmiał się kamrat⁹⁷.

Hilek się sekundę zawahał, wreszcie poszedł.

— Mechanik pewnie naprosił — poczęto szeptać na sali i śmiać się.

Hilek też spodziewał się sprawy o kradzież i po drodze przygotowywał obronę, gotów był do zrobienia burdy w ostateczności. Stracił też na razie rezon⁹⁸; gdy wbrew oczekiwaniu rządcą podsunął mu papiery, zarobione pieniądze i rzekł lakonicznie:

— Masz tu, co twoje... Możesz ruszać w świat. Tutaj nie ma dla ciebie miejsca.

— Jak to, proszę pana? A jakimże to prawem? — zaprotestował beczelnie.

Ale rządcą był to chłop olbrzymi, młody i otrząskany z charakterem swych podwładnych. Wstał i zbliżył się do niego.

— Jakim prawem?... Boś złodziej, gałgan i pijak — wymówił powoli, patrząc mu ostro w oczy. — A nie dość ci mego słowa, to pójdziemy po potwierdzenie do policji. Rozumiesz? Zabieraj papiery i pieniądze, milcz i wynoś się!... Jeżeli jedno słowo piśniesz, nie wyjdiesz stąd wolny!...

Zmierzyli się sekundę wzrokiem. Hilek odwrócił oczy, sięgnął po papiery, przeliczył pieniądze, pasował się z żądzą mordu, ale stchórzył, ruszył ku drzwiom.

— Do zobaczenia, ja was rznąć będę — warknął ną pożegnanie i wyszedł, zatraskując drzwi za sobą.

⁹⁶statki (daw.) — tu: naczynia, sprzęty. [przypis edytorski]

⁹⁷kamrat — współnik, kolega. [przypis edytorski]

⁹⁸rezon — pewność siebie. [przypis edytorski]

Rządcy krew uderzyła do twarzy, chciał krzyknąć na stróżę, żeby go wzięli do policji, ale zapanował nad sobą, tylko zadzwonił na posługacza fabrycznego i rzucił:

— Arcimowski uwolniony. Przeprowadź do bramy, aby burdy nie zrobił albo czego nie ukradł.

Ale Hilek zrozumiał, że zgubiłby się awanturą. Wyszedł za bramę spokojnie, z nikim nie rozmawiał i poszedł prosto do Lejzorowej.

Od tej pory nikt go nie widział więcej. Po paru dniach przyszła do fabryki matka, pytając o niego. Gdy ją objaśniono, skamieniała. Potem, głośno zawodząc, poszła do policji. Nie znalazłszy i tam śladu, poczęła obchodzić znajomych, rozpytywać, badać, dowiadywać się, równie bez skutku.

W ostateczności udała się do Lejzorowej, ale i Żydówka udała kompletną nieświadomość, dodając zarazem filozoficznie:

— Czego się pani Arcimowska tyle turbuje⁹⁹? Czy to mały chłopczyk? Z fabryki wydalił, to jemu wstyd się zrobił. Pojechał szukać roboty, może do Białegostoku, może do Odessy. Czego się strachać o młodego człowieka? On sobie da radę. Ot, mechanikom gorzej, ta ich Józia to utopiła się podobno. Słyszę, za żelaznym mostem gdzieś chłopci trupa znaleźli. To jest paskudny interes, a pani synek to jeszcze na pana wyjdzie. U niego dobra głowa. Niech pani siedzi spokojnie, on się zjawi, ojoj, co jemu za bieda, taki dobry rzemieślnik!

Arcimowskiej przybyło otuchy i odtąd tylko czekała wieści lub przyjazdu syna. Zbierała dla niego pieniądze i smakołyki, szyła dla niego bieliznę i czekała. Nizały¹⁰⁰ się jej, jak różaniec, wieczory w ciągłym nasłuchiowaniu, czy nie idzie, dnie monotonnego pytania listonosza, czy nie ma dla niej wieści.

Wszyscy po trosze zapomnieli o Hilku, przestano mówić o zniknięciu Józki mechanikówny, tylko Arcimowska czekała syna, tylko mechanikowa modliła się za duszę córki, a obie nie wiedziały, że tych dwoje nie po robotę poszło ni w nurt po śmierć, ale że oboje pochłonął rynsztok uliczny, którego ujściem katorga, szpital.

Minęła tak wiosna i lato i listopad zasnuł niebo i ziemię płachtą zimnej wilgoci, gdy pewnego razu jakaś kumoszka wpadła do Arcimowskiej z nowiną, że Hilek powrócił, że go widziano u Lejzorowej. Stara poleciała do szynku, nieprzytomna ze szczęśliwości. Rzeczywiście Hilek był, ale jaki strojny, jakie miał białe ręce i twarz; nie do poznania zmieniony.

Przywitał się z matką dość łaskawie i protekcyjnie i dalej rozповідаł gromadzie ciekawych łyków¹⁰¹, że ślusarkę rzucił, że jest magazynierem w fabryce koronek i że go zarząd przysłał na wywiady, czy nie dostałby fabrykantek. Obiecował złote góry dziewczętom zręcznym i umięjącym władać igłą.

Czereda Lejzorowej krytykowała taki niepewny zarobek, on się zapalał, gwarantował rubla dziennie, wyliczał koszt utrzymania, wreszcie pokłócił się z Żydem i zapowiedział, że on łaskę czyni, jeśli tu te propozycje przywiózł, a nie do rozumniejszych ludzi, i wyszedł z matką, oznajmiając, że pojutrze pojedzie dalej.

Doczekała się Arcimowska syna, ale mało się nim nacieszyła. Tyle, że raczył sypiać i jeść u niej wieczorem. Cały dzień gdzieś się włóczył, odwiedzał dawnych znajomych, wstąpił do fabryki Zaremby w czasie obiadowej pauzy, rozmawiał z kolegami o wielkich warszawskich zarobkach i miejskich przyjemnościach. Wypytywał też o miejscowe sprawy.

— A ten bezręki zawsze stróżuje? — zagadnął w końcu.

— O! Ten się zakorzenił.

Gdy robotnicy wrócili do zajęć, Hilek wyszukał Gedrasa. Znalazł go w drwalni, ładującego na wóz drzewo do dworskiej kuchni.

— Jak się miewasz? W złości my się rozstali, ale od tej pory ja rozumu nabrałem i przekonałem się, żeś ty mi usłużył. Przyszedłem podziękować. Dalibóg, myślisz, że kpię? Prawdę mówię. Wypłoszyłeś mnie stąd, gdziebym zgnął przy warsztacie. Znalazłem lżejszy i lepszy chleb na świecie. Gotowym ci piwa postawić. A ty zawsze się mordujesz?

⁹⁹turbować się — martwić się, niepokoić się. [przypis edytorski]

¹⁰⁰nizać — nawlekać coś na nitkę lub sznurek. [przypis edytorski]

¹⁰¹łyk (daw.) — pogardliwie o mieszczanach. [przypis edytorski]

— Ręka mi nie odrośnie. Dobrze i tak, że jeszcze mogę na chleb zarobić. Mnie już nie szukać lepszego.

— Można więcej głową zarobić niż dwoma rękoma. Jakbyś chciał kiedy lekkiego i sytego kawałek chleba, to się do mnie zgłoś.

Gedras zbył milczeniem propozycję. Podejrzliwy z natury, do Hilka miał niechęć zaległą i szczególną nieufność, ale że przeczuwał w nim złą gadzinę, więc po namyśle rzekł:

— W złości my się rozstali, bo każdy chleba kawałka pilnuje, a ja przez ciebie tylko com nie został na bruku. Bronilem się. Ty byś to samo zrobił.

— Toć mówię, że bez złości wróciłem, a chcesz dowodu, to chodź ze mną na piwo. Funduję, ile strzymasz. Jeśli odmówisz, to mi despekt¹⁰² zrobisz.

Ale Gedrasowi ta uprzejmość wydała się dziwna.

— Ja nie odmawiam, tylko, jak wiesz, bez pozwolenia wydalić się nie mogę, a teraz robotę mam. Poproszę rządcę, to może przed wieczorem na godzinę przylecę.

— No, to słowo. Czekam na ciebie u Lejzorowej.

Gdy odszedł, Gedras rozmyślał, że może by przyjąć ten poczęstunek, ze złym być w zgodzie, ale go jakiś lęk ogarnął i został.

Zmierzch prędko nastąpił, a z nim jego stróżowanie.

Już był zupełny wieczór, gdy go ktoś pukaniem wezwał do furtki. Był to jeden z fabrykantów.

— Wiesz, dzisiaj Hilek ugascza dawnych znajomych. Tak tam piją i hulają, że ha! Przysłali po ciebie, żebyś wstąpił na godzinę do kompanii¹⁰³.

— Zdurzeliście? Toć ja na służbie.

— Ja cię zlużuję¹⁰⁴, a potem wrócę, jak ty się nacieszysz. Idź.

Sekundę Gedras się zawahał, ale się oparł.

— Bawcie się wesoło. Mnie nie wolno odejść.

Posłaniec przyniósł tę jego odpowiedź do szynku.

Hilek zaklął, ale po chwili jakby o tym zapomniał. Poił kompanów, wszyscy byli podchmieleni, mało kto już na fundatora zabawy uważał. On się wysliznął do alkierza, poczęli prędko szeptać z synem Lejzorowej.

— Nie przyszedł, bestia. Trzeba samemu ryzykować.

— Może do jutra poczekać?

— Pał diabli!... Dorożkarz gotów, wszystko urządzone. Pójdę. Ty ich pój zdrowo. Za godzinę wrócę. Gdzie łachmany?

— W szopie. Weź siekierę.

— Nie trzeba. Dam rady kułakiem.

W szynkowni zabawa stawiała się coraz hałaśliwsza, śpiewano, bito, łajano i całowano się, kto jakie miał pijaństwo. Piwo, i wódka szły kolejką suto. Kiedy Hilek zniknął i kiedy się odnalazł, tego nikt nie zauważył. To jednak stwierdzono, że nie wrócił tej nocy do matki, i gdy nareszcie biesiadnicy w części rozeszli się do domów o własnych siłach, w części przy pomocy żon i dzieci, Hilek został w szynkowni, co wszyscy stwierdzili mogli.

Rano znalazła go tam matka, wpadłszy z okropną wieścią, że tejże nocy jej pana ograbiono na ulicy, gdy wracał z klubu do domu. Policjant znalazł go na ulicy ogluszonego, z wywichniętą ręką. Ledwie go docucono i dowiedziano się, że gdy jechał dorożką, jakiś drab¹⁰⁵ wskoczył na stopień, uderzył go pięścią w skroń, potem zadławił za gardło, a potem już nie wiedział, co się z nim działo. Twarzy napastnika nie widział, nie znał też dorożkarza, a raczej nie zauważył. Teraz znowu stracił przytomność i pewnie umrze.

Stara lamentowała, co się z nią stanie, gdy nie wyżyje. Miała zarobioną pensję, obiecał, że jej zapisze graty, a teraz rodzina się znajdzie, zjedzie, nikt jej słowu nie uwierzy.

Hilek słuchał, ziewając, wreszcie rzekł:

¹⁰²despekt zrobić komuś — okazać brak szacunku; urazić kogoś. [przypis edytorski]

¹⁰³kompania — grupa znajomych spędzających razem czas. [przypis edytorski]

¹⁰⁴zlużować — tu: zastąpić kogoś. [przypis edytorski]

¹⁰⁵drab — potężnie zbudowany, silny mężczyzna, wzbudzający lęk i wstręt. [przypis edytorski]

— I słusznie robią. Głupi tylko tak się urządza, jak ty. Było starego skubać, a nie służyć jak pies za kości. Teraz będziesz żebrała w kruchcie¹⁰⁶. Na nic się i lepszego nie zdasz.

— Aj, synku, nie żartuj! Ja wiem, że ty mnie nie zostawisz w nędzy. Ja tylko się turbuję, że te graty i zarobek tobie by się zdały, a tak, przepadło. Żeby tego zbója za życia robaki toczyły, żeby go te pieniądze na stryczek zawiodły!

— Tyle z twego gadania, co z psiego szczekania. Idź mi z oczu, daj się wyspać. Po co mi skamlesz nad uszami lamenty? Co mnie to obchodzi?

— Chodź spać do domu. Pościelę ci, dobrze wypoczniesz.

— A idź do choroby! Jak zechcę, to przyjdę...

Starowina, wystraszona groźnym tonem, powłokła się do domu, do roboty. A było tej roboty co niemiara przy chorym. Cichy dom nappełnił się doktorami, policją. Potem zjechała rodzina, wążąc spadek. Arcimowska była na nogach dniem i nocą, Hilek się nie pokazywał. Nie miała ni czasu, ni wolnej myśli o niego się dowiedzieć wobec coraz groźniejszej choroby chlebowawcy.

A po tygodniu zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Stara opłakała go szczerze, bo jej jednej do bytu był potrzebny. Po pogrzebie rodzina sprzedała graty, zwinęła mieszkanie i wyjechali, zostawiając w ogołoconej, zimnej kuchni Arcimowską, ciężko chorą. Zwaliała ją z nóg troska, zmęczenie fizyczne i zgryzota.

Żyd, właściciel domu, nie rugował¹⁰⁷ jej, bo nie miał na razie lokatorów, a litościwe kumoszki zaopiekowały się chorą. Przeleżała parę tygodni i zwlokła się, ale już zupełna ruina. Zamieszkała „kątem” u znajomych i czując się już zupełnie do pracy niezdolną, napisała list do Hilka, a raczej podyktowała znajomemu, co następuje:

— Napisz pan, że dobrzy ludzie odratowali mnie od śmierci, za co daj im, Boże, niebo, bo jakżeby umarła bez niego, nie pobłogosławiwszy, toć on mi jedyny. I że go teraz pytam, jako ze mną zdecyduje, że już zarobić nie zdołam w służbie, ale jemu to jeszcze potrafię i jeść ugotować, i szmaty uprać, i stancję utrzymać w ochędóstwie¹⁰⁸, byłem już do śmierci na niego patrzeć mogła. Jeszcze i wnuczeta poniańczę, ciężarem nie będę. Więc żeby zaraz mi wieść o sobie dał albo lepiej, żeby sam przyjechał i mnie zabrał, bo ja tych kolei nie znam i boję się, a w mieście wielkim to zupełnie zdurzęję. On teraz mój opiekun i głowa, to niechże, nie zwlekając, mną się zajmie, bo mi nijako i wstyd, syna takiego mając, u obcych ludzi na łasce być. I niech pan napisze, że go pozdrawiam i błogosławię jako matka i bardzo niecierpliwie go oczekuję.

Znajomy list zbudował i poniosła go stara do Lejzorowej, bo adresu, który jej Hilek dał, zapomniała. Ale syn Lejzorowej także adresu nie pamiętał i poradził, by tylko napisać „w Warszawie”, to go i tak odnajdą. Nawet sam adres postawił i staruszka, pełna dobrej myśli, rzuciła go na pocztę. Minął tydzień i drugi. Co dzień Arcimowska pomimo mrozu i śniegu włókła się na stację i wracała sama. Znajomi, u których mieszkała, poczęli jej dogadywać, że zawadza, narzekać, że kaszle w nocy, że ciasno w izbie, że drwa drogie. Wtedy sprzedała swą pierzynę i czarną rypsovą suknię, resztę rzeczy zostawiła u znajomych i postanowiła sama jechać szukać syna. Zaraz w wagonie trzeciej klasy zapoznała się z Żydówką jadącą do Warszawy i pod jej opieką dojechała na miejsce. Wylądowała z pociągu wczesnym rankiem zmęczona, odurzona i zaraz w ścisku zgubiła swoją przygodną towarzyszkę. Została tedy w tłoku, popychana i szturchana, bezsilna, aż wreszcie przykucnęła w jakimś kącie, patrząc osłupiałym wzrokiem na ludzki zamęt. Gdy fala publiczności przepłynęła, zbliżył się do niej posługacz¹⁰⁹.

— A wy tu czego czekacie?

— Ja do syna przyjechałam.

— A on kto? Tutaj służy? Jakże mu?

— Hilek, Hilary Arcimowski, ślusarz. Taki wysoki, ładny chłopak.

Posługacz się roześmiał.

¹⁰⁶kruchta — przedsionek w kościele. [przypis edytorski]

¹⁰⁷rugować — wyrzucać kogoś z zajmowanego miejsca, pozbawiać prawa do nieruchomości. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ochędstwo (daw.) — czystość, schludność, porządek. [przypis edytorski]

¹⁰⁹posługacz — mężczyzna odpowiedzialny za wykonywanie cięższych prac fizycznych. [przypis edytorski]

Na ten śmiech zbliżyło się jeszcze dwóch jego kolegów, poczęli ze starej drwić i żartować, zgromadziło się wreszcie całe grono gapiów i próżniaków, bawili się jej kosztem. Ona tego nie rozumiała, rozprowadając ze łzami swoje dzieje.

Wreszcie wmieszał się w to policjant, rozpędził gawiedź¹¹⁰ i rozpytał, kto taka, skąd jedzie, czy ma paszport, a że powtarzała wciąż o tym synu, więc widząc, że z niej więcej nie wydobydzie, zawołał stróża i kazał starą zaprowadzić do cyrkułu¹¹¹.

Tam spędziła Arcimowska kilka godzin, nie rozumiejąc, na co czeka, za co ją strofuje¹¹², czego od niej chcą.

Była głodna, zmęczona i nieprzytomna. Nareszcie po południu jeden z policjantów kazał jej iść za sobą. Zwlokła się z ławy siłą woli i poszła.

Bardzo było zimno i wietrzno. Chłód ją od razu przejął do kości.

— Panie drogi — rzekła do policjanta — gdzie wy mnie prowadzicie? Czy do syna?

— Czort wie, czy to twój syn. Jak się do ciebie nie przyzna, to cię zamkną do aresztu. Jak śmiesz bez paszportu się włóczyć?

— On mnie pozna, tylko by dojść, bo mnie bardzo słabo. Daleko to, panie?

— Daleko. Daj na dorożkę, to pojedziemy.

— Wydałam, co miałam. Myślałam, byle do Warszawy się dostać. Nie wiedziałam, że to taki świat. U nas o kogo spytać, to każdy zna. Ale dojdę, dojdę, choćby najdalej. Spocznę u niego i posilę się, i ogrzeję. Jużci koniec będzie mej biedy, byle do niego się dostać.

I szła wytrwale, otulając się chustką, borykając z wichrem, starając się nadążyć policjantowi, który ją burkliwie do pośpiechu napędzał. Jaką drogą szła, co było na ulicach mijanych, ile czasu szła, nie zdawała sobie sprawy. Wiedziała, że idzie do Hilka i że dojść musi.

Nareszcie weszli w jakąś bramę. Policjant zawołał stróża, spytał, czy tu mieszka ślusarz Arcimowski.

— A mieszka, ale go nie ma. Tam naprzeciwko w tancklasie¹¹³ przesiaduje.

Wskazał przez ulicę domostwo stare i brudne, i szereg okien zasłoniętych wątpliwej czystości firankami. Policjant się tam skierował i weszli do sali, wyglądającej na szynk lub restaurację.

Lampy już się paliły, mętne w kłębach dymu tytoniu i oparów ohydneho jadła i napojów. Gości było już sporo, panował gwar, śmiechy, szcęk talerzy i szkła. Wśród mężczyzn, pijących i jedzących, snuły się w roli służebnic dziewczyny rozczochrane i zuchwałe, z oczyma szklanymi od bezsenności i trunków.

Na widok policjanta zza bufetu wynurzyła się spasiona postać właścicielki zakładu o wybitnym typie semickim. Podeszła z uśmiechem, pytając, co rozkaże, i zapraszając na przekąskę. Policjant wypił parę kieliszków i rzekł:

— Jest tu u was Arcimowski?

— Nie uważałam. Czasem bywa. A co pan od niego chce?

— Nic. Jakaś stara, ot, ta, podała się za jego matkę. Trzeba sprawdzić. Zawołajcie go.

— Zaraz się dowiem. Józia, czy Syfon jest?

Jedna z dziewcząt usługujących zbliżyła się i Arcimowska rzuciła się do niej z okrzykiem:

— Józia! I ty tutaj! Gdzie Hilek?

Dziewczyna spojrzała na starą jakimś tępyim wzrokiem, otworzyła usta, skamieniała na sekundę, ale w tejże chwili matrona zza bufetu popchnęła ją, mówiąc ostro:

— Nie słyszałaś? Syfona tu zaraz przyslij!

Dziewczyna odwróciła się i poszła w głąb sali.

Policjant zakąsił, znowu wypił i gadał z bufetową, Arcimowska wyteżyła swe wyblakłe, wyplakane oczy w ten punkt, gdzie dziewczyna znikła, zakryta dymem tytoniu. W głowie czuła jakiś szum, zamęt, zawrót, osłabienie śmiertelne i osłupienie. Minęło kilka minut, długich dla niej jak lata, wreszcie rzuciła się naprzód z jękiem:

¹¹⁰*gawiedź* — tłum nachalnych obserwatorów. [przypis edytorski]

¹¹¹*cyrkuł* — posterunek policji w dawnym zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

¹¹²*strofować* — udzielać napomnienia lub nagany. [przypis edytorski]

¹¹³*tancklasa* — lokal, w którym odbywają się lekcje tańców grupowych dla osób, które nie utrzymują ze sobą innych więzi towarzyskich; pod tą nazwą często skrywały się domy publiczne. [przypis edytorski]

— Hilek, synku! O Jezu!

Ale ten, co się zbliżył, ten jej rodzony, jedyny ukochany, nie spojrzał na nią. Patrzył zuchwale na policjanta, a czuć było, że tym zuchwalstwem pokrywa niepokój. Ubrany był w miejską tandetę, z zakrojem na eleganta, na twarzy znać było pijaka.

— Ty Arcimowski? — spytał go policjant.

— Ja.

— No, to zabierz do siebie matkę i przedstaw do cyrkułu jej papiery.

— Kogo? Tę starą? A mnie co do niej! Moja matka dawno ziemię gryzie.

— Hilek! — jakimś skrzeczącym, nieludzkim głosem wrzasnęła Arcimowska.

Drab popatrzył na nią obojętnie.

— Czego się drzesz? Upiła się jakaś żebraczka i ot, co w policję wmawia¹¹⁴, głowę ludziom zawraca.

— To się do niej nie przyznajesz? Nie znasz jej?

— Napaść! Nigdy jej na oczy nie widział.

— Cóżes, stara, plotła? Przed urzędem łesz! Nu, poczekaj, nauczą cię. Marsz!

— Aaa, aaa! — załkała Arcimowska i osunęła się na ziemię.

Wokoło już znowu tłum był, gapił się, śmiał, oburzał, a Hilek w ten tłum się wmieszał i zniknął. Zaczęto cucić omdlałą, ale nie przełknęła nawet wody, ktoś chciał wołać doktora, ale właścicielka zakładu poszeptala z policjantem, zjawił się stróż, dorożka, dwóch ludzi wyniosło starą, ułożyli w dorożce, policjant z nią wsiadł — ruszyli. Gdy odjeżdżali, w jednym oknie uchyliła się firanka, ukazała się twarz Józki blada, obrzękła, z oczyma rozszerzonymi grozą, i wnet znikła. Dorożka potoczyła się do cyrkułu.

Wieczorem spoczęła Arcimowska już bez troski o dalszy byt w małej stacji przy prosektorium szpitala, obok zwłok noworodka zmarłego w klinice i ciała okaleczonego w fabryce robotnika, który nie przeżył operacji. Dziecko było podrzutkiem, robotnik nie miał rodziny, ją zapisano jako włóczęgę. Wszyscy troje mogli służyć do sekcji studentom, obejść się bez pogrzebu.

III

Śnieg padał. Na wprost okna, siedząc pod piecem, Gedras patrzył na monotonne wirowanie płatków, które mu zasnuwały widok na stary świerk po drugiej stronie alei, na czarne gałęzie, którymi wicher wolno kołysał, gdy on zwykle się wpatrywał podczas godzin samotności w chacie. Zapewne równie powoli kołysały się jego myśli, a może i wcale nie myślał. Odpoczywał jak maszyna. Życie jego było maszynowym, nazywano go w fabryce zegarkiem.

Można było istotnie według niego regulować zegarki, tak ściśle spełniał swe obowiązki. Po odniesieniu rano kluczy do rządcy, obsługiwał jeszcze do dziesiątej dworską kuchnię, przywoził drwa i wodę, potem był wolny do wieczora, z obowiązkiem tylko otwierania bramy pałacowej, ilekroć ktoś zadzwonił.

Ale zdarzało się to rzadko zimą, więc w te godziny, załatwiwszy swe gospodarskie sprawy, siadywał na ławie na wprost okna i może drzemał, bo cóż by ten chłop miał tyle czasu myśleć.

Gospodarstwo Gedrasa niewielkie było, kawalerskie. Sam sobie gotował jeść i wskutek nałogu samotności nauczył się nawet, pomimo kalectwa — uprać bieliznę i połatać odzież. Pomagał sobie nogami, zębami, okaleczonym kikutek lewej ręki i obchodził się bez ludzkiej pomocy. Do izby niechętnie nawet wpuszczał znajomych, a że mało gadał i niczym nie częstował, wstępowano chyba¹¹⁵ za interesem.

Po wypadku ze znajdą jakiś czas zajmowano się nim i dzieckiem, kobiety zaglądały przez ciekawość, ale potem oswojono się, zapomniano, przestano o tym mówić, nawet dziwić się, jakim cudem dziecko żyło.

Żyło. Przeżyło lato i dżdżystą¹¹⁶ jesień, teraz dopiero, w grudniu, zaczęło niedomagać. Musiało nawet być bardzo chore, kiedy Gedras przemógł swą nieśmiałość i raz w kuchni zagabnął¹¹⁷ starą Jankowską:

¹¹⁴co w policję wmawia — dziś raczej: co policji wmawia. [przypis edytorski]

¹¹⁵chyba — tu: najwyżej. [przypis edytorski]

¹¹⁶dżdżysty — deszczowy. [przypis edytorski]

¹¹⁷zagabnąć — zagadnąć. [przypis edytorski]

- Żeby to pani zechciała wstąpić do mnie, spojrzeć na małą. Coś od tygodnia słabuje.
- Cóż? Rozpalona? Może wysypka?
- Płacze, nie śpi, chrypie. Nie rozumiem się na tym...
- Jaż¹¹⁸ nie pójdę. Jeszcze czego zlego pańskim¹¹⁹ dzieciom naniosę. Daj rumianku.

I tak cud, że żyje.

Jankowska, zrazu oburzona z takiego kumostwa, udobruchała się powoli. Dała nawet parę razy dla znajdy starzyzny po pańskich dzieciach i zapytywała o nią Gedrasa, zawsze się dziwiąc, że jeszcze żyje.

— Bo co taki chłop bez ręki może dać za opiekę małemu dziecku? Czy to ma jakieś pojęcie?

Dostawszy rumianku, Gedras więcej o chorobie nie wspomniał, ale dziecko wciąż niedomagało, schło i nikło w oczach. Sprowadzić doktora przechodziło możność stróża, mleko, kupowane codziennie, kosztowało prawie połowę miesięcznej pensji, wydatki na zmarłą nadweryżyły drobny zasób. Zanieść dziecko do miasta do doktora bał się w mróz i wicher, więc je tylko otulał, kołysał i spełniał, co mu doradzały kumoszki. Mała miała od dawna kołyskę z łożyny¹²⁰, umieszczoną na sznurach u pułapu¹²¹, oddał jej na posłanie swą poduszkę, nauczył się ją kąpać i spowijać, kilka razy na noc wstępował poić mlekiem i usypiał. Teraz w chorobie nie wiedział, jak pomóc.

Śnieg padał, świerkowe gałęzie poruszały się monotonnie; była w naturze i w postawie, i w oczach siedzącego pod piecem Gedrasa jednaka martwota i tępa rezygnacja. Przyjdzie, co ma przyjść.

U bramy ozwał się dzwonek. Jak automat człowiek wstał i wyszedł z kluczami. To Jankowska wracała z miasta.

— Ot, pora! — zawołała, zdyszana, strząsając śnieg. — U księdza byłam, pytał o ciebie. Miałeś podobno być u niego i od chrzcina się nie pokazałeś! Jakże to można? A cóż dziecko?

— Ej, już chyba zamrze. Już i nie piszczy, takie słabe.

— Pokaż no! Co ty się na tym znasz.

Raz jeden od owej awantury była w izbie, więc się obejrzała ciekawie.

— Jednakże dość czysto u ciebie, choć bez gospodyni. Mógłbyś się też ożenić. Nawet i dziecku byłoby lepiej. Oj, liche ono, ale jakże ma być zdrowe na tym pachtowym mleku. Mamki trzeba, toby od razu poprawiło się, a tak, to będzie kawęczec¹²² i zgaśnię. Oj, zupełnie liche. Nic z niego nie będzie, próżny twój cały zachód. Toć trupik.

Gedras stał nad kołyską posępny, patrząc na żółtą twarz dziecka.

— A skądże ja mamkę dostanę? To pewnie drogo kosztuje. Która zechce?

— Poproś którą z fabrykantek, ale i tak myślę, że za późno ratować. Już ledwie zipie. Wiadomo, szkoda ci całego ambarasu i kosztu, ale jak zamrze, to może i lepiej. Co to za dola takiego.

Okryła dziecko i westchnęła.

— Jużci, jak skończy, to mi daj znać. Dopomogę w pogrzebie.

I wyszła, niemile dotknięta widokiem i izby tej dusznej i ciemnej, i tego schorowanego maleństwa.

Otrzeźwiała dopiero w pałacu. Pokój dziecinny był obszerny i jasny, kołyska pańskiej córeczki obita atlasem. Mamka wybrana przez doktora, zdrowa, młoda wieśniaczka, karmiła dziecko tłuste i różowe, niańka układała w kołysce batystowe posłanie, w sąsiednim pokoju dwóch starszych paniczów bawiło się pod opieką bony.

Czuć było dostatek, zdrowie, siłę, wygodę, bezpieczeństwo tej dziatwy, pewnoś, że będą porządni i cnotliwi, że nie zazną moralnej i materialnej nędzy.

Jankowska była dumna ze swych pupilów i zaczęła zaraz opowiadać niańce, jak wygląda znajda.

Choroba

¹¹⁸Jaż nie pójdę — Ja przecież nie pójdę (konstrukcja z partykulą -że, skróconą do -ż). [przypis edytorski]

¹¹⁹pański — tu: należący do pana (przełożonego, właściciela majątku). [przypis edytorski]

¹²⁰łożyna — giętkie, cienkie pędy wierzy, używane m.in. do wypłatania koszy i innych wyrobów wiklinowych. [przypis edytorski]

¹²¹pułap (daw.) — drewniany strop lub sufit. [przypis edytorski]

¹²²kawęczec — niedomagać, stękać. [przypis edytorski]

A Gedras długo stał nad kołyską i rozmyślał. Wreszcie wyjął z kuferka rubla, popatrzył posepnie na dwa pozostałe w woreczku, stęknął, otulił dziecko w poduszkę i kożuch i poszedł z nim do domku ogrodnika.

Gospodarza nie zastał, był w cieplarni pałacowej. Nieśmiało, wahająco stróż poprosił ogrodnikową o nakarmienie dziecka, położył od razu rubla na stole.

— Ot, głupstwo, co macie za to płacić, kiedy ona pewnie już ssać nie zechce. Zamo-
rzyliście butelką. No, dajcie, popróbuję.

Gedras usiadł na ławie i patrzył z niepokojem. Odetchnął, gdy dziecko ssać zaczęło, i po chwili rzekł nieśmiało:

— Żeby wasza łaska pokarmić je, choćby raz na dzień, ja bym zapłacił, ile mogę —
połowę pensji.

— A ileż to?

— Dwa ruble miesięcznie.

— Niedużo. Ale spytam męża, pomyślę.

— I poproszę was o zastępstwo przy bramie do wieczora. Mam na mieście interes.

— To już za to przyniesiecie parę śledzi i piwa na kolację. Strasznie zmizerowane
dziecko. Cień został. Moje miesiąc starsze, a ot, co za basalyk¹²³. No, to idźcie, trza po
sąsiedzku wygodzić¹²⁴.

Gedras po malej chwili kopał się w śnieżycy ku miastu. Niósł księdzu za chrzest dwa
ruble, a bojąc się, że może więcej zażądać, wstąpił do Lejzorowej i zastawił za rubla zegarek,
jedeny wartościowy przedmiot, który posiadał. Wtedy już spokojny wszedł do plebanii.
Ksiądz czytał przy biurku, poznał go od razu.

— A co? Napędziła cię Jankowska. Zapomniałeś o mnie. No, jakże, dziecko ci się
chowa?

— Już pewnie niedługo będzie. Nie zapomniałem ja, że w długu zostałem u księdza
dobrodzieja, tylko że nie mogłem zebrać grosza. Przyniosłem dzisiaj.

— A skądże wiesz, że ja pieniędzy od ciebie dochodzę? Mnie się coś więcej od ciebie
należy. Jak myślisz?

— Ja nie wiem, co ksiądz każe? — rzekł zmieszany Gedras.

— Nie wiesz? To źle. To ci powiem. Należy mi się twoja dusza. Rozumiesz? Chciałeś
pogrzebu, chrztu, a jakże myślisz? Nie trzeba ci to kąpieli, czystej szaty? Co? A mnie, czy
tylko umarłych grzebać, niemowlę do Kościoła wprowadzić? Mnie trzeba żywych mieć
i myślących. Trzeba i pocieszyć, i zburczeć¹²⁵, i poradzić, i rozsądzić. No, i trzeba mi was
wszystkich znać, a tyś mi obcy. Nie. Nie strachaj się, nie zmuszam cię. Wiem, że ci coś
dolega na sumieniu, ciężki to ładunek, a może bym ci ulżył, ale jeśli ci dzisiaj nie do
gadania, to odłożmy na dal¹²⁶. Tylko byś wiedział, że do mnie z tym śmiało przyjdź, jak
ci bardzo dokuczy.

Gedras milczał, mnąc w rękę woreczek z pieniędzmi.

— Tyś nietutejszy? Pewnie z kowieńskiej guberni¹²⁷? — spytał ksiądz.

— Tak jest. My spod Rosieni.

— A ja spod Kiejdan, to i prawie swojaki. A z jakiej wsi? Może znam?

— Ja ze szlachty. Dworek ojciec miał, Żywkiele. Było nas siedmiu braci, nie było na
czym się utrzymać, rozeszli się po świecie. Mnie ojciec oddał do Kowna, do krewnego,
co warsztat kowalski miał. Było mi wtedy piętnaście lat, szkółkę skończyłem. Już od tej
pory nie byłem w domu i nie wiem, co się tam dzieje.

— I tam w Kownie okaleczałeś?

— Ej, nie. To niedawno, cztery lata temu, w fabryce, w Białymstoku. W Kownie
tom krótko był, może dwa lata, bo wuj zbankrutował i do Ameryki wyjechał. Namawiał
i mnie, nie pojechałem, głupi. Człowiekowi się wydaje, że to on sobie dołą przedzie, a to
on sam jest nitką, a niedoła go mota, jak sama chce. Wuj podobno w Ameryce własną
fabrykę już ma, a ja, ot. Poruszył ramionami i umilkł.

¹²³basalyk — psotne dziecko. [przypis edytorski]

¹²⁴wygodzić — dogodzić, spełnić czyjeś życzenia. [przypis edytorski]

¹²⁵zburczeć — zbesztać, upomnieć, skrytykować. [przypis edytorski]

¹²⁶na dal (daw.) — na przyszłość. [przypis edytorski]

¹²⁷kowieńska gubernia — jednostka administracyjna Imperium Rosyjskiego w latach 1843–1915, obejmująca
część dzisiejszej Litwy i Łotwy, z siedzibą w Kownie. [przypis edytorski]

— Jakże to się stało? — spytał ze współczuciem ksiądz.
— Ta ręka, ksiądz dobrodziej myśli? Ot, wypadek, smarowałem maszynę, rękaw był wystrzępiony, chwyciło koło, raz obróciło, wyrwałem pogruchotaną w kawałki. Obcięli w szpitalu.

— Zapłaciła ci fabryka?

— Nic. Chcieli adwokaty dochodzić, namawiali na sprawę, mówili, że najmniej dwa tysiące dostanę. Nie chciałem. Co mi z tych dwóch tysięcy, ręki mi nie wrócą, a po prawdzie, co fabrykant winien, że mój rękaw podarty był; maszyna winna. Przekleństwo na wszystkie te potwory żelazne. Żeby mi moc i władza, ich bym ja rozbijał, ach, jakby druzgotał w sztuki, jakby łamał! Więcej na nich krwi jak na katowskich toporach.

— A właściciel fabryki nic ci dobrowolnie nie dał?

— Może by i dał. Gdym ze szpitala wyszedł, poszedłem do fabryki i trafiłem na pogrzeb. Młoda żona mu z suchot¹²⁸ umarła. Powstydzilem mu się w oczy leżać, zabrałem papiery i poszedłem w świat.

— Powiedz mi, Gedras, kto ci nauczył takich myśli? Nie ma złości w tobie, po chrześcijańsku czynisz, z wolą bożą się zgadzasz, a przecie kalectwo ciężkie ci?

— Pewnie. Ale bym miał rąk dwoje, nie byłoby mi lepiej. Wszystko jedno, wiek się i tak dokołace. Ot, dziecko już dochodzi, znowu sam zostanę.

— Nie masz nikogo swojego?

— Nie. Choćbym i w swoje strony wrócił, to po co? Rodzice pomarli, bracia po świecie, swoi zapomnieli. Może któryś z braci w Żywkielach siedzi, toby krzywo¹²⁹ przyjął, myśląc, że części chcę. Niech zdrowo żyją, dzieci hodują. Ja już cudzy i sam.

— I nie ożeniłeś się?

— Miałem żonę.

— Umarła? — ze współczuciem zapytał ksiądz.

— Umarła. Zabilem ją.

Człowiek powiedział to tym samym apatycznym tonem, jakim mówił dotychczas.

— Biedaku! — rzekł ksiądz po chwili milczenia.

Gedras przycisnął łokcie do żeber i odwrócił się do okna. Słyszać było, jak ciężko oddychał.

— Zawiniła ci zapewne? Nieprzytomny byłeś? Zdradziła cię?

— To prawda, że zawiniła, ale jej krew na duszy noszę. Nie ona ode mnie, ale ja od niej odpuszczenia nie dostanę. Muszę przeklętym być, bom jej ciało i duszę zgubił.

— Kto ci rzekł, żeś przeklęty? Bóg miłosierny.

— Powiadają tak i cieszą¹³⁰, alem¹³¹ ja tylko kary czuł i smaganie¹³², snadź to tylko dla mnie zapisane.

— Jakżeś ją zabił? Jak to się stało?

— Jakem z Kowna odszedł, dostałem się na kolej. Zrazu dziennie pracowałem przy remoncie, potem mnie naczelnik polubił i dał wiorstową¹³³ budkę. Niedaleko Grodna to było, budka dobra, z ogrodem, z pasemkiem pola, tuż pod stacją. Dał mi ją, choć sam byłem, kawaler, ale po małym czasie powiada: „Żeń się, bo donosy są, żeś nieżonaty, a to dwoje dróżników powinno być”. Więc się rozejrzałem, kogo by wziąć. Obcy człowiek byłem, ni duszy znajomej. Spodobała mi się służąca u drogowego majstra. Nie miejscowa była także, Mańka się zwała. Do majstra wstępowałem po służbie i przypatrywałem się jej robocie, ładna była i młoda, a tak skromna i poważna, jak święta na obrazku. Gospodyni zła była jędza, dzieci czworo, ciężka służba. Bywało i w nocy pierze, i w święto nie ma wolnej chwili, a nigdy nie narzeka. Z nikim się nie zadawała, z nikim ni śmiechu, ni swawoli, z nikim kompanii. Rozpytałem się o jej wiarę i ród. Mojej wiary była i sierota. Rozpowiedziała, że z daleka pochodzi, spod Mińska, że córka ekonomska, rodzice jednego dnia na cholerę pomarli, pani hodowała do lat piętnastu, a potem na służbę poszła. Była

¹²⁸suchoty (daw.) — gruźlica. [przypis edytorski]

¹²⁹krzywo — tu: niechętnie, ze złością. [przypis edytorski]

¹³⁰cieszyć — tu: pocieszać. [przypis edytorski]

¹³¹alem ja (...) czuł — inaczej: ale ja czulem (daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

¹³²smagać — uderzyć batem lub rzemieniem. [przypis edytorski]

¹³³wiorstowy — długości wiorsty, tj. około kilometra; tu: budynek przy trasie kolejowej lub drodze, rozmieszczony zazwyczaj co jedną wiorstę. [przypis edytorski]

w Bobrujsku, potem w Grodnie, aż się tu dostała. Metrykę miała i papiery w porządku, i świadectwa co najlepsze. Rozmawiał się ja w niej, że świata nie widział, zaczął co dzień zachodzić i czuł, że mnie rada widzi. Oj, czasy to były dobre! No, i pobrali się w farze¹³⁴, w Grodnie, na Gromniczną, a pod wiosnę się brało, brzozy, pamiętam, rozpuszczały, jak jej już nie stało. Tyle wszystkiego tego dobra było półtrzecia¹³⁵ miesiąca. Dwudziestego szóstego kwietnia zginęła.

— Jak to zginęła? — przerwał ksiądz.

— Maszyna przejechała wieczorem, po zachodzie.

Czuć było, że opowiadający ten moment tak widział, jakby to wczoraj było.

— Więc nie tyś ją zabił? — odetchnął ksiądz z ulgą.

— A któż by? Maszyna nie przysłała po nią do izby.

— Więc tyś ją pchnął?

— Żyć już nie było jak razem, ale żeby słowo rzekła, co zrobi, tobym razem był poszedł z nią chyba. Nic nie rzekła.

— Co miała rzec? Co było między wami? Więc sama się zabiła?

— Zabił ją wstyd i grzech, i kłamstwo. Ale ja nie był przecie najwinniejszy, każdy by tak zrobił, jak ja, każdy by się obruszył. Dlaczegoż na mnie się wszystko zważyło? Za co mnie przeklęty, że ni do Boga, ni świętego człowieka nie śmiem oczu podnieść. Za co mnie to spotkało? Wszystko powiem, nic nie zataję ani opuszczę. Nadto cierpieć i milczeć.

Jak my się pobrali i w tej budzie razem osiedli, to mi się zdało, że w niebie. Takie to stworzenie było słodkie i dobre, i wesołe, i pracowite, że myślę, za co ja sobie taką dolę wysłużył u Pana Boga. Ino śpiewanie u nas było i śmiech, i dobre słowa, a dnie to mijały jak sen. Na linii już robota była, chodziłem do dozoru i raz w raz do budy zabiegałem na nią popatrzeć. Roboty w mig się nauczyła, przy barierze zawsze w porę, sygnały znała, w ogrodzie kopać zaczęła. Na południe, gdym nie wrócił, to mi obiad przyniosła, pogwarzyła, jak to ptaszę, a choć ludzi dużo było i starszych, nigdy na nikogo nie spojrzała nawet, widać tak mnie miłowała okrutnie. A ja się tak nią cieszył, jakby anioł do mnie zstąpił.

Aż tu raz jeden z robotników pyta mnie:

— To wasza ta kobieta? Mnie się zdaje znajoma.

— A ty skąd? — pytam.

— Ja z Bobrujska.

— To może znasz, bo ona tam służyła.

— Dawno?

— Trzy lata temu.

Pomyślał, głową pokręcił, powiedziałem nazwisko.

— Kto by spaścił? Tak mi się twarz przypomniała.

I odszedł do roboty.

Na drugi dzień przysłała Mańka z obiadem, przysiadła przy mnie na pokładzie i gawędzi. Powiadam:

— Jest tu robotnik z Bobrujska. Pytał, kto ty?

Obejrzała się.

— Który? — pyta, bo właśnie leżeli w gromadzie.

Pokazałem, a i on patrzył na nią, ale się nie przywitał, a i ona mu nic nie rzekła. Myślę, zdało się coś.

Wieczorem robotnik wstąpił, chciał kupić chleba. Zabawił małą chwilę, zapłacił i poszedł.

Ja i zapomniał o tym po paru dniach, ale robotnik był mi wciąż na oczach i pamiętny, bo leniwy był i zuchwały. Raz i drugi naganiać musiałem i burczeć, a że się nie poprawiał i pyskował, przy tygodniowej wypłacie u drogowego majstra zameldowałem go do kary lub wydalenia, a że robotników nie brakowało, majster bez długiej sprawy wypłacił mu zarobek i kazał iść precz. Ten się wyprasał, tłumaczył, a że go nie słuchano, do mnie się odwrócił i powiada:

— A ty czego się panoszysz? Czy z tego, żeś dziewczkę uliczną za żonę wziął?

¹³⁴fara — główny kościół parafialny w mieście. [przypis edytorski]

¹³⁵półtrzecia (daw.) — dwa i pół. [przypis edytorski]

Takem¹³⁶ do niego skoczył i tak zdławił, że ledwie nas majster rozdzielił i tego za drzwi wyrzucił.

Od tej obelgi tom był jak pijany, przyleciałem do domu, trzęsąc się jak w febrze¹³⁷.

— Co tobie? — przeraziła się Mańka na mój widok.

Powiadam, co było, ledwo ze zgrozy dusząc słowa, a tu ona, jak stała, tak i runęła mi do nóg, i zmartwiała, bez ducha leży.

Porwałem na ręce, zacząłem cucić, rozcierać, a taki mnie strach uchwycił, jakbym sam skonał.

— Co tobie, Mańka, co tobie? — wołam.

A ona, ledwie się ocknęła, znowu mi do nóg, po ziemi się włóczy i coś bełkoce, coś jęczy.

— Co tobie? Opamiętaj się! Toć nieprawda! — mówię bez tchu.

A ona się poderwała na kolana, a taka straszna się zrobiła, żem nie poznał.

I słyszę, że mówi, ale głos cudzy.

— Zabij mnie! To prawda!

Takem i zdrętwiał. Ot, czysto¹³⁸, jakbym umarł. Takem na ławie siadł i już się nie odezwał. Patrzę na nią i jakbym nie widział, jakby jej nie było, patrzę po izbie i izby nie poznaję, a we mnie to zrobiło się tak zimno i straszno, jakby w jakimś lochu. I wszystko mi jedno! Ona mi u nóg leży, i szlochając się spowiada. Słucham, ale mi wszystko jedno, co gada. Powiada, że w tym dworze, gdzie sierotą została, panicz ją zgwałcił, że uciekła wśród nocy, gdy się matką poczuła, że dobiła się do Bobrujska, tam w nędzy przeżyła straszne czasy, aż wreszcie dostała służbę uczciwą. Takie męki opowiada, że kamień by się użalił, a mnie już wszystko jedno.

Słucham i słowa nie mówię, nie ma we mnie ni złego, ni dobrego, ot, drewno!

Potem nogi moje całuje i przeprasza, i przysięga, że mi życiem zapłaci za moją łaskę i dobre słowo, a mnie już wszystko jedno, patrzę na nią jak na cudzą. To i życie, to mi całkiem jedno, jakie będzie.

Jak się ozwał sygnał sznalcugu¹³⁹, co po północy szedł, tom stał, latarnię zapalił i wyszedł.

Przeleciał pociąg, wróciłem do izby, patrzę, skulona siedzi na ziemi w kącie. Zgasilem latarnię i mówię:

— Gaś światło i kładź się! Co się stało, nie odstanie, nie ma więcej co gadać.

I położyłem się. Rano wstaję, ona tak samo skulona siedzi, już nic nie mówi, tylko patrzy na mnie.

— Śniadanie dawaj — mówię.

Zerwała się do roboty, milczymy oboje i takem poszedł na linię. Jużem się nie obejrzał na dom anim¹⁴⁰ nikogo ni czego nie wyglądał przez dzień. Przyniosła mi obiad, zjadłem, spytała coś o ogród, odpowiedziałem. Ani czuję, by mi czym była. Wieczorem zjadłem sam wieczerzę, anim się zatroszczył, że jej obok mnie na ławce nie ma, że nie je razem. Tak było z tydzień, aż wreszcie ona nie wytrzymała, znowu mi do nóg padła.

— Janku — pyta — co ze mną będzie? Albo zabij, albo odpuść! Nie wiem, co myślisz? Nie wytrzymam!

Ja sam nie wiem, co we mnie się stało. Zabić jej nie chcę, a odpuścić jakże można, kiedy zapomnieć nie można. Tak patrzę, patrzę i nie wiem, co rzec.

— Czegoż ty chcesz? — mówię nareszcie. — Inny by cię zakatował i precz wygonił, ja ci krzywdy nie zrobię. Co więcej można? Jaką ja ciebie pokochał i brał, nie jesteś, a wierzyć tobie już nie potrafię. Ale cię nie rzucę i opiekę dam — więcej nic.

— Jakże mi żyć? — powiada.

— A jak mnie, to nie pomyślisz? — odparłem.

Nic mi więcej nie rzekła, poleżała chwilę, potem się podźwignęła i poszła do komina do roboty.

¹³⁶ *Takem* (...) *skoczył* — inaczej: tak skoczyłem. [przypis edytorski]

¹³⁷ *febra* — gorączka. [przypis edytorski]

¹³⁸ *czysto* — tu: po prostu. [przypis edytorski]

¹³⁹ *sznalcug* (z niem.) — pociąg pośpieszny kolei żelaznej. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ *anim* (...) *nie wyglądał* — inaczej: ani nie wyglądałem. [przypis edytorski]

Stała się ta izba nasza tak smutna, jak izba jakiej wdowy, której ostatnie dziecko w trumnie wynieśli. Jeszcze czas jakiś ona, nieboga, pracowała szczerze, zda się, zgadywała, co lubię; dogadzała, patrząc w oczy, chcąc zgadnąć, czy zawziętość odpuszczam, i zagadywała pokornie. Nigdy jej niechęci nie okazał, ale tak mi się zdawało, na nią patrząc, że nikogo nie ma, a słuchałem mowy, jak, drogą idąc, słucha się, co mówią mijający.

Potem przestała się odzywać. Gdy przyniosła obiad, tośmy nie zamienili słowa, a wieczorem, to siadywała w ciemnym kącie bez roboty i ruchu, a jakim zagadał, to jakby ze snu się budziła i często odpowiadała bez związku, a ginęła w oczach. Nie widziałem, by kiedy jadła czy spała.

Tak raz powiadam już z irytacją:

— Ty się opamiętaj, kobieto! Toć tak się wydaje, jakbym to ja tobie zawinił. A to pożałuję, że się po ludzku z tobą obszedł. Chimeryczysz¹⁴¹, jakbym ci krzywdę zrobił. Co tobie się roi? Złegom ci słowa nie dał. Może chcesz, żebym ci jeszcze podziękował i pieścił za twoje oszukaństwo, i rozpadał się jak nad porządną dziewczyną?

Zajęczała, zgarnęła się w klębek i powiada:

— Ja już pójdę, pójdę od ciebie. Niedługo, ino zmoję żal i strach. O, Jezu! Miej ty litość nade mną, nie mów tak!

Pożałowałem prędkości.

— Ja cię już nie wyganiam, anim co mówił, pókiś mnie z cierpliwości nie wywiodła. Toć patrzeć nie można, do czegoś podobna, a com ja winien?

A ona patrzy na mnie, rękoma dusi piersi i mówi:

— Janek, bym ci prawdę wyznała, wziąłbyś ty mnie za żonę?

Mówię ze szczerością:

— Nie.

Zakryła oczy rękoma i trzęsie ją cała.

— Ja tak myślałam, a takem cię ze wszystkiej mocy miłowała, że nie przemogła strachu, że mnie rzucisz, jak się dowiesz. Myślałam, Bóg się nade mną ulitował, nad wszystką męką, com przeżyła. Nieprawda, komu zguba sądzona, to nie ma dla niego ni u Boga, ni u ludzi ratunku. Tyś prawy i sprawiedliwy, ja winna, ja grzeszna, ja zła. Połamalam ci życie, wstyd naniósłam, brud, hańbę! Ja sobie pójdę, już ja ciebie nie proszę, byś mi wybaczył, już czuję, że tak żyć nie sposób. Już cię uwolnię od siebie.

— Nie trza ci iść ani cię puszczać. Nie desperujże¹⁴² tyle! Co to pomoże? Zgryzota nie odejdzie. Weź się do roboty, to i zapomnisz.

Od tej godziny już się starałem schować w siebie swoje myśli i nigdy nie pokazał, co mnie żarło. Zaczęliśmy gadać ze sobą, to o gospodarstwie, o robocie, tyłkom nie mógł jeszcze się przemóc, by jej dotknąć, by objąć, by pocałować. Jakem pomyślał o naszym kochaniu, to mi się przypomniało, jakim raz w Kownie znalazł w studni utopione dziecko. Leżało tam może tydzień, a ja niewiedzący wodę pijał i nic nie czuł, a potem tom już z tej studni ni kropli do ust nie wziął więcej. Mańka też nie garnęła się do mnie i takeśmy żyli, jak towarzysze w więzieniu, bez złości, ale i bez szczerości.

Którejś niedzieli, wzięwszy miesięczną pensję, zabawiłem w szynku. Nigdy wódki nie lubił, ale teraz to mi się jej zachciało jak wody. Wypiłem butelkę, alem nic nie czuł, tylko mi jakoś źle śpiewać i śmiać się brała ochota.

Poszedłem do domu i com kiedy paskudnych śpiewek słyszał, to mi się wszystkie przypomniały, tom je gwizdał, to śpiewał i śmiał się sam do siebie. Podchodzę do domu, widzę, Mańka na progu siedzi, takem na cały głos zaśpiewał:

Moja miła panna chodzi, wianka nie traci,
Chociaż miała tylu chłopców, ilu nas braci!

Wstała była na mój widok, ale jak posłyszała to, bez słowa powitania weszła do izby. Podaje mi wieszak, ręce jej się trzęsą, biała jak ściana. Mnie ciepło izby rozmarzyło, więc ledwie zjadł, położyłem się i zasnąłem.

¹⁴¹*chimeryczyczeć* — marudzić, grymasić, narzekać kapryśnie; od: Chimery, potwora z mitologii greckiej o postaci lwa z głową kozy i wężem w miejscu ogona. [przypis edytorski]

¹⁴²*desperować* — rozpaczać. [przypis edytorski]

Rozczarowanie

Hańba, Rozpacz

Jak przez sen słyszę ze stacji sygnał sznelcugu. Podniosłem ciężką głowę, patrzę — Mańka już ubrana, zapala latarnię.

— Ty idziesz? — pytam.

— Idę, Jaśku, idę. Śpij spokojnie, biedaku!

Już z latarnią podeszła do mnie, okryła, poprawiła poduszkę, popatrzyła i wyskoczyła na dwór. Mnie się coś zdało, że posłyszałem niezwykle gwizd lokomotywy, jeden, drugi, potem huk przelatującego pociągu, potem znowu gwizd, jakiś szum, zgrzyt, ale się nie poruszył ani rozbudził zupełnie. Dopiero zerwałem się na nogi na wołanie i stukanie w okno.

Wyskoczyłem od razu wytrzeźwiony. Myślę, pociąg się wykoleił. Na plancie¹⁴³ przy zastawie ludzie z sygnałowymi latarniami krzyczą, wołają:

— Dróżnik! Dróżnik!

Lecę bez tchu. Noc miesięczna, jak dzień. Patrzę, Mańka na szynach, przez piersi na pół rozmiądzona. Tak i koniec.

Kto ją zabił? Kto ją zabił? Ja, ja! Powiedzieli ludzie, że się potknęła przy zastawie, że senna była, napisali tak i pochowali. Żeby wiedzieli, co ja wiedział, toby jej do święconej ziemi nie przyjęli, a żeby wiedzieli, co ja czuł, na tego trupa patrząc, toby mnie powinni w kajdany zakuć. Ja zaraz stamtąd poszedł. Całe lato tom jak borowy zwierz żył, na drodze, w lesie, w zbożu. Nie pamiętam, com jadł, gdzieś spoczywał, czym słowo wyrzekł do człowieka. Szedłem, szedłem, a jak skrzydła wiatraka, tak mi się myśli kręciły. Ja mordercą był, maszyna bezduszną bronią, aleć dlaczego ja zamordował, za co? Czy ja winien tylko sam?

Poszedł ja w jej strony, odnalazł ten dwór i tego pana. Bogaty, poważny obywatel. Żonę miał, dzieci. Kłaniał mu się wielki i mały, w kościele swą ławkę miał najpierwszą. O Mańce już i pamięci nie było, dopiero jak się rozpytałem, przypomnieli, że bez wstydu była, bo jak panicz się z nią pobawił, to do pani poszła ze skargą i do proboszcza ośmieliła się chodzić z narzekaniem, taka bez ambicji była. Pani i proboszcz, jak się należy, zwymyślili, wypędzili i że ladaco¹⁴⁴ była, to i słusznie, że przepadła. Panicz, wiadomo, jak każdy z dziewczętami się zabawiał, ale teraz to już się ustatkował. Był ja potem i w Bobrujsku, odnalazł tych państwa, u których służyła. Krótko trzymali, bo jak się przekonali, że jest brzemienista, wypędzili ze wstrętem. Nikt jej nie usprawiedliwił i nie wybaczył, ni ta pani, co ją chowała, ni proboszcz, ni to państwo, ni ludzie znajomi. Skądże ja miał być inny, za co na mnie jej krew i dusza? I w domu od matki i ja słyszał, i w kościele ksiądz nauczał, i w prawie stoi, że taka kobieta brudna i potępiona, i od czci odsądzona jest, i hańbę niesie, i niegodna w uczciwy dom wejść. Oszukała mnie, miałem prawo karać. Sto razy tom sobie wytłumaczył i nie mogę spokoju mieć. Jednakże jak w dzień, tak w noc, czuję w sobie jakąś duszność i szept: „Zabiłeś, zabiłeś!”. Coś innego jest na świecie, coś fałszywego we wszystkim; jest na świecie jakaś maszyna, co zgrzyta i szarpie, i dusi, a ja jej był bronią. Ja zrobił, co ta moc kazała. Ja przeklęty, ale przeklęci i ci wszyscy przede mną. Życie mi męką i zgryzotą, a wiem, że i po śmierci sąd mnie czeka. O, czeka i przyjdzie! Ona, nieboga, mnie nie poskarży, ona się za swą krew u mnie nie upomni, ale z tamtej strony inne prawa i zakon. Tu na ziemi Boga nie ma, ale On jest tam, bo śledczy z jego ręki we mnie jest pomimo wszystkie ludzkie ustawy i gada, że sąd mój odroczone, aż mi śmierć pozew wręczy. Wtedy ja pójde, wtedy mnie powiodą na sprawę. Ale ja wtedy bronić się będę, ja milczeć nie będę, wtedy ja sprowadzę i przed Majestatem gadać muszą wszyscy owi, co wydali ludzkie prawa, co mnie kazali taką kobietę w ohydzie i wstręcie mieć. Oni uczyli, oni przykazywali, ja słuchał! Ja się ich nie załękne wtedy ani zamilczę, ani się Majestatu nie strwożę i powiem: „O Jezu, jeśli oni sługi i urzędniki Twoje i uczą, jakieś kazał, tom jej krwi nie winien, a jeśli uczyli mnie fałszu, to ukarż je jednakże ze mną”. I wtedy prawda się stanie, i słuszny wyrok usłyszę, i jeśli On mnie skarże, odechnę z męki. A dotąd nikt mnie nie uspokoi ni pocieszy, ni rozjaśni, co mi ciemne. A tylko wiem, że mi gorzko i sromotnie, i pusto. I tak mi już będzie do końca. W nijakie już słowo ni sąd, ni prawdę na tej ziemi nie wierzę. Tu tylko maszyny są, co wszystko miażdżą, ciała i dusze, i myślenie. I nie lękam się niczego na tym świecie, żadnej klątwy.

Samobójstwo

Sprawiedliwość

¹⁴³plant — teren, po którym biegną tory kolejowe. [przypis edytorski]

¹⁴⁴ladaco — człowiek nieodpowiedzialny i lekkomyślny, nic niewarty; por. byle co. [przypis edytorski]

By mnie ksiądz w swym politowaniu i rozgrzeszył, nie pozbędę się dusznej zgryzoty, by odmówił odpuszczenia grzechu, to tym już nie udręczy gorzej. Nie poweseleję, bym¹⁴⁵ zebrał grosz, nie będę się troskać, gdy śmierć, nędza i głód przyspieszy. Pewny ja, że i to dziecko zamrze, i słusznie będzie, bom nie uchował życia tamtej umiłowanej. I to już wszystko, wszystkim powiedział, całą dołą!

Umilkł i ciężko odetchnął, a potem otarł rękawem pot z czoła i podniósł wzrok nieufny na księdza.

A ten milczał z głową pochyloną, chmurny bardzo, jakby tego, co myślał i czuł, nie śmiał powiedzieć.

Wreszcie i on ciężko westchnął, podniósł głowę i spotkali się wzrokiem, i nie wiadomo, czyje oczy smutniejsze były.

— Gedras, ja cię ani potępię, ani uniewinnię. Mnie ciebie serdeczny żal, biedaku, i rad bym ci ulżyć, pomóc żyć. Czyń dobrze, ile w twojej mocy, chroń słabych od zmiążdżenia. W jałowej rozpacz i żalu, i buncie nie godzi się żyć. Ratuj od zguby bliźniego, wtedy poczujesz, że Bóg i tu jest. Czy chcesz się ze mną pomodlić? Czy tyś się kiedy pomodlił serdecznie za tę, która cię tak kochała?

Gedras potrząsnął głową.

— Nie, nigdy nie śmiał — szepnął.

— Nie masz racji. Wszakże rad byś ją przeprosić, a jakże to uczynisz inaczej, jak przez Boga? Pokłękniij, zmówmy za nią pacierz.

Gedras usłuchał, uklękł obok siebie u okna, ksiądz odmawiał pacierz, tamten poruszał ustami i trząsł się jak w febrze. Gdy powstali, ksiądz mu rękę na głowę położył.

— Co dzień, o tej samej godzinie, ja za was ten pacierz odmówię. Jak zechcesz ze mną być, to ty tam u siebie także się pomodl. A w każdej życiowej potrzebie i sprawie do mnie, jak do przyjaciela, przychodź. A teraz idź z dobrą myślą do dziecka, nie zamrze. Bóg ci je dał na pociechę, uchowasz!

Blask otuchy rozjaśnił oblicze Gedrasa, pochylił się do ręki księdza i bez słowa wyszedł.

Biegł z powrotem, bo zmierzch już był. Gdy wchodził do izby, serce mu biło młotem.

Ogrodnikowa drzemała na ławce, w kołysce było cicho.

— A co, przynieśliście śledzi?

— Jest wszystko. A jakże dziecko?

— Śpi. Napoiłam rumiankiem. No, i z moim się rozmówiłam. Zgadza się, żebym raz na dzień pokarmiła to niebożątko, ale jeśli dacie z góry dziesięć rubli, a piętnaście na Nowy Rok.

Gedras uchylił szmatę z kołyski i zajrzał.

— Dam, jako żądacie, byle mi żyło — rzekł.

Ogrodnikowa aż zdumiała. Spodziewała się protestu i targu, żałowała, że nie zażądała więcej, choć i tak nadciągnęła pięć rubli nad to, co mąż chciał.

— Albo zwariował do tego dziecka, albo ma, szelma, dobry zapas w kuferku — mówili tego dnia wieczorem w gronie rodzinnym.

Ale Gedras zapasu nie miał. Żeby dopełnić pierwsze dziesięć rubli, sprzedał Lejzorowej zegarek, pamiątkę lepszych czasów, aby wypłacić drugą ratę, wyzbył się świątecznej odzieży, kożucha i kwartalnej pensji. Zostały mu tylko łachmany, dwie koszule; został bez grosza na tytoń aż do wiosny; przymierał głodem, bo ordynarię¹⁴⁶ po większej części sprzedawał na mleko i bułki dla dziecka, ale ponosił te ofiary bez najmniejszego wahania, bo dziecko żyło, zdrowe było, rosło, znało go, uśmiechało się na jego widok.

IV

Domek Gedrasa miał jedno okienko na drogę do pałacu. Zimą mróz je ubierał w gwiazdy i kwiaty, latem widać przez nie było zwirowaną drogę i sztachety¹⁴⁷ dworskiego ogrodu, za nimi gąszcz zieleni.

¹⁴⁵bym — tu: gdybym, jeślibym. [przypis edytorski]

¹⁴⁶ordynaria — dodatek do wynagrodzenia dla służby dworskiej w formie produktów rolnych, takich jak zboże czy ziemniaki [przypis redakcyjny]

¹⁴⁷sztacheta — wąska deska będąca częścią ogrodzenia. [przypis edytorski]

Współczucie

Poświęcenie

Gdy dziecko, jak kurczę z jajka, wykluło się z kołyski i poczęło pełzać, ku okienku temu poszły jego oczy, pragnące światła, jego myśli, ciekawe rozumienia. I pierwsze bełkotliwe słowo było:

— Tato, co to?

A że wtedy właśnie zima była, więc Gedras na rękę je wziął, szybą oddechem rozegrzał, rękawem trochę wytarł i pokazał.

— To świat, ale tam zimno, źle.

Oczki¹⁴⁸ dziecka zmrzyły się od blasku śniegu, ukryło twarz na piersiach opiekuna z mimowolnym lękiem.

Przebiedowawszy ciężko pierwszy rok życia, Mańka jakby postanowiła żyć, poczęła w oczach rozwijać się i rosnąć. Gdy skończyła dwa lata, już szczebiotała i biegała po izbie, a takie to było ruchliwe i ciekawe, że Gedras musiał na klucz izbę zamykać, gdy po południu do drew szedł, bo się gwałtem za nim rwała.

Zostawała sama, rzewnie płacząc i patrząc w to okienko, za którym w dali, za drogą widziała sad w kwiecie i zieleni.

— Tato, ja chcę tam! — powtarzała żałośnie.

— Nie można — tłumaczył łagodnie. — Tam tobie nie wolno, to pański ogród.

— Ja tylko chcę popatrzeć!

— To patrz przez szybę. Jeszcze zimno, trzewiczków nie masz. Jak będzie ciepło, wezmę cię z sobą do drwalni.

— A kiedy będzie ciepło?

— Ot, już prędko.

Dziecko się uspokoiło na parę tygodni i znowu rozpoczynało swe prośby i pytania.

Nareszcie pewnego dnia Gedras kupił jej trzewiczki i barchanową¹⁴⁹, w paski czerwone sukienkę i odbyło się pierwsze wyjście „w świat”.

Przestwór przeraził dziecko. Zaraz za progiem przytuliła się do nóg opiekuna, rozglądała się, szeroko roztwierając czarne jak węgiel oczki i dyszała, i trzęsła się z wrażenia. Potem zarzuciła go tysiącem zapytań, na które, jak umiał, tak odpowiadał, a wreszcie wyrwawszy rączkę z jego dłoni, pobiegła ku sztachetom ogrodu. Była tak malutka, że dosięgała ledwie głową wierzchu podmurowania, i widok zieleni zniknął. Dotknęła rączką cegieł i wróciła rozczarowana. Gedras usiadł na ławeczce pod ścianą, a ona poczęła bawić się kamyczkami żwiru, a wprędce zmęczona powietrzem usiadła przy jego nogach i usnęła.

Nazajutrz wziął ją ze sobą do drwalni. Dreptała wytrwale przy nim, a on ją uczył wszystkich niebezpieczeństw. Pokazał jej psy, które kłają, i studnię, którą trzeba omijać, i płot z kolczastego drutu, który kaleczy, pokazał jej ludzi i powiedział, żeby się do nich nie zbliżała, bo wybiją¹⁵⁰.

Mańka niedobrze to wszystko rozumiała, bo jej dotąd nikt jeszcze nie kłosał, nie kaleczył i nie bił, ale że była przerażona i przejęta mnóstwem nowych wrażeń, więc o krok się od niego nie oddalała.

Gedras z wprawą, nabytą długim doświadczeniem, ładował jedną ręką drwa, jedną ręką umiał założyć konia do wozu, jedną ręką nalewał wodę ze studni do beczki — i tak parę godzin obsługiwał dworską kuchnię. Za nim dreptało dziecko.

— Oho, znajda, jaka duża! — zauważył ją kucharz.

Gedras nic nie odparł, ale mu się ścisnęło serce i żałował, że dziecko z izby wyprowadził. Kucharz przecie powiedział prawdę. Znajdą była, przyłgnie to do niej i zostanie na zawsze.

Gdy zarazem dał dziecku kawałek cukru, a ono się cofnęło i nie chciało wziąć, Gedras się ucieszył i nie zachęcał.

— Na, masz, mała! — rzekł kucharz. — To smaczne, spróbuj. Powiedźcie, niech weźmie — dodał.

— Na co? Syta — burknął stróż.

— Oho, jakiś hardy! Może ona hrabianka? — obraził się kuchmistrz i odszedł, a kuchcik jakby wypadkiem chlusnął wodą na nowe trzewiczki dziecka.

Dziecko, Dzieciństwo

Nauka

¹⁴⁸oczki — dziś raczej: oczka. [przypis edytorski]

¹⁴⁹barchan — gruba bawełniana tkanina, której lewa strona pokryta jest miękkim włosiem. [przypis edytorski]

¹⁵⁰wybić kogoś (pot.) — sprawić komuś lanie, pobić. [przypis edytorski]

— Nie rusz mi jej! — warknął złowieszczo Gedras.

— To tak, niechący — tłumaczył się chłopak, ale gdy pusta beczka odjeżdżała, rzucił się za nią pies kuchenny, snadź poszczuty, z zajadłym ujadaniem. Dziecko poczęło płakać, przerażone, ale pies wnet się opamiętał i przypadł, łaszcząc się do stróża.

— Tato, ja się boję!

— Widzisz, napierałaś się z izby! Nie lepiej ci tam siedzieć? Tam ci nikt krzywdy nie zrobi.

Po tej próbie przez dni parę dziecko siedziało cichutko u okienka i wyzierało na świat, ale że zbladło i przestało jeść, Gedras sam zabrał je znowu z sobą na powietrze, ale już zabronił zbliżać się do kuchni, kazał siedzieć przed drwalnią i bawić się trzaskami¹⁵¹.

Jakiś czas zadowalała się przyjemnością, ale myśl się budziła i ciekawość, sił żywotnych przybywało i wciąż najbardziej nęcił ją ten ogród za sztachetami.

— Tato, co tam jest? — pytała. — Dlaczego mnie tam nie wolno iść? Weź mnie na ręce i podnieś w górę, ja tylko popatrzę.

— Nic tam nie ma innego jak tutaj. Drzewa i trawa, i kwiaty. A nie wolno ci tam być, bo to cudze.

— Co to cudze?

— Nie twoje.

— A co moje?

— Sukienka twoja i trzewiczki.

Odjechał z furą drew, a dziecko pozostało wśród trzasek, rozmyślając, a nic nie rozumiejąc.

Może by się puściło na wędrowkę w stronę ogrodu, ale na drodze była kuchnia, a w pamięci zostało jej szczekanie psa i groźna twarz kucharza.

Całe to pierwsze lato swego bytowania na powietrzu spędziła pod drwalnią wśród trzasek lub przed chatką stróża. Na widok ludzi przechodzących Gedras ją nauczył chować się do drwalni lub do izby, mówiąc, że gdy ją kto złapie, to włoży w worek i wrzuci do ciemnej jamy, pełnej myszy i pajaków. Uwierzyła; bała się okropnie ciemności, myszy i pajaków, więc spełniała polecenie i chowała się przed ludźmi.

Przekonała się też, że ilekroć nie posłuchała, spotkało ją coś złego. Raz przejeżdżający furman ściągnął ją batem, gdy nie dość szybko usunęła się z drogi, kuchcik, stały jej prześladowca, gdy ją spotkał, a Gedrasa nie było w pobliżu, gonił ją i straszył, ciskając w nią kamykami i błotem, a raz rządca natknął się na nią i pogroził szpicrutą¹⁵², wołając groźnie:

— Po co się tu płaczesz i śmiesz? Do chaty, bo dostaniesz!

A już od owego razu batem wiedziała, jak to boli. Zmykała też na widok ludzi ile sił, a nie śmiała się Gedrasowi poskarżyć, bo gdy ją zastał płaczącą wtedy, gdy ją ten furman uderzył, to rzekł:

— Dobrze ci tak, za to, że mnie nie słuchasz.

I gdy ją rozebrał, i zobaczył czerwoną szramę przez plecy, to takie miał złe oczy i tak warczał, jak ten brytan¹⁵³ kuchenny. A przecie jego jednego Mańka się nie bała. Gdy o świcie wracał do izby po nocnej służbie, stawał nad jej posłaniem i choć nie całował, to miał takie jakieś oczy, że dziecko wyciągało do niego ręce i budziło się jak skowronek szczebiotem.

Zanim się położył na kilka godzin snu, dziecko sam mył, ubierał i dawał mu śniadanie. Miała zawsze mleko i chleba do syta, miała czystą koszulinę i sukienkę, czarne włoski ostrzygał przy skórce, gdy nastało ciepło, chadzała boso. Podczas toalety i śniadania gawędziła wesoło, potem on się kładł spać, ona wychodziła bawić się przed chatę, na byle jaki alarm cofając się do wnętrza. Nikt się nią nie zajmował, nie pilnował i nie zabawiał. Była zostawiona sobie, swemu przemysłowi i instynktowi zachowawczemu. Zwłóczyła pod okienko żwir, natykała w to badyli, papierków, szmat, robiła ogródki. Gdy się zmęczyła, zasypiała w słońcu u progu, gdy zgłodniała, wracała do izby, wgramolała się na zydel¹⁵⁴

¹⁵¹trzaska — niewielki odłamek drewna, często wykorzystywany do rozpalania ognia. [przypis edytorski]

¹⁵²szpicruta — giętki bat pokryty skórą lub spleciony z rzemieni, służący do poganiania konia. [przypis edytorski]

¹⁵³brytan — duży pies. [przypis edytorski]

¹⁵⁴zydel — drewniany stół. [przypis edytorski]

i dostawała ze stołu kromkę chleba, gdy chciała pić, umiała zaczerpnąć kubkiem wody z wiaderka w sionce¹⁵⁵.

Miała też towarzystwo i znajomych. Kot jakiś beapański przychodził i najbezczelniej dzielił się jej mlekiem, a potem się wysypiał na przyzbie¹⁵⁶, a wreszcie kiedyś zjawiał się i pies, kundys¹⁵⁷ fabryczny, pokorny, bity wszędzie i pędzony, głodny strasznie, usiadł naprzeciw niej i patrzył, oblizując się na chleb.

Zrazu Mańka cofnęła się przed nim, ale gdy nie szczekał i nie gonił jej, ośmieliła się i zbliżyła. Pies odebrał jej wprowadzić chleb i pożarł, ale potem oblizwał ją i dał się ciągnąć za uszy, i odtąd przychodził ciągle jeść i bawić się.

— Tato — pochwaliła się. — Jest ciucia¹⁵⁸ i nie kasa. Dlaczego nie kasa?

— Boś malutka.

Dziecko zamyśliło się.

— To czemu ten straszny człowiek mnie „boli” zrobił, kiedy ja malutka?

Gedras nie odpowiedział.

— Dlaczego, tato? — napierała się.

— Boś mnie nie słuchała. Mówiłem ci, żebyś od ludzi się chowała. Psy bywają rozmaite, ale ludzie wszyscy nie cierpią dzieci.

— Czy ty także „ludzie”?

— No, przecie!

— To i ty mnie nie cierpisz! A ty mnie nie bijesz!

— Jak zasłużysz, to wybiję.

Popatrzyła na niego zdziwiona, pomyślała, dopomagając sobie w tej czynności palcem w buzi i wreszcie rzekła:

— Nieprawda!

Aż się mimo woli uśmiechnęła.

Gdy nastała słotna¹⁵⁹ jesień, skończyły się wędrówki dziecka. Długo się upierała, towarzysząc mu wytrwale, zziębnięta, ale gdy śnieg spadł, zamknął ją bez ceremonii na klucz. Kilka dni płakała, protestując bezsilnie, wreszcie poddała się losowi.

Wyprosiła sobie tylko towarzystwo kota i psa i dla niej też umiał¹⁶⁰ Gedras okienko w parę wazoników niewybrednych kwiatów.

Nikt zresztą nie myślał o zabawianiu i rozrywkach małej i ona sama nie rozumiała, co znaczy nudzić się. Pod piecem miała ławkę niską, na niej garść kasztanów, fasoli kolorowej i tekturowe pudełko od gilz¹⁶¹, pełne gałganów, które Gedras dostał od piastunki dworskiej. Tym się bawiła, rozmawiała z psem i kotem, śmiała się z nich, goniła po izbie, póki Gedras był na służbie. Gdy wracał, dawał jej robotę. Zwykle zimną płótl słomianki i maty, musiała mu podawać słomę. Wolno jej było przy tym szczebiotać.

Ludzie rzadko zaglądali do stróża, zniechęceni jego mrukowatością, tylko ogrodnikowa wstępowała czasem, żeby korzystając ze swych zasług, czymś się pożywić. Nie można było ludziom wybić z głowy, że ten mruk był utajonym skąpcem.

Zwykle pożyczala trochę nafty, soli, smolnych szczap¹⁶², a przy tej okazji zasiadała do gawędki i żeby gospodarza dobrze dla swej prośby usposobić, pieściła i chwaliła małą.

— Śmiech powiedziec, ale wyciera się ładna z niej dziewczyna.

— Po co gadacie? — mruczał Gedras niechętnie. — Co można poznać z takiego baka, a w głowę sobie głupstwo nabije.

— Ale właśnie, tego jej nie powiedzą inni, jak dorośnie. Ot, co ją tak trzymacie samą, chcecie, zabiorę ją na wieczór do moich, niech się pobawią...

¹⁵⁵sionka — pomieszczenie prowadzące do wnętrza domu, przedpokój. [przypis edytorski]

¹⁵⁶pryzbza — wał ziemny usypany dookoła podmurówki dawnej chaty wiejskiej, niekiedy obity deskami. [przypis edytorski]

¹⁵⁷kundys — kundel. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ciucia — pieszczołtliwie o małym psie, szczeni. [przypis edytorski]

¹⁵⁹słotny — deszczowy. [przypis edytorski]

¹⁶⁰umaić — przystroić, ozdobić, upiększyć coś, np. kwiatami, wstążkami lub innymi dekoracjami. [przypis edytorski]

¹⁶¹gilza — rurka z bibułki do papierosów. [przypis edytorski]

¹⁶²szczapki smolne — kawałek drewna przesiąknięty żywicą, doskonały do rozpalania ognia, ponieważ łatwo się zapala i długo płonie. [przypis edytorski]

— A po co? Żeby się potem ciągle do kompanii napierała i żeby ją tam „znajdą” częstowali? Niech siedzi cicho w domu.

— Juści nie utrzymacie tak zawsze. Jeszcze trochę podrośnie, to ją do dzieci ciągnąć będzie i nie upilnujecie. Coście tacy zazdrośni?...

— No, co będzie, nie wiem, ale teraz i krokiem od siebie nie puszczę.

Dziecko się nie napierało¹⁶³ i nie nudziło. Miało w sobie wielki zasób przemysłności i ciekawości do zajęcia. Dreptała za nim, gdy gotował, gdy sprzątał; naśladowała go i ni- by pomagała. Tylko czasem pytała żałośnie, kiedy będzie świat, tak zwała lato. No i tak doczekała drugiego lata na powietrzu.

Teraz już śmiej się poruszała, odnalazła swe kamyki i drogę do drwalni, ale zawsze największą ciekawością napępniał ją pański sad.

Podrosła na tyle, że noskiem sięgała nad podmurowanie, i mogła tak stać godzinami, zapatrzona w cuda, oniemiała z zachwytu.

— Tato — opowiadała potem — tam za tym murem są dzieci, takie jak ja, tylko ja czerwona, a one całe białe. Dlaczego?

— To są pańskie dzieci. Żebyś mi nie śmiała na nie wołać i im się pokazywać.

— Czy one kłują?

— Głupiaś! Nie wolno ci być z nimi i basta.

— A tam są też na drzewach czerwone kwiaty, co je ogrodniczek zrywa i zjada. Daj mnie, tato, tych kwiatów!

Ubawiony, kupił jej kilka jabłek. Smakowały, ale była bardzo zmartwiona, że kot i pies nie chcieli uwierzyć, że to bardzo smaczne.

— Tato, żebyś ty przyniósł całe takie drzewo i posadził u nas pod oknem. Żeby było dużo, dużo jabłek u nas, cały ten sad.

— To pański sad, nie nasz, a jabłka trzeba kupić, ja nie mam dużo pieniędzy na dużo jabłek.

— To czemu ty także nie masz takiego sadu?

— No, bo nie mam — odpowiadał zniecierpliwiony.

— To ty miej, tato! Co to pan?

— Pan to taki starszy i mądry człowiek, który mnie daje pieniądze, żebym go słuchał, drwa woził i wodę, w nocy pilnował, żeby czego nie ukradli, co jego jest. Pan nas karmi i odziewa, i daje mieszkanie, a ja mu służę.

Zrozumieć tego nie była w stanie, ale wyrazy wryły się w pamięć i dużo pierwszej wiedziała o panu niż o Bogu.

Tak przeżyła to drugie lato na świecie. Nikt jej prawie nie zauważył, nikt się nie zachwycał jej rozumem i wdziękiem i nikt jej nie pieścił.

W pałacu równie zdrowo i szczęśliwie hodowała się panienska, ukochana pieszczota rodziców. Miała dwóch starszych braci, ale była stanowczo faworytką całego domu. Dzieci zajmowały trzy pokoje i miały do swej obsługi piastunkę¹⁶⁴, bonę¹⁶⁵ i Jankowską. Cały dzień te trzy kobiety zajęte były swymi pupilami, ubieraniem, strojeniem, bawieniem, pilnowaniem, karmieniem, szczególnie zabawianiem.

Surowo było wzbronione zostawianie bodaj na chwilę dzieci bez dozoru i opieki. Chłopcy byli rano myci, ubierani, sami tego nie umieli uczynić. Strojono ich jak lalki i oddawano pod nadzór bony, resztę czasu piastunka i Jankowska spędzały nad Maniusią. Dziecko było ochronione od chłodnego powietrza, karmione obficie, noszone bezustannie na rękach, ubierane i przebierane sto razy na dzień, usypiane pieszczotami i śpiewem, karmione często i suto. Od najwcześniejszych chwil życia miało zabawki drogie i ozdobne, które tłukło bezmyślnie, miało złe humory i grymasy, którym dogadzano z zachwytem, że takie rozumne, i było bezustannie zabawiane. Najmniejsze niedomaganie napępniało dom cały trwogą i nerwowym zajęciem. Doktor był natychmiast wzywany, leki w bezustannym użyciu, kwestie snu, apetytu, trawienia były tematem rozmów, sprawozdań, kardynalną treścią zajęcia matki i opiekunek.

W dziecinnych pokojach było bardzo gorąco, żeby się dzieci nie przeziębiły, na powietrze wynoszono Maniusię z tysiącem ostrożności, za pozwoleniem doktora i po długim

¹⁶³napierać się (daw.) — usilnie domagać się czegoś. [przypis edytorski]

¹⁶⁴piastunka — opiekunka małych dzieci. [przypis edytorski]

¹⁶⁵bona — opiekunka, guwernantka do dzieci. [przypis edytorski]

wahaniu, tylko latem, w porze starannie wybranej, żeby nie było wiatru, zbytniego upału lub wieczornego chłodu.

W pierwszym roku wyjeżdżała w wózku pod eskortą matki i piastunki, odpędzano od niej muchy, osłaniano parasolką od słońca, wożono tu i tam po żwirowej uliczce w ogrodzie najwyżej godzinę na dzień.

W drugim roku wynosiła ją piastunka na rękę i puszczała na ziemię czasem, gdy było bardzo sucho. Do tych spacerów był osobny kostium biały, ciepły, na głowie kapturek, na nóżkach kamaszki¹⁶⁶ i buciki, rozpinano zawsze nad nią parasol, żeby się nie opaliła, rączki już ubierano w rękawiczki. Spacery dziecinne odbywały się tylko w ogrodzie, na podwórzu nie wolno ich było puszczać, bo mogły się czego przestraszyć, a szczególnie mogły się zetknąć z ludźmi, zarazić jaką chorobą. Trwoga o to zdrowie była bezustanna. Służbie nie było wolno nigdzie się wydalać¹⁶⁷ ani przyjmować wizyt, pokoje dziecinne były izolowane od wszelkiej styczności ze światem, a jednak dzieci bezustannie niedomagały i doktor w rzadkie tylko dni nie był wzywany.

Chłopcy liczyli już lat siedem i pięć, gdy Manusia miała trzy. Przez ten czas zmieniło się kilka bon i piastunek, tylko stara Jankowska potrafiła wytrwać na swym stanowisku. Co prawda wychodowała panią Zarembinę i była na osobnych prawach, udawało jej się czasem woli dzieci nie spełnić i kaprysom nie ulec; innym to było surowo wzbronione. Wszelkie sprzeciwianie się dzieciom wywoływało płacz, krzyk, skargi przed matką i w rezultacie dzieci na swoim zawsze postawiły.

Piastunki wydawano bez ceremonii, bony zwykle same uciekały, ale dzieciom trzeba było ustąpić, dogodzić, strzec biedactwa przed złym sercem i głupotą tych „nieznośnych kreatur”.

O zastępczyni było nietrudno. Świat pełen jest ubogich dziewczyn bez wykształcenia i fachu, zmuszonych na chleb pracować, i które z tych wszystkich racji oddają się pilnowaniu i nauczaniu małych dzieci. Po każdym przejściu i wydaleniu bony pani Zarembina pisała do rodziny do Warszawy i odwrotną pocztą¹⁶⁸ otrzymywała nową bonę, wybraną w zasadzie taniości i najmniejszej skali wymagań. Wybieranie piastunek załatwiała Jankowska. Kosztowało to dużo, sprawiało w domu nieustanny zamęt, ale było oczywistym dowodem, że Zarembowie dzieci kochają, o nich wciąż myślą, niczego dla nich nie odmawiają.

Zaremba ożenił się w Warszawie z córką bogatego mecenasa. Poznał ją w karnawale¹⁶⁹ na balu, uznał za dobrą partię, zaczął bywać w domu rodzicielskim, oświadczył się, a chociaż panna się wzdrygała przed „zakopaniem się na prowincji”, rodzice radzi pozbyć się jednej z pięciu córek z domu, przekonali ją, że to uśmiech losu i pomyślność, i już po Wielkiejnocy był ślub.

Małżeństwo uchodziło za dobrze dobrane i szczęśliwe. Zrazu młoda pani tęskniła za Warszawą, nudziła się i wyrzekała na brak towarzystwa, potem po trosze nawiązała stosunki w okolicy, po trosze nawykła i wreszcie uwierzyła w zachwyty matki i siostr, że los jej do zazdrości¹⁷⁰.

— Bój się Boga, Tereniu, wielki los wygrałaś! — mówiła matka. — Jesteś bogata, masz tyle służby, taki dom, doskonałego kucharza, mąż się w nic nie wtrąca, spełnia twe wszystkie życzenia, daje ci, ile chcesz, na stroje, o nic się nie potrzebujesz troszczyć, pieczone, warzone¹⁷¹ masz gotowe! Żyjesz sobie jak królowa. Żebyś wiedziała, jak Mania się biedzi z tym swoim starym, który jej każdy grosz rachuje i pilnuje jej każdego kroku, a te trzy, co jeszcze czekają partii, jak ci zazdroszczą. Mówię ci, królewskie masz życie!

Życie Zarembiny nie było może królewskie, ale było istnieniem sultanki. Mąż wymagał od niej tego, co wymagają od hurysy¹⁷²: rozkoszy i piękności. Stroił ją i dumny był

Bogactwo, Mąż, Żona

¹⁶⁶kamasz — but sznurowany z cholewką do kostek a. nakładana na but krótka cholewka osłaniająca wierzch stopy, kostkę i gołeń do połowy łydki. [przypis edytorski]

¹⁶⁷wydalać się (daw.) — oddalać się; wychodzić. [przypis edytorski]

¹⁶⁸odwrotną pocztą — dziś popr.: pocztą zwrotną. [przypis edytorski]

¹⁶⁹w karnawale — dziś: podczas karnawału. [przypis edytorski]

¹⁷⁰los jej do zazdrości — los jej nadaje się, by zazdrościć go. [przypis edytorski]

¹⁷¹warzony — gotowany. [przypis edytorski]

¹⁷²hurysa — według Koranu: wiecznie młoda i piękna dziewczyna, która ma być w raju muzułmańskim nagrodą dla wiernych. [przypis edytorski]

z jej urody, dogadzała jego próżności, była w jego domu cackiem zbyt kownym, którym się rad przed innymi chwalił.

Pani Teresa stosowna była do tej roli. Lubiła stroje, hołdy, zbytek, wygody i próżniactwo. Cnota jej zresztą była bez zarzutu, nie tyle może dzięki zasadom, jak dzięki lenistwu i zamięłowaniu wygody i spokoju. Bardzo prędko poczęła tyć i nabierać gustów sybarytki¹⁷³. Lubiła jeść dobrze i dużo, lubiła się wylegać długo w łóżku, jak najdłużej przebywać w szlafroku, czas spędzać na gawędach z Jankowską, całowaniu i pieszczaniu dzieci.

Zaremba wstawał rano i cały dzień pracował w biurze lub w fabryce, goście bywali rzadko, służby było pełno, pomimo próżniactwa, więc dom był utrzymywany wzorowo i pani domu nie miała nic do roboty, nie miała też żadnego zamięłowania do gospodarstwa i jakiegokolwiek zajęcia, nawet nie prowadziła żadnych rachunków ani wglądała w czynności ogrodnika i szafarki¹⁷⁴.

Śniadanie spożywała w łóżku, przynoszono jej wtedy do zabawy i pieszczot najmniejsze dziecko. Tak leżąc w puchach, zacałowywała i opychała przysmakami tę swoją latorośl. Zwykle przychodziły i starsze i pomimo zapowiedzi, że nic nie dostaną, dojadły biszkopty i ciastka, bo matka nie umiała im nic stanowczo odmówić.

Około południa zabierano dzieci, zawsze po długich protestach, grymasach, ułogdzone i namówione obietnicą, że „jeśli kochają mamusię, to sobie pójda, będą grzeczne, a za to coś dostaną”.

Wtedy pani Teresa wstawała i ubierała się. Trwało to z długimi przerwami do godziny czwartej. Gdy Zaremba przychodził z fabryki na obiad, zastawiał żonę już wystrojoną i zasiadali do stołu. Bona z chłopcami ukazywała się także.

Zaremba kochał dzieci, ale wymagał, aby były grzeczne i ciche. Chłopcy troszkę się bali ojca, więc z początku obiadu zachowywali się przystojnie¹⁷⁵. Bona ich sadzała na krzeselkach, zawiązywała serwetki, krajała im mięso, omal nie żuła za nich i nie połykała.

Ale już po zupie rozpoczynało się napieranie¹⁷⁶ i proszenie, szepty nieśmiałe bony, odmowa matki.

— Czego oni chcą? — pytał Zaremba.

— Ależ nie uważaj! Józio się napiera piwa, a doktor stanowczo mu zabronił.

— Tatusiu, ja tylko kropelkę! — poczynął skamleć malec.

— Tatusiu, a mnie *Fräulein*¹⁷⁷ nie chce dać kartofli — wtórował drugi.

Zaremba rozpoczynał śledztwo. Kto zabronił, dlaczego? Dzieci powinny wszystko jeść, bo w przeciwnym razie rozdelikacją się i uczą napierania i łakomstwa. Matka protestowała, cytując przepisy doktora, dzieci się skarżyły, że są głodne, i dostawały, o co prosiły. Że były nazajutrz chore z przejedzenia i użycia zbyt ostrych przypraw i napojów, składano winę na służbę i bonę, że zapewne dały im coś niezdrowego, lub na doktora, że leczyć nie umie.

Czas, zbywający¹⁷⁸ od snu i jedzenia, dzieci spędzały na zabawie. Bona musiała mieć je zając, żeby nie nudziły matki, która nic nie robiąc, była wciąż czymś zajęta.

Do pomocy w zabawie służyły stosy zabawek. Szafy i stoły pełne były zbyt kownych cacek, prezentów wszystkich babek, ciotek, kuzynów i kuzynek. Dzieci były nimi tak przesycone, że cieszyły się zaledwie kilka godzin, potem niszczyły, tłukły, rozdzierały i rzucały.

Gniewała się za to nieposzanowanie i swawolę pani Zarembina na piastunki i bonę, ale gdy te zabraniały dzieciom bawić się w ten sposób, dzieci podnosiły wrzask i bunt, szły na skargę do matki i w rezultacie znowu strofowano bonę i piastunkę. Zaprowadzono tedy taki porządek: dzieci wszystko łamały i psuły, a opiekunki zniszczone zabawki uprzątały do szaf i komód.

Zarembina zaś była za leniwa, żeby zlustrować¹⁷⁹ wartość tych zbiorów. Kupowano

Lenistwo

¹⁷³sybaryta — osoba, która oddaje się przyjemnościom i ceni sobie życie w przepychu oraz luksusie. [przypis edytorski]

¹⁷⁴szafarka — kobieta odpowiedzialna za prowadzenie domu i zarządzanie zapasami w spiżarni. [przypis edytorski]

¹⁷⁵przystojnie — tu: jak przystoi; grzecznie, przyzwoicie. [przypis edytorski]

¹⁷⁶napieranie — usilne domaganie się. [przypis edytorski]

¹⁷⁷Fräulein (niem.) — panna; tu: panna do dzieci, bona. [przypis redakcyjny]

¹⁷⁸zbywający — tu: pozostający; zbywający od czegoś: nieprzeznaczony na coś. [przypis edytorski]

nowe zabawki z racji imienin, urodzin, świąt, gwiazdki — i materiału do niszczenia i zabawy nigdy nie brakło.

Mimo wszystko dzieci ciągle się nudziły i korzystały z każdej zręczności, żeby się wymknąć do matki. Łaziły za nią, grymasiły, nudziły¹⁸⁰, skarżyły się na siebie, napierały się tysiąca rzeczy, narzekały na bonę.

Matka opędzała się od nich apatycznie, a gdy jej dokuczały, pozbywała się ich ustępstwami, dogodzeniem fantazjom i cukierkami.

Dostawały, co chciały i ile chciały, pod warunkiem, że mamusi nudzić nie będą i pójdą się bawić do swoich apartamentów. Jednocześnie bona dostawała wymówkę, że ich zająć i zabawić nie umie, i na czas jakiś zapanowywał w domu spokój.

Ale po godzinie w dziecinnych pokojach wszczynał się ryk, płacz, wrzask piekielny.

Zarembina pomimo lenistwa biegła przerażona. Zastawała dzieci rozsłochane, rozgrymaszone, bonę w rozpacz.

— Co się stało? Co wam jest, dziecieczki?

— Chciały iść do pani, nie pozwoliłam. Józio mnie w rękę ukąsił, Murcio podarł mi suknię. Zamknęłam drzwi na klucz i oto co dokazują.

— To nieprawda, *Fräulein* mnie uderzyła! — ryczał Józio.

— A mnie kazała w kącie stać! Jakże ona ma prawo!

— Jak to? Pani ośmiela się uderzyć dziecko? Tego stanowczo zabraniam. I za co? Że chciały do mnie przyjść, do matki. To przewinienie? Za to pani je karze? No, dzieci, cicho, cicho już! Nie płaczcie! No, chodźcie do mamusi! Kochacie swoją mamusię?

Dzieci, chlipiąc, rzucały się jej na szyję. Całowała je, tuliła w uściskach, prowadziła ze sobą na czekoladki.

Maniusię, jeśli możliwe, jeszcze więcej kochano i dogadzano jej, bo była panienką i dziewczynką. Literalnie¹⁸¹ chowano ją jak kolibra.

— Zobaczysz, będzie śliczna! — zdecydowały ciotki i babki zaraz po urodzeniu, gdy była bezkształtną bryłą mięsa, z wielką, łysą głową, bez rysów, bez zębów, bez brwi.

— Będzie śliczna! — powtarzano, strojąc ją w jedwab i koronki, w gazy i batysty.

— Jest śliczna! Co za oczka, co za nosek, jakie włosy! Jaka to już czarująca, mała kobietka!

Zachwycano się, całowano, fotografowano.

— Śliczna dziewczynka — słyszała wkoło siebie, gdy tylko słyszeć zaczęła.

I wcześniej zaczęła się edukacja.

— Maniusiu, trzeba włożyć kapelusik, bo to brzydko, jak dziewczynka zwichrzy włoski i opali buzię. Maniusiu, nie biegaj tak głośno, to nie wypada dziewczynce! Maniusiu, dygnij ładnie jak dziewczynka. Maniusiu, nie można krzyczeć i śmiać się głośno dziewczynce. To brzydko! Nie można tarzać się po trawie i bić z chłopcami! Maniusia dziewczynka! Jak Maniusia będzie grzeczna, to dostanie ładną sukienkę i wyjdzie do gości.

Tą obietnicą kupowano zawsze uległość i grzeczność.

Maniusia lubiła być pokazywana. Wtedy rozpuszczano jej złote włosy w lokach na ramiona, ubierano białe lub niebieskie i wyprowadzano do salonu. Goście zachwycali się i unosili nad jej urodą, wzrostem, wdziękiem, rozumem, dawali zabawki i łakocie. Dziecko czuło się bardzo wielką osobą. Istotnie była w domu na osobnych prawach.

Chłopcy, którzy sobie nic z nikogo i niczego nie robili, musieli jej ustępować, bo ona „dziewczynka”, ona słaba, delikatna, z nią trzeba uważnie się bawić, nie wolno szturchać, gonić, bo się może zmęczyć, przestraszyć. Na tym punkcie wszyscy się zgadzali na jedno i na jedno słowo skargi, na jeden pisk Maniusi byli chłopcy karani bez apelacji. Wcześniej też się nauczyli okazywać jej powierzchowną opiekę i względy, a nazywać lekceważąco babą. Była bojaźliwa, kapryśna, niedołączna, próżna i łakoma. Płakała o byle co, nudziła się ciągle i wbrew wielkiej pieczołowitości prawie nieustannie była chora i wbrew wielkiemu umiłowaniu, którego była przedmiotem, nie kochała nikogo, ale przeciwnie, miała antypatie.

¹⁷⁹złustrować — zrobić przegląd (szczególnie: krytyczny). [przypis edytorski]

¹⁸⁰nudzić — tu: grymasić. [przypis edytorski]

¹⁸¹literalnie — dosłownie. [przypis edytorski]

Nie lubiła starej Jankowskiej, bo ta ją ciągle musztrowała¹⁸², nie lubiła doktora, bo z niej żartował, a już nade wszystko nie cierpiała wuja Bolka. Tę antypatię dzieliła z braćmi.

Wuj Bolek, stryjeczny brat Zarembiny, zjeżdżał do nich co rok na wakacje.

Był kulawy, miał wielkie, krzaczaste brwi i spod nich patrzył na dzieci wzrokiem Heroda¹⁸³.

Zarembowie skakali koło „wujaszka”. Był to stary kawaler i kapitalista. Zrobił fundusz gdzieś na granicy Chin, żywot miał bardzo burzliwy, teraz osiadł w Warszawie i jak sam o sobie mówił:

— Napracowałem się, teraz będę patrzeć i rozmyślać.

I rzeczywiście nic nie robił, tylko, jak Zaremba dowodził, „pastwił się” nad wszystkimi.

Nad tymi, którzy chcieli od niego pożyczki, nad rodziną, która go chciała oplątać i otoczyć opieką, nad matkami, które go chciały za zięcia, nad młodymi kobietami, które go chciały za męża, nad przyjaciółmi, którzy go chcieli naciągnąć.

„Wuj Bolcio” był na wszystkie napaści w „stał zakuty”, przeciw wszelkim upojeniom i jadom „zaszczepiony”. Nic go się nie brało.

Dzieciom Zarembów wydawał się bardzo stary, ale w rzeczywistości, gdy zaczął spędzać u nich wakacje, miał lat czterdzieści, był łysy i trochę na nogę utykał. Zarembina nazywała go poufale *le diable boiteux*¹⁸⁴ i w duchu bardzo nie lubiła za otwarty wstręt i niechęć, jaką objawiał dla jej dzieci.

Pomimo tego spędzał u nich co rok parę letnich miesięcy i miał swój pokój. Jeśli czego dzieci się bały, to groźby, że ich zamkną do pokoju wuja Bolka. Stara Jankowska opowiadała o nim niestworzone rzeczy umyślnie, żeby tę groźbę utrzymać.

Gdy wuj Bolek przyjeżdżał, pytał na wstępie Zarembiny:

— No, cóż, kanary twoje jeszcze żyją wszystkie?

— Ależ, Bolku! — protestowała z bolesną obrazą.

— Osobliwość, jaki jednakże organizm ludzki jest odporny. Trujesz ich systematycznie i żyją! A jeszcze was z domu nie wypędyły?

— No, no! Bądź spokojny! Tak źle nie będzie.

— Jeszcze parę lat czasu!

Prezentacji dzieci nie bywało. Gdy się zgromadzono na obiad, wuj spoglądał na nie wzrokiem ludożercy, nie trudił się przemówić, a gdy go witały, nadstawał do pocałunku łokieć.

Obecność jego działała mroząco. Z początku dzieci nie śmiały się odezwać, potem szeptały, zezując na niego, a gdy się oswoiły i rozpoczynały zwykłe swary¹⁸⁵, napierania i grymasy, wystarczyło, żeby na nie spojrzął, aby oniemiały.

Nie cierpiały go też serdecznie i starały się spotykać jak najrzadziej. Wuj ze swojej strony tak je ignorował, że chłopców nawet nie rozpoznawał jednego od drugiego, a spotkawszy przed gankiem Maniusię, zdawał się jej nie spostrzegać.

Bolało to Zarembinę.

— Właściwie, Bolku, co ty czujesz do moich dzieci? — spytała go raz, korzystając, że był w dobrym humorze i zdawał się łaskawiej na nie patrzeć.

Siedzieli przy czarnej kawie na ogrodowym ganku, a dzieci bawiły się opodal z boną.

— Jak to? Co czuję? Przede wszystkim litość.

— Dlaczego?

— Ano, że mają taką matkę.

— Ach, więc ja jestem zła?

— Tyle masz talentu na matkę, ile ja na ojca.

— No, w to wierzę — roześmiała się. — Ale poza tą litością nie obdarzasz ich zbytnią sympatią.

¹⁸²musztrować — surowo upominać, dyscyplinować. [przypis edytorski]

¹⁸³Herod a. Herod Wielki (73/72–4 p.n.e.) — namiestnik Galilei (od 47 r. p.n.e.), Celesyrii i Samarii (od 46 r. p.n.e.), w l. 37–4 p.n.e. król Judei; w *Ewangelii Mateusza* przedstawiony jako tyran, odpowiedzialny za tzw. „rzeź niewiniątek” (wymordowanie w Betlejem chłopców poniżej drugiego roku życia). [przypis edytorski]

¹⁸⁴*le diable boiteux*(fr.) — diabeł kulawy [przypis redakcyjny]

¹⁸⁵swara (daw.) — spór, kłótnia; dziś tylko w lm: swary. [przypis edytorski]

— A za co? Poczekam z tym. Teraz są w wieku, w którym dzieci wszystkie uchodzą za bardzo mądre i za bardzo piękne. Że zaś świat dorosłych składa się przeważnie z głupców i brzydali, poczekam z zachwytaami, aż twoje kanary ziszczą pokładane w nich nadzieje. Przysięgam ci najuroczyściej, że jeśli za kilkanaście lat będą wyjątkiem z ogólnej popolitości, uczynię je swymi spadkobiercami. Co więcej możesz żądać?

— Żądam, żebyś je lubił choć trochę.

— Aha! Tobie się zdaje, że ty je lubisz?

— Zdaje mi się, że daję tego dość dowodów. Żyję tylko dla nich i nimi.

— To szkoda. Bo ja żyję tylko dla siebie i bardzo mi z tym dobrze.

— Poczekaj, jeszcze cię wyswatamy. Będiesz jeszcze i ty żyć dla kogoś i dopiero poznasz szczęście. Twoje życie to nie życie. To egoizm.

— A wyście te kanary wyprodukowali przez umartwienie, ofiarę i poświęcenie? Słuchaj, nie praw głupstw i nie czyni z siebie bohaterki. Bawicie się w męża i żonę, potem w ojca i matkę, bawicie się dziećmi. Otóż ja wolę się bawić w inne gry i jeżeli jestem egoista, to szczerzy.

— Żeby wszyscy ludzie uchylali się od obowiązków, cóż by się stało ze światem i ludzkością?

— Co? Byłoby lepsze powietrze, większa cisza i mniej tłoku. Bądź spokojna. Świat by istniał bez twojej pracy dla ludzkości, w formie trojga cherlaków, próżniaków i kapryśników.

— Nie rozumiem, co ty masz do moich dzieci za szczególne uprzedzenie. Nie są inne jak wszystkie dzieci.

— Właśnie! Imię im legion!¹⁸⁶ Ani twoje teorie, ani twoja praca dla ludzkości nie jest czymś szczególnie trudnym i wymagającym zachęty i pochwały. *Ergo*¹⁸⁷ — nie żądam moich zachwyków.

— Jesteś ohydny cynik.

Tym zdaniem z dodatkiem klapsa kończyły się podobne rozmowy. Pani Teresa za mało myślała, za bardzo była leniwa, żeby móc i chcieć dysputować.

Wuj Bolek na wakacjach prowadził ruchliwe życie. Bardzo rano¹⁸⁸ kąpał się w rzece, potem zaglądał do fabryki, zajmowała go robota i chętnie rozmawiał z robotnikami. Skwar południowy spędzał w swym pokoju, a około zachodu słońca szedł znowu nad rzekę ze strzelbą i dużo marnował prochu, ale nigdy nie przynosił zwierzyny. Często też wieczorem szedł do miasteczka na karty do rejenta i wracał późno.

Znał tedy¹⁸⁹ dobrze Gedrasa i bramę.

W pierwszym roku go nie zauważył, ale w drugim już sobie tę twarz przypomniał, w trzecim powitał jak dobrego znajomego i dopiero wtedy spostrzegł dziecko płaczące się u nóg stróża.

— To wasza mała? — spytał.

— Moja — odparł Gedras, mimo woli usuwając za siebie dziecko, tak się lękał dla niej ludzkich oczu.

— Skądże się wzięła raptem? W zeszłym roku nie było.

— Było, ale małe, to siedziało w chałupie, a teraz łązi za człowiekiem.

— To i żonę macie?

— Nie, tyle wszystkiego.

— I tak się samo chowa?

— A cóż! Co jej więcej potrzeba? Na nogi już stanęła, to i najgorszy kłopot skończony.

— Tak, nawet z czesaniem nie macie kłopotu — uśmiechnął się, patrząc na ostrzyżoną przy skórze główkę.

Potem wyjął złotówkę i podał dziecku.

¹⁸⁶Na imię mi legion! — tu w znaczeniu „podobnych jest wiele”.

Dodatkowy kontekst biblijny stanowi „Legion” jako wspólne imię dla wielu demonów, które opętały uzdrowionego przez Jezusa mieszkańca Gadary. Tu można go brać pod uwagę jedynie w sensie żartobliwym. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*ergo* (łac.) — a więc, zatem. [przypis redakcyjny]

¹⁸⁸*bardzo rano* — dziś popr.: wcześniej rano. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*tedy* — zatem, więc. [przypis edytorski]

Jak zwykle nie chciała wziąć i umknęła do chaty. Zabawiło go to i nazajutrz, gdy ją ujrzał, bawiącą się z kotem przed drzwiami, przystanął i zagadnął:

— Mała, jak ty się nazywasz?

— Mańka — odparła rezolutnie.

— A chcesz cukierka?

— Nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo tato mówił, że od tego wąsy rosną.

— A co to wąsy?

— Ja nie wiem, ale cukierka nie chcę.

— A gdzie twój tato?

— Śpi.

— To daj mi klucz od bramy.

— Nie dam, bo wysoko wisi i tato nie pozwala bawić się kluczami. Ale ja tatkę zbudzę.

Po chwili Gedras wyszedł zaspany i otworzył furtę.

Ale pan Bolesław popatrzył na szosę, po której wicher gnał kurz, i odechciało mu się przechadzki.

— Faj, nie pójdę. Żal mi, że cię zbudziłem — rzekł zawstydzony.

Ale stróż uśmiechnął się dobrodusznie.

— Za to, proszę pana, jem chleb i zwyczajnym¹⁹⁰.

— Bardzo roztropna wasza mała. Niedługo potrafi was wyręczyć. Macie tu dla niej na sukienkę.

Gedras datek przyjął jakoś niechętnie, wahająco, nie potrafił podziękować.

— Oj, proszę pana, na co? To moja służba — zamruczał.

Z tej racji wieczorem wspomniawszy go wuj Bolek w rozmowie.

— Jaki ambitny ten twój stróż. Ledwie raczył przyjąć napiwek.

— A tak, to hardy i niemiły człowiek, ale jako służący bez zarzutu. Służy już kilka lat i jeszcze¹⁹¹ z nim nie zamienił dziesięciu słów. Z nikim się nie przyjaźni, nikt go nie lubi, ale i nikt nie potrafi wynaleźć nań skargi lub donosu. Takie nadzwyczajne było w nim to zajęcie się znajda.

— Więc to nie jego dziecko?

— Ależ nie! Jakiejś nieznanej włóczędzy, która zmarła przy urodzeniu dziecka. Ten człowiek swoim kosztem nędzarkę pochował i dziecko hoduje, sam kaleka. Bywają w tych ludziach takie niespodzianki i sprzeczności.

— Wiesz, tę znajdę chrzcili jednocześnie z naszą Maniusią i mieliśmy wtedy przejście z proboszczem — ozwała się pani Teresa. — Zachował się skandalicznie, jak demagog¹⁹². Lorcja była taka zażenowana, bo to, widzisz, nie zechciał tu chrzczyć, tylko w zakrystii razem z pospólstwem, z tym podrzutkiem. Od tej pory jesteśmy na zimno z proboszczem.

Wuj Bolek spojrzawszy przez okno na Maniusię, odbywającą spacer pod eskortą bony i na rękach niańki, bo deszcz był upadł¹⁹³ i bano się dla dziecka przemoczenia nóżek, otuloną w paltocik¹⁹⁴ i kapturek i grymaszącą bezustannie, i porównywał do tej czarnej, bosej drobiny bawiącej się z kotem i takiej wesołej.

Mańka miała wtedy już czwarty rok i całą głową wyrosła ponad podmurowanie pańskiego ogrodu. Stała się też śmielsza, nie trzymała się drwalni i przyzby domowej. Gdy Gedras woził drwa, już się mocowała ze szczapami¹⁹⁵ i pewna była, że już mu pomaga, rwała trawę dla ślepego konia, który obsługiwał kuchnię, a gdy Gedras spał, chadzała do ogrodu i zaglądała do ogrodu. Umiała tak stać godzinę z twarzą przytuloną do krat, przypatrując się, jak tamte dzieci się bawiły.

Nie wiadomo, jakim sposobem nastąpiło poznanie, ale pewnego wieczora Maniusia dostała strasznego ataku grymasów, wołając uparcie, że ona chce się bawić z czarną

¹⁹⁰zwyczajnym — tu skrót od: zwyczajny jestem, tj. jestem przyzwyczajony. [przypis edytorski]

¹⁹¹jeszcze (...) nie zamienił — jeszcze nie zamieniłem. [przypis edytorski]

¹⁹²demagog (z gr.) — w staroż. Grecji przywódca ludu; tu: buntownik, wyrotowiec. [przypis redakcyjny]

¹⁹³był upadł — daw. konstrukcja czasu zaprzeczonego; znaczenie: upadł wcześniej, kiedyś. [przypis edytorski]

¹⁹⁴palto (daw.) — ciepłe okrycie wierzchnie; tu forma zdrobn. paltocik. [przypis edytorski]

¹⁹⁵szczapy — duży kawał drzewa przeznaczony na opał. [przypis edytorski]

dziewczynką. Pani Teresa zarządziła surowe śledztwo, dozorcynie zapierały się i kłamały na potęgę, ale wreszcie wyszło na jaw, że ową żadaną zabawką była stróżowa znajda.

Powstał w garderobie sądny dzień. Pani się tak oburzyła, jakby dziecko zetknęło się z trądem. Wypędzono piastunkę, zagrożono wypędzeniem bonie, oberwała nawet Jankowska. Maniusia pierwszy raz w życiu nie dostała tego, o co się napierała.

Ale Maniusia umiała chcieć, więc nazajutrz powtórzyły się grymasy w zdwojonej dozie. Nie było sposobu ani jej zabawić, ani oderwać myśli od tego przedmiotu. Wyczerpała wszystkie swe sposoby: wrzasku i płaczu, drapania i bicia, napierania się i nudzenia matki, coraz bardziej uparta i zacięta. Trwało tak trzy dni; wreszcie pani Teresa znudzona, zniecierpliwiona, wyrzucona ze swego ulubionego *farniente*¹⁹⁶ bezustannym nudzeniem córki, rzekła do starej Jankowskiej:

— Dziecko się gotowe rozchorować. Dowiedz się, Jankosiu, od tego stróża, czy ta mała zdrowa i czysta. Wykąp ją, wyczesz, ubierz czysto i niech tu wreszcie przyjdzie. Co robić! Mam nadzieję, że po godzinie Maniusia będzie miała dosyć tego towarzystwa, to ją odeślemy. Mój Boże, jakich ofiar nie trzeba robić dla tych dzieci! A uważajcie, Jankosiu, żeby ta mała nie nauczyła dzieci czego złego.

Jankowska poszła, rada też, że zdobędzie trochę spokoju. Wróciła dość prędko, ale sama i z twarzą wzburzoną.

— Czy to słyszane rzeczy? Ten gbur nie dał mi małej!

— Co? Jak to? — uszom nie wierząc, zawołała pani.

— Nie da! Powiada, że to nie kompania dla małej. Koniec świata, dalibóg!

Maniusia, zrozumiałwszy, że czarnej dziewczynki nie dostanie, poczęła ryczeć i ze złości tarzać się po ziemi.

Zarembinie oburzenie odebrało mowę na chwilę.

— Poproś pana z kantoru — rozkazała wreszcie, rzucając się, by ugłaskać jedynaczkę.

Gdy Zaremba zaniepokojony przyszedł, długo wśród spazmów dziecka i opowiadań wszystkich kobiet nie mógł zrozumieć, o co właściwie chodzi.

Gdy mu wreszcie rzecz wyjaśniono i jego zaraziło oburzenie żony. Wróciwszy do kantoru, kazał zawołać do siebie Gedrasa.

Stróż tymczasem się opamiętał, przygotowany był do obrony jedynej dla słabszego względem silnego, to jest wykrętów.

Gdy stanął przed chlebowawcą, był zbrojny w argumenty.

— Co to stara Jankowska na ciebie donosi, jakobyś nie chciał dać tej małej swojej na zabawę panience?

— Jankowska przyszła, pyta, czy mała czysta. Powiedziałem, że dla mnie czysta. Pyta, czy ma wszy. Powiadam, wam ich nie naniesie. Pyta, czy zdrowa. Powiadam, jak chora, to jej nie tykajcie, to was nie zarazi. A wreszcie powiada, że ją zabierze do pałacu. Więc ja jej na to powiedział, że jak do pałacu, to ona i za brudna, i za głupia, i ręczyć nie mogę za zdrowie, i że jej nie puszczę. To ze złością poszła.

— Jankowska źle spełniła polecenie. Moja mała chce się bawić z twoją i to moja żona pozwała jej przyjść do dzieci. Zaprowadź ją tedy zaraz do garderoby.

— Kiedy, proszę pana, dziś to naprawdę straszno. Ona chrypie od kilku dni, może być krup¹⁹⁷.

— W takim razie nie, nie prowadź, aż będzie zupełnie zdrowa.

Gedras umknął co rychlej sprzed pańskiego oblicza i od tej chwili Mańka nie pokazała się na dworze.

Ale, niestety, nie zapomniano o niej w pałacu, co dzień ktoś się o nią dowiadywał.

— Chora leży — odpowiedział stróż.

Chatę na klucz zamykał, gdy wychodził, a gdy spał, to się ze środka ryglował. Jednakże Jankowska złość ku niemu czuła, poczęła szpiegować i wreszcie rzekła pani:

— Chora, chora! To niechby doktor ją obejrzał.

Nazajutrz doktor był właśnie wzywany do dzieci, więc proszono go o zbadanie znajdy.

Gedras musiał chałupę otworzyć i pokazać małą.

Okazało się, że była tylko wystraszona, mizerna i splakana, ale zresztą zupełnie zdrowa.

¹⁹⁶*farniente* (wł.) — bezczynność, próżnowanie. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁷*krup* — jedna z postaci błonicy (błonica krtani), ostrej choroby zakaźnej u dzieci spowodowanej zakażeniem bakteryjnym. [przypis edytorski]

Jankowska, asystująca przy wizycie lekarza, zabrała ją tedy natychmiast do pałacu, a Gedras już nie protestował, tylko usiadł na ławce pod piecem w pustej izbie i ponuro się zamyślił.

Potem, jakby nic, poszedł do drow, ani spytał o dziecko przechodzącej służby.

Wróciła Mańka przed wieczorem rozgorączkowana, rozbawiona, objedzona łakociami, z fartuszkim pełnym przysmaków i popsutych zabawek. Zaczęła mu szczebiotać, opowiadać, chwalić się, co widziała, co jadła, jak było wesoło. Słuchał posępny, z jakąś niechęcią do niej i ostro zapędził do snu.

Nazajutrz, ledwie się ubrała, nie chciała jeść śniadania, tylko wyglądała, żeby ją do tych cudów zawołano. Przyszła piastunka, już nawet nie pytała Gedrasa o pozwolenie, zabrała małą jako zabawkę panienki i poprowadziła.

Weszło to w zwyczaj, powtarzało się co rano. Raz przecie mała wróciła wcześniej i płacząc, że ją panicze pobili, i nazajutrz nie chciała iść, ale przynieśli jej cukierka, ugłaskali i uprowadzili.

Gedras patrzył na to wszystko i nic nie mówił, coś knuł potajemnie.

Wreszcie pewnego dnia nad wieczorem, zostawiwszy na swoim miejscu chłopaka ogrodników, poszedł na plebanie.

Ksiądz go przyjął uprzejmie jak zwykle, spytał o małą, jak mu się powodzi, rozmawiali tak chwilę. Wreszcie Gedras rzekł, że chciałby dostać metrykę dziecka.

— Cóż to? Za mąż ją wydajesz? — zażartował ksiądz. — Dobrze, każę ją zakrystianowi odpisać, jutro dostaniesz.

Gedras chwilę się wahał, wreszcie się zdecydował.

— A czy to można w metryce napisać, że ona moja córka?

— No nie, tego nie można.

— To jak będzie?

— Ano, jak prawda.

— Znajda, podrzutek?

— Jakże chcesz inaczej? Toć dokument urzędowy.

Usta Gedrasa zbladły i zadrżały.

Po krótkiej chwili rzekł:

— Na całe już życie do niej ta hańba niechybnie przystanie. A co to komu za krzywda będzie, jak ksiądz napisać każe, że ona moja ślubna córka? Toć dla niej jakby zbawienie, odkupienie.

— Nie można fałszować metryk, ja za to będę odpowiedzialny. To bardzo smutne, ale widzisz, to jest taki hamulec dla ludzkiej zwierzęcości.

— A toć nie był hamulec dla tych dwojga jej rodziców, kiedy, ot, ona jest. Ale dla-czego ona za to pokutować musi?

— Kara za grzech spada na dzieci.

— Nie rozumiem ja tego. Ano, jak ksiądz mówi, że czystej metryki nie mogę dostać, to co mi z takiej prawdziwej, niech już tak będzie.

Pocałował księdza w rękę i wyszedł.

Na ulicy postął chwilę zamyślony, opanowany upartą myślą zdobycia tej metryki, a nie widząc sposobu, wreszcie jakby bez celu powlókł się przed siebie i sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się przed „zakładem” Lejzorowej.

Pomyślał, zawahał się i wszedł do szynkowej izby. Mało było gości. Jakiś dwóch chłopów rajcujących z jakimś jegomością o czerwonym nosie i mizernej garderobie.

Gedras usiadł z boku i kazał sobie dać piwa. Brudna Żydówka podała mu butelkę i lepką, nigdy niemytą szklanekę, a potem stanęła pod piecem, na przemian to drapiąc się w głowę, to ziewając.

Po chwili z alkierza wyjrzała Lejzorowa i na widok rzadkiego gościa cofnęła się. Musiała tam odbyć się narada, bo po chwili zjawił się przed Gedrasem jeden z synów Żydówki i uprzejmie go pozdrowił.

— Co to za święto, że wy na piwo wstąpili? Może czym można służyć? — zagadnął.

Gedras się przymusił do grzeczności.

— Ot, byłem za interesem u księdza i pić się zechciało.

— Och, pijcie na zdrowie. A co u was słychać?

— Ja to nic nie słyszę.

Hańba

Grzech, Obraz świata

— Wiadomo, wy rzetelny i porządny człowiek. Aż szkoda, że tak przepadacie. Co to za miejsce? I tyle lat pokutujecie. Ja bym wam zaraz lepszą służbę dał.

— Żartujecie. Do niczego dobrego niezdatny — kaleka.

— Och, czy to ręce płacą? Ręce tania rzecz! Wasza rzetelność to pieniądz. Za sumienie drogo płacą, a pan Zaremba, to nawet u was tego nie rachuje.

Gedras ramionami ruszył i milczał. Po chwili zagadnął.

— To adwokat, ten tam?

— Aha, znacie go? To Drozd, pisarzem był w policji. Sprytny, ma głowę. Tylko pilnować trzeba.

— Nie, ja go nie znam.

— Nu, a co? Po co wam adwokat? Macie z kim sprawę?

— Z nikim. Tak sobie, poradzić bym się chciał.

Mówił wahająco. Żyd go z oczu nie spuszczał, coś węszył.

— Nu, może ja poradzę. Ja nie gorzej Drozda sprawę znam, a on rzadko trzeźwy. O co wam chodzi?

— Ot, metrykę swoją zgubiłem, a w parafii papiery się spaliły. Nie wiem, jakby tu dostać nową.

Żyd zamyślił się, kombinując, co by to było, bo nie wierzył w taką sprawę. Wreszcie powoli rzekł:

— Można mieć, jakie chcąc dokumenty. Czemu nie. Jedne kosztują drożej, inne taniej, jedne trudniej znaleźć, drugie łatwiej. Na to Drozd niepotrzebny. Czy wam paszport potrzebny?

— Nie, paszport mam. Metryka zginęła.

— Może być i metryka. Och!

— Skądże?

— Skąd? Skąd potrzeba. Dajcie dwadzieścia pięć rubli, to za tydzień wam dostawię.

— Jakiej trzeba? Prawdziwa?

— Rozumie się. Dobra, po formie. Za złą nie warto i grosza dać.

— Dwadzieścia pięć rubli! Skąd ich wziąć? — stęknął Gedras, wstając.

Zapłacił za piwo i wyszedł.

— Jak wam się stanie ciasno, to śmiało do mnie się zgłoszcie — rzekł mu Żyd na pożegnanie.

Gedras, wracając do domu, gorzko się uśmiechnął.

Ciasno! Było mu ciasno, i co z tego, jaki na to ratunek? Całe życie przesunęło mu się przez pamięć.

Był uczciwy, pracowity, trzeźwy, a co z tego? Ani się kiedy zabawił, ani użył, ani poweselił, trudził się i męczył, i ot, całe życie zgrzytało i zacięło się jak popsuta maszyna. A teraz temu dziecku kazał żyć — po co? Nic dlań uczynić nie może ani go przed niczym uchronić i nawet nikomu nie potrafi wytłumaczyć ani przekonać, że ją od zguby broni. Ach, zabrałby je, zabrał tak zaraz i uciekł z nim, ale dokąd, ale jak, ale za co?

Skamlało mu coś w piersi z żalu i rozpacz, musiało być bardzo silne i dojmujące, kiedy tegoż jeszcze wieczora zameldował się do pana Zaremby z prośbą o posłuchanie.

Zaremba przypuszczał, że odkrył jakąś kradzież, więc kazał go wołać do gabinetu, choć to nie była godzina przyjęć.

— Co tam się stało? Złowiłeś złodzieja?

— Nie, proszę pana, wszystko spokojnie.

— Więc czego chcesz?

— Przyszedłem łaski prosić.

— O tej porze? Nie możesz przyjść w dzień do biura?

— Bałem się, że śmiałość odejdzie, niech pan daruje.

— No, więc prędej, czego chcesz?

— Proszę pana, siódmy rok służę, ile mocy i ze szczerego serca. Możem i niewart tej pensji i strawy¹⁹⁸, bom kaleka. Staralem się, jak mogłem, a teraz to gotowym taniej służyć, tylko żeby pan był łaskaw i mojej małej nie kazał zabierać do pałacu.

— Co? Dlaczego?

¹⁹⁸strawa — posiłek, pożywienie. [przypis edytorski]

— Bo, proszę, pana, nie jej tam miejsce.

W tej chwili wszedł do gabinetu wuj Bolek, szukał na biurze gazet, zatrzymał się i słuchał.

— No, naturalnie, że nie jej tam miejsce — odparł Zaremba — i mógłbyś zrozumieć, że jej tym robią łaskę.

— Nie, proszę pana, jej tym robią krzywdę i niedolę. Ja nie mogę jej tam dać i zostawić. Ja panu służę, do pana należy mój czas i siły i dziecko będzie służyć, jużci, nie na co innego się urodziło, ale teraz ono moje, nie trzeba mu jeszcze ni rozmyślać, ni cierpieć.

— Więc ona cierpi, bawiąc się z moją córką? Jej się dzieje krzywda, że ją tam karmią i zabawiają, jej źle i ciężko! A zabierają ją w takim razie i wynoszą się we dwoje! Mam dosyć kramu z takimi fanaberiami! Od kwartału jesteś wolny i żeby mi się ten bachor nie pokazywał na podwórzu.

Gedras dygotał i błądy był bardzo. Patrzył na pana oczyma pełnymi zgrozy i przestachu. Tak się spodziewał czegoś innego — zrozumienia, względności. Tak gorąco prosił, tak pokornie i — obraził.

Od razu odbiegły go wszystkie słowa, które był sobie ułożył¹⁹⁹, stał bezradny, odrzucony, jedno pamiętając, że kwartał kończył się w październiku, że pójdzie szukać chleba i dachu z dzieckiem — na zimę.

Ale nie śmiał już nic. Sztucznie podniecona odwaga odpadła, skurczyła się dusza i stał, nie mogąc ni prosić, ni przeproszać, ni się tłumaczyć.

Słysząc tylko było gniewne sapanie Zaremby i pisk muchy, gdzieś w kącie, oplątanej w pajęczynę.

Wuj Bolek podniósł oczy w ten kąt i starał się dojrzeć oprawcę i ofiarę.

— No, czegoś jeszcze chcesz? Możesz iść! — rzucił niecierpliwie Zaremba.

— Słucham pana — rzekł Gedras i wyszedł, potykając się.

— Słyszałeś kiedy coś podobnego? — wybuchnął Zaremba.

— Mój drogi, widocznie honor i ambicja nie jest naszym monopolem.

— Niech mu służy, i owszem. Rura mu zmięknie, jak trochę zazna biedy. Będzie zdrowo.

— Właściwie dlaczegoś ty go wydalil?

— Jak to? To ci nie wystarcza?

— Ale co? Jako nocny stróż w niczym nie zawinił. Tracisz użytecznego sługę i skazujesz na nędzę człowieka. Za co? Za to, że logicznie myśli i dba o swoje dziecko, nawet nie własne, ale przybrane. I chcesz go „poprawić” głodem, winszuję²⁰⁰!

Tu wuj Bolek wziął łaskę i zgarnął pajęczynę. Pisk muchy ustał.

— Nie mogę tego słuchać — mruknął.

— Szczególny masz punkt widzenia — rzekł Zaremba.

— Tak, mój własny, dlatego wycofałem się ze wszystkich interesów — odparł wuj Bolek, biorąc gazety i wychodząc.

A Gedras ze swą klekotką i pękiem kluczy krążył jak zwykle po obrębie zabudowań i rozmyślał.

Cały dwór, ścieżki i zakątki, tak mu znane, stały się raptem obce i obojętne, wstrętne nawet. Pełną miał duszę buntu i goryczy, złość do samego siebie, że głupi był, że pracował szczerze, że nie kradł, nie zbierał. I oto co miał z tego — ten kikut.

Przechodząc koło swej chaty, wstąpił do środka, zapalił lampkę i osłaniając ją, zajrzał do Mańki. Spała, cisnąc do piersi jakąś połamaną lalkę „panienki”. Już nie bawiła się fasolą i zrzywkami papieru, co dzień przynosiła inne zabawki z pałacu i ubrana była w stare sukienki „panienki”.

Gedras zabawki te zebrał, odzież także i wepchnął w piec, potem to wszystko podpalił, patrząc na zniszczenie z posępnym zadowoleniem.

— Co to robicie? — nagle ktoś się do niego odezwał.

Drgnął, obejrzał się i machinalnie sięgnął do czapki. W progu stał pan Bolesław.

— Pan każe bramę otworzyć?

¹⁹⁹był (...) ułożył — daw. forma czasu zaprzeszczonego; znaczenie: ułożył wcześniej. [przypis edytorski]

²⁰⁰winszować — składać komuś życzenia lub gratulacje. [przypis edytorski]

— Nie, wyszedłem trochę na powietrze i błysnęło w waszym oknie. Myślałem, że pożar.

— Nie, tom gałgany palił.

— A widzę, jeszcze dogasa drewniany koń, com niedawno dzieciom przywiózł. Połamały i wyrzuciły.

— Małej mojej podarowali.

— Po coście spalili? Będzie lamentować.

— Lepiej niech teraz popłacz jak potem. Odwyknie i zapomni, jeszcze czas, mała jest.

— Właściwie moglibyście ją jeszcze z tymi dziećmi zostawić dlatego, że mała. Uraziliście pana Zarembę niepotrzebnie.

— Proszę pana, pan Zereмба nazwał to moją fanaberią. Nie potrafiłem powiedzieć. Od czasu, jak małą tam wzięli, to jakby ją truli. Już nie chce jeść mego chleba, już napiera się sukienek i bucików, już się wstydzi ostrzyżonej głowy. Ot, i dziś pyta mnie, co to znaczy „znajda”. Trują ją, psują i urągają²⁰¹. Na co wyrośnie? Czego dobrego dla siebie tam się nauczy? Im wolno się stroić i zabawiać, i w zbytku być, dla niej to zguba! Wzięli ją do zabawiania panienki, a potem będą się nią zabawiać panicze. Pewnie, co ona takiego osobliwego, sierota bez nazwy, znajda, podrzutek! Dla całego świata taka jest i zostanie, ino²⁰² nie dla mnie. Ja też na świecie nic nie znaczę, ot, za kawałek chleba mnie kupić można i mieć, ale jedno dziecko mam i ono mi także dobre i drogie, jak królowi — królowna. Nie dam jej dostatków ni honorów, to choć dopilnuję, by rada była ubóstwu swemu, zdrowiu swemu, młodości swojej. Toć moje słuszne prawo! Pan Zereмба się gniewał i wygnał mnie — to jego prawo. Może tak i lepiej. Może znajdzie daleki kąt odludny, gdzie nie będą wiedzieć, że ona znajda, nie będą jej karać niewinnie.

— Macie niby rację, ale też i zamiary nad możność. Czyście obrachowali²⁰³, jak trudno o chleb i grosz?

— Żeby rachował, tobym jej nie wziął za swoją, żeby rachował, toby mi fabryka musiała zapłacić za rękę. Nie umiem rachować. Rachując, ważąc, to człowiek nic dobrego nie robi.

— Umiecie czytać, pisać?

— Umiem, ale słabo.

— Kiedy stąd odchodzicie?

— Na jesieni.

— Ja jutro wyjeżdżam. Będę o was pamiętać. Może wam jaką robotę wynajdę. Macie tu mój adres. Zgłóście się, gdy zostanieie na bruku.

Gedras wziął kartkę i milcząc w rękę go pocałował. Razem z kartką dostał trzy ruble i za tysiące dobrej nadziei i otuchy.

— Do jesieni i ja w kraju nie będę — rzekł na rozstanie pan Bolesław.

Kartkę z tym adresem Gedras schował jako najdroższy skarb.

Ale stało się inaczej, jak myślał. Jakoś na trzeci dzień zawołano go do biura i pan Zereмба oznajmił mu, że dostanie natychmiast półroczne wynagrodzenie z góry i ma się do wieczora wynieść.

Panienka wyprawiała takie grymasy i skandale o Mańkę, że postanowiono wydalić stróża, aby nie było pokusy ustąpienia dziecku.

Gedras spokojnie wyrok przyjął. Może i on wolał usunąć swoją małą daleko, bo strasznie nudziła do pałacu. Zresztą, złakomił się na kilkadziesiąt rubli gotówki, więc otrzymawszy je, poszedł do miasteczka, kąt u znajomego mieszczanina wynajął, graty na furę zabrał i wieczorem nie było śladu po nim we dworze, gdzie tyle lat sumiennie pracował.

Niedrogie było mieszkanie, ale i niewspaniałe. Malutki alkierzyk w chałupie, okienko na grzędę warzywa i płoty, za całą kuchnię kominiek, do którego opał musiał sam kupić. Zimą musiał tu być nie do zniesienia, ale do zimy Gedras się spodziewał dostać służbę.

Parę dni przesiedział osowiały, nie śpiąc w nocy z długoletniego nawyknięcia, udręczony bezczynnością. Dziecko płakało także, nie rozumiejąc zmiany, nie mogąc się po-

Pozycja społeczna

Nadzieja

²⁰¹urągnać — drwić, szydzić, obrażać kogoś. [przypis edytorski]

²⁰²ino (daw., gw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

²⁰³obrachować — wyliczyć, oszacować. [przypis edytorski]

godzić z ciasnotą i niewolą, bo jej zabraniał bawić się ze zgrają dzieci gospodarza i trzymał w izdebce.

Po paru dniach wieczorem poszedł do Lejzorowej. Wiedziano już tam o jego dymisji, ale wiedziano też, że ma kilkadziesiąt rubli, więc warto było z nim gadać.

Jeden z Żydów obiecał mu służbę, ale żądał dziesięć rubli faktornego, drugi zagadnął o tę metrykę, ceniąc ją dwadzieścia rubli. Człek rozdrażniony wrócił do domu, postanawiając cierpieć do jesieni i czekać na obietnicę dobrego pana.

Tymczasem, nie mogąc żyć bez roboty, zaczął się mozolić nad pleceniem koszyków, słomianek i wiązaniem mioteł. Ciężko mu szło z tą jedną ręką, pomagał sobie zębami, nogami, kikutem — i powoli nabierał wprawy.

Materiał nic go nie kosztował, nad rzeką były gąszcze łozy²⁰⁴ i brzeźniaku²⁰⁵, mieszczańskie, wspólne, i nikt mu nie bronił ścinać. Idąc rano do roboty, zabierał ze sobą Mańkę. Dzieciak polubił to życie; bawił się kwiatami, muszkami, gwarzył i szczebiotał, i powoli, jak umiał, pomagał nawet kalece, zajmował się robotą.

Gotowe koszyki i miotły chowano w krzakach, a na niedzielny targ Gedras je wynosił na rynek, i zebrał co tydzień parę złotych na strawę. Ale ten zarobek nie wystarczał, trzeba było czerpać z zapasu. Jednakże to lato zostało dobrym wspomnieniem w życiu. Było w tych łożach tak pusto, tak cicho, nikt o nich nie wiedział, nikt im nie dokuczał. Dlatego zapewne wydało im się takie krótkie, tak prędko przeszło.

Zapomniała Mańka o pałacu i panience, przylgnęła do opiekuna, stawiała się z dniem każdym roztropniejsza, a rosła na schwał²⁰⁶ i odznaczała się wśród innych dzieci zdrowym wyglądem, żywością swobodną i rozbawieniem.

Jednakże Gedras ciągle o służbę się starał i czasami do Lejzorowej zachodził. Lękał się zimy, wydatków większych i musowej bezczynności.

Zgłosił się nawet do proboszcza, ale gdy zamiast roboty lub obietnicy dostał rubla, już więcej nie poszedł, wstydzając się jałmużny.

U Lejzorowej obiecywano, ale żądano zawsze dziesięć rubli, gdy wreszcie i na tę cenę się zgodził, ofiarowano mu miejsce u Żyda do oglądania gęsi, za dwa ruble miesięcznie.

— Nu, co wy więcej warci? I tak to łaska! Kaleka!

Odmówił tedy, i gdy jesień przyszyła, z wielkim mozolem napisał list do pana Boleśława, ale i listopad minął, a odpowiedzi nie było.

Urwały się zarobki, nastały mrozy. W alkierzyku było bardzo zimno, więc Gedras nie bardzo bronił Mańce odwiedzin do dzieci gospodarza, do cieplej izby.

On nie miał gustu do rozmowy. W dzień nudę, co go żarła, głuszył byle jakim zajęciem, wieczorem siedział w swej izdebce i bił się z myślami. Światła nie palił przez oszczędność, trochę węgla na kominie się żarzyło, od gospodarzy dolatywały śmiechy i rozmowy²⁰⁷, on w kożuch otulony dumał niewesoło.

Potem trochę ruchu i życia przynosiła Mańka, wracając do snu. Opowiadała, jak się bawili, rzadko była głodna, szczebiotała wesoło.

I raz rzekła:

— Tato, co to bękart?

Aż się zachnął.

— Kto ci o tym mówił?

— A tośmy się bawili. To Hańdzia była panną młodą, a Jasiiek był panem młodym, a my z Nastką i Jurkiem im służyli. To potem ja chciałam być panną młodą, to powiedzieli, że nie wolno mi być panną młodą, bo ja bękart. To potem Hańdzia z Nastką i Jurkiem byli za panów, a ja zawsze tylko służyłam. To ja pytam, co to bękart, a oni się tylko śmieli. I starsi się też śmieli. To mnie się też wstyd zrobiło, że nie wiem.

Gedras milczał, aż go trąciła, powtarzając z uporem:

— Tato, co to takiego znaczy?

Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

Pozycja społeczna

²⁰⁴łozą — wierzba szara. [przypis edytorski]

²⁰⁵brzeźniak — niewielki las brzozy. [przypis edytorski]

²⁰⁶na schwał — nad wyraz, jak należy; tu: wyrastać na osobę zdrową i silną. [przypis edytorski]

²⁰⁷rozmowor — rozmowa, gawęda. [przypis edytorski]

— To znaczy, żeś sierota i bardzo biedna. Widzisz, oni bogaci, ty uboga, dlatego zawsze służyć musisz. Nie baw się z nimi, kiedy ci urągają, nie chodź tam, kiedy się śmieją.

— Kiedy tu tak zimno, tato! — szepnęła.

— A co ci lepiej, wstyd czy zimno? Pocierp trochę. Może już jutro stąd pojedziemy.

Zdjął z siebie kożuch, okręcił ją i ułożył do snu niedaleko komina, potem chwilę pomyślawszy, wziął za czapkę i wyszedł.

Tęgo wieczora długo szeptali z synem Lejzorowej, a w parę dni potem Gedras znowu tam poszedł i w jakimś ubocznym alkierzyku dokonczyli interesu.

Żyd wziął dwie złote sztuki i wręczył Gedrasowi jakiś urzędowy arkusz papieru.

— Nu, a teraz co myślicie z sobą zrobić? — spytał.

— Ot, nocnym pociągami pojedę. Ale powiedzcie, bezpieczny ten dokument, pewny?

— Ja na fałsz nie biorę pieniędzy. Spytajcie, kogo chcecie. Powiadacie, co to bardzo drogo, no, to dlatego, żeby to było mocne, żadna fuszerka.

Gedras stęknął, papier schował w zanadrze²⁰⁸.

— Pewnie, że to grzech — zamruczał. — Ale co było robić?

— Jaki grzech, co to za gadanie? To jest dobra sztuka — zaśmiał się Żyd. — Wy to nie wiecie, po co zakon²⁰⁹ jest? Żeby jego obchodzić, bo jak w niego wleziesz, to utopisz się. — I śmiał się, pieszcząc złote monety.

Gedras pokręcił głową, nic nie rzekł i wyszedł.

Już poprzedniego dnia sprzedał parę swych sprzętów i kuferek. Trochę szmat upakował w worek, więc do drogi był gotów, z gospodarzem się rozliczył, nie miał z kim się żegnać.

Worek naładował sobie przez ramiona na plecy, rozespane dziecko wziął na rękę i tak obładowany ruszył na kolej.

Mańka rozbudziła się wśród zgłębku i tłoku stacji. Przerazonymi oczami patrzyła po nieznanych twarzach, ale nie śmiała płakać ani się odzywać.

Dopiero, gdy się znaleźli w ciemnym, dusznym, napchanym ludźmi wagonie trzeciej klasy, rzekła:

— Tato, mnie tak straszno. Gdzie my jesteśmy?

— Nie bój się. Jedziemy daleko, gdzie nam dobrze będzie.

— Tak dobrze, jak w tym ogrodzie u państwa?

— Oj, lepiej. Śpij tymczasem.

— Kiedy ja się bardzo boję tych ludzi.

— Nie bój się, już ci nic złego nie zrobią ani śmiać się z ciebie nie będą, córuś ty moja.

Pogłaskał ją po główce i uśmiechnął się, co mu się rzadko zdarzało. Dziecko wnurzyło się w jego kożuch i zasnęło po chwili z niefrasobliwością małego zwierzątka.

— Córuś moja! — szepał, patrząc na nią serdecznie.

Był pewny, że ją wykupił i wyzwolił spod klątwy złej doli.

V

Gdy Maniusia Zarembianka dorosła dwunastu lat, zmieniła siedem bon i trzy nauczycielki. Bracia jej byli już w szkołach w Warszawie i po wydaleniu trzeciej nauczycielki Zarembowie postanowili i jedynaczkę tam odwiedzić i ulokować na pensji.

Zrazu mieli ją ulokować u matki pani Teresy, ale bali się, czy dziecku będzie tak dobrze, jak w domu, i stanęło na tym, że Zarembina osiadzie w Warszawie aż do ukończenia edukacji dzieci.

Było z tym kramu co niemiara, pani Teresa nigdy w życiu nie była tak zapracowana, ale wreszcie pod koniec wakacji tabor ruszył. Zaremba rodzinę przeprowadził i ulokował. Wzięto mieszkanie na Wspólnej obszerne, bo do chłopców był stały korepetytor, a Zarembina nie chciała słyszeć o rozstaniu się z Jankowską.

²⁰⁸zanadrze (daw.) — miejsce pod ubraniem na piersi. [przypis edytorski]

²⁰⁹zakon (daw.) — prawo. [przypis edytorski]

Potem rozpoczęło się badanie różnych pensji²¹⁰, czy były dość godne mieć Maniusię w gronie uczennic. W jednej lokal był niehigieniczny, w drugiej przemęczano dziewczynki nauką, w trzeciej było dla Mamusi za ordynarne towarzystwo, we wszystkich zaś okazało się, że Maniusia jest zaledwie przygotowana do pierwszej klasy. A dziewczyna, odżywiana silnie, była dużego wzrostu i nawet nad wiek rozwinięta fizycznie, aż śmiesznie wyglądała wśród pierwszoklasistek.

Zarembina, obrażona, zdenerwowana, zresztą zmęczona i znudzona, ulokowała ją wreszcie u jakiejś pani, która miała jakiś komplet panienek ze wsi i prowadziła nauki fantastycznie, pilnując przedmiotów estetycznych i towarzyskich, bez określonego programu.

Podobało się to Zarembinie. Głupstwo te wszystkie klasy, lata i patenty²¹¹, to może potrzebne dla niezamożnych, brzydkich, ale jej Maniusia będzie miała posag, jest bardzo ładna, pracować nie potrzebuje, zresztą, wiadoma rzecz, że te mądre daleko trudniej znajdują męża.

Umieściła ją tedy, jako przychodnią, u pani Lisieckiej, i odetchnęła z ulgą. Postanowiła odprowadzać ją co dzień rano sama na pensję, ale po paru dniach straciła werwę do wczesnego wstawania i ubierania i czynność tę zdała na Jankowską.

Zresztą, czy nie dość poświęcała się dla rodziny, czy nie dość miała z tymi dziećmi kłopotu i trudu? Chłopcy uczyli się ciężko²¹². Oprócz stałego korepetytora przychodził specjalny do języka rosyjskiego i Francuzka na godzinę konwersacji. Wieczorem, po odbytych lekcjach, klócili się i czubili zajadle, darli odzież, robili awantury w szkole i zawsze któryś był chory.

Pani Teresa miała tedy wiele roboty, gdy dodać sprawy z kucharką, stosunki towarzyskie, stroje i rachunki. To ostatnie było najcięższe.

Zaremba dawał pewną określoną sumę miesięcznie, która nigdy nie wystarczała. Pani Teresa zapożyczała się u rodziny i ze strachem czekała przybycia męża. Wtedy miewała złe momenty.

Zaremba przeglądał rachunki i burczał.

— Co? Znowu kapelusz dla Maniusi? Przecież kupiłaś niedawno!

— Nie można pozwolić przecie, aby nosiła letni. Opowiadała mi z płaczem, że się z niej wyśmiewają koleżanki. Co tam, parę rubli!

— No i znowu biała sukienka.

— Musiałam zrobić. Był wieczorek dziecienny. Żebyś wiedział, jak się ogólnie podo-
bała!

— I lekcje tańca?

— No, to przecie koniecznie potrzebne. Przecie niepodobna, żeby się nie umiała obrócić ani poruszyć. Wzięłam też nauczycielkę muzyki. Okazuje się, że dziecko ma wielkie zdolności.

— Ależ, Tereniu, więc znowu masz deficyt w kasie?

— Cóż poradzę? To wszystko na wychowanie dzieci. Na siebie nic prawie nie wydaję.
Zobacz!

— Widzę, że muszę płacić i płacić. Nastarczyć nie mogę. A chłopcy źle się uczą.

— Bo korepetytor do niczego. Pisałam ci, jak mi odpowiedział, kiedym mu robiła uwagi. To jakiś demagog. Powiada, że burżujom rozum ani nauka niepotrzebna, a od wojska jakoś się wykręca. Jak można brać do dzieci jakiegoś tam aptekarczyka. Naturalnie, chłopcy za nic go nie mają. Ty masz dla niego jakąś dziwną słabość.

— Rozmówię się z nim — mruzczał Zaremba, patrząc ponuro na sumę miesięczną.

— Ale uważasz, jak się Maniusia wyrabia? Zdaje mi się, że ona długo w domu nie posiedzi. Czy uwierzysz, że na tym wieczorku już zrobiła konkiętę²¹³. Nie uwierzysz kto?

— No?

— Radca Sulicki.

— A ten co robił na dzieciennym wieczorku?

²¹⁰pensja (daw.) — niepubliczna szkoła dla dziewcząt, często funkcjonująca wraz z internatem. [przypis edytorski]

²¹¹patent (daw.) — świadectwo ukończenia szkoły. [przypis edytorski]

²¹²ciężko — właściwie z trudem. [przypis edytorski]

²¹³konkieta (fr.) — zrobienie na kimś silnego wrażenia podczas załotów, flirtu. [przypis redakcyjny]

— Było to u jego siostry Zagórskiej, jej córki są z Maniusią u Lisieckiej. Otóż przysiadł się do mnie i tyle nagadał komplementów, a wreszcie powiada pół żartem: „Za parę lat córka pani będzie najpiękniejszą panną w Warszawie. Doprawdy, dla niej wtedy i ja bym się zrzekł starokawalerstwa”.

— Patrzcie no! Sulicki! — uśmiechnął się Zaremba. — Cztery kamienice, place w Grochowie. To gruba ryba! Ba, ale to jeszcze dobrych cztery albo pięć lat, a tymczasem słono mnie to wszystko kosztuje.

Stęknął, sięgając do pugilarasu²¹⁴, ale pani Teresa odetchnęła, czując, że złe przejście skończone.

Istotnie Maniusia zmieniła się w mieście. Nabrała ułożenia i szyku, upominała się o coraz dłuższą suknię, miała przyjaciółki, z którymi szeptała i chichotała, straciła grymasy i samowolę, i zaczynała pojmować najpotężniejszy autorytet świata: „wypada, nie wypada”.

Nie miała zamilowania do nauk ani ambicji wiedzy, uczyła się jednak dość znośnie, marząc, by z tym jak najrychlej skończyć. Wiedziała, że jest ładna, słyszała to bezustannie od dziecka, lubiła patrzeć w lustro i stroić przy tym różne miny „do twarzy”. Любиła się stroić i już była zakochana.

Ten „pierwszy” był to brat Ludki Zagórskiej, student. Przychodził czasem po siostrę do Lisieckiej, a Ludka, Maniusi powiernica i przyjaciółka, odgrywała rolę pośredniczki. Na wieczorku student tańczył z Maniusią, od owej polki zaczęła się miłość. Zdawało się Maniusi, że od tej chwili rozpoczęło się dopiero życie, wszystko stało się małe i marne, niegodne myśli i uwagi — oprócz jej miłości.

Zaczęła też w tym czasie zjadać ołówki i używać cold-creamu²¹⁵ do rąk i twarzy, i usilnie dopominać się u matki gorsetu.

Komplety²¹⁶ lekcji tańca odbywały się u Zagórskich dwa razy na tydzień, wieczorem. O tym tylko marzyła Maniusia, wrażenia stanowiły niewyczerpany temat szeptów z Ludką. Ta, starsza o rok, kochała się już trzeci raz — obecnie w siódmoklasiście, koledze Zarembów. Na tańcach zbierała się cała paczka.

Zarembina przychodziła z chłopcami i Maniusią, ideał Ludki, Wicek Szałacki, z siostrą i jeszcze kilkoro młodzieży znajomej. Ile tam było spojrzeń i uśmiechów, zalotności i galanterii²¹⁷, uścisków dłoni i wymownych słów! Mamy drzemały na kanapkach, metr²¹⁸ tańca pokazywał różne *pas*²¹⁹, ślepy grajek rąbał na fortepianie, nauka flirtu przychodziła sama.

Po takiej lekcji Maniusia nazajutrz była jakby senna, narzekała na ból głowy, nie umiała nic odpowiedzieć na pensji. Zarembina sprowadzała doktora, który coś gadał o anemii, o blednicy²²⁰, radził ruch, dużo powietrza, nieprzepracowanie naukami, zapisywał jakieś krople.

— Ach, Boże, te nauki zamęczą mi dziecko! — biadała Zarembina. — Ach, żebyż się to prędzej skończyło.

Najchętniej by już zaraz wprowadziła córkę w świat.

— Oszalałaś! — mówiły jej siostry. — Pomyśl, jakby to ciebie postarzało. Córka na wydaniu!

— Ja dla niej na wszystko gotowa. Dla jej szczęścia wszystko poświęcę — mówiła pani Teresa tonem Kornelii, matki Grakchów²²¹.

I była istotnie gotowa wydać ją zaraz za mąż za dobrą partię, jaką był pięćdziesięcioletni radca Sulicki. Wszystko dla szczęścia dziecka.

Maniusia, pieszczona i kochana przez wszystkich, płaciła ze swej strony łaskawą pieśczoćliwością otoczeniu. Zawojowała tą tanią czułością rodziców, braci, znajomych i krewnych, nazywali ją miluchną przylepeczką. Nie zawojowała tylko i nie cierpiała jednego

²¹⁴*pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

²¹⁵*cold-cream* — krem nawilżający. [przypis edytorski]

²¹⁶*komplety* (daw.) — tu: lekcje. [przypis edytorski]

²¹⁷*galanteria* — tu: wyszukana uprzejmość w manierach. [przypis edytorski]

²¹⁸*metr* (fr.) — nauczyciel tańca lub muzyki. [przypis redakcyjny]

²¹⁹*pas* (fr.) — krok w tańcu, figura taneczna. [przypis redakcyjny]

²²⁰*blednica* — niedokrwistość związana z niedoborem żelaza. Charakterystycznym objawem jest zielonkawo-żółte zabarwienie skóry. [przypis edytorski]

²²¹*Kornelia, matka Grakchów* (zm. ok. 110 p.n.e.) — córka Scypiona Afrykańskiego, matka trybunów ludowych Tyberiusza i Gajusza Grakchów, uznawana za wzór cnoty, męstwa i poświęcenia. [przypis redakcyjny]

z domowników, a był nim korepetytor, Antoni Stuch, pastuch, jak go między sobą zwali dzieci Zarembów. Chłopcy go nie lubili, ale jego jednego bali się i słuchali, nie lubiła go Zarembina, ale się go też trochę bała, a trochę się żenowała²²². Maniusia prowadziła z nim otwartą wojnę.

Od dwóch lat był u nich stale na wsi i pilnował chłopców w Warszawie, i teraz, gdy w mieście wszyscy osiedli, zajmował pokój obok chłopców, i w dalszym ciągu przepychał ich promocje²²³.

Był nietowarzyski i szorstki, przy tym brzydki i nigdy nieoswojony. Żyjąc i obcując bezustannie z rodziną, zawsze pozostał obcy i jakby wrogi.

Zaremba go jednak bardzo cenil jako pedagoga i istotnie, Stuch potrafił zmusić niesfornych chłopców i do posłuchu, i do uwagi.

Skąd pochodził i czy miał rodzinę, zaledwie wiedziano. Powiedział Zarembie, że ojciec był aptekarzem, matka z zawodu nauczycielką, oboje umarli, osierocili ich dwoje z siostrą. Jakiś krewny, ksiądz, im dopomagał, potem i ten umarł. Stuch miał stypendium, chodził na prawo, o siostrze nigdy nie wspominał, listów nie otrzymywał żadnych.

Rano wychodził jednocześnie z chłopcami i na ich wielkie oburzenie przeprowadzał aż do bram gimnazjum; prawie co dzień też spotykali go niedaleko szkoły, gdy wracali do domu. Nie było sposobu go oszukać ani przed nim się ukryć z jaką fugą²²⁴ uczniowską. Nie cierpieli go też z całego serca.

Po obiedzie Stuch odrabiał lekcje i dopiero gdy odkuli sumiennie jutrzejsze zadania, uwalniał. Od jego woli i postanowienia nie było apelacji. Zarembina nawet musiała się z tym liczyć i w dniu lekcji tańca cierpliwie czekać, zanim Stuch chłopców nie puścił.

Wieczorem Stuch wychodził i wracał dopiero o jedenastej. Wtedy jeszcze raz zaglądał do pokoju chłopców, czy śpią, a sam zasiadał do pisania i długo w noc świeciło się w jego oknie.

Stuch był bardzo ubogi. Znać to było po jego mundurze i butach, po oszczędności, z jaką wydawał każdy grosz. U Zarembów nie pobierał żadnego wynagrodzenia, ale miał jeszcze parę korepetycji na mieście i zarabiał przepisywaniem po nocach.

Chłopcy dowodzili, że pieniądze zarobione przehułał. Opowiadali, że ktoś wyszpiewował, że owe jego codzienne wycieczki wieczorne były do jakiejś strasznej jaskini gry. Nie było zlej i zbrodniczej rzeczy, której by nie opowiadali o znenawidzonym pastuchu, i pewnie on sam nie tyle pragnął skończenia uniwersytetu dla siebie, jak oni dla niego, bo czuli, że prędzej go się nie pozbędą.

Maniusia nie miała bezpośredniej racji nienawidzenia Stucha, nie zależała od niego i on ją ignorował. Może stąd była jej niechęć. Czuli w nim milczącą krytykę, lekceważenie, pogardę i kompletną obojętność dla jej wdzięków.

Z początku starała się go zjednać i zawojować. Wpadała do pokoju braci latem podczas lekcji, wypraszała ich na jakiś spacer i zabawę, przymilała się i łaśliła.

Stuch oburknął szorstko:

— Proszę sobie stąd iść! To nie panny miejsce!

O tę „pannę” poskarżyła się matce i Zarembina półzartem zrobiła Stuchowi uwagę, że dziwnie do jej córki przemawia.

— Wcale do niej nie przemawiam — odparł.

— No, przecie mówi pan do niej: „niech panna”.

— A jak mam mówić?

— W naszej sferze do córki domu mówią: proszę pani.

— Mogę mówić: „proszę pani”, ale zarazem proszę, żeby ta pani nie przerywała lekcji braciom, za które jestem odpowiedzialny.

Od tej pory Stuch, ilekroć się odezwał do Maniusi, mówił: proszę pani, ale tak lekceważąco, że gotowa była płakać ze złości.

Po ulokowaniu córki u Lisieckiej, Zarembina była tak zadowolona, że przy obiedzie pochwalila się tym, pytając Stucha, czy zna tę pensję.

— Pensję żeńską? Żadnej nie znam. To podobno dobry interes, daje gruby procent. Uczyć się można wszędzie, jak kto chce, a raczej, gdy potrzebuje.

²²²żenować się — być zakłopotanym i zawstydzonym. [przypis edytorski]

²²³promocja — tu: awans ucznia do wyższej klasy. [przypis edytorski]

²²⁴fuga (łac.) — tu: ucieczka. [przypis redakcyjny]

Nie dopowiedział, ale Manusia czuła w tonie, że ona ani chce się uczyć, ani potrzebuje. To prawda była, ale w jego ustach to była obelga.

Gdy zaczęły się lekcje tańca i Zarembina zapowiedziała Słuchowi, że w te dni powinien chłopców wcześniej zwalniać, odpowiedział:

— Ponieważ tego powinni i potrzebują się uczyć, niech się sami starają prędzej zadania odrobić. Moje lekcje odrabiają nie jak dla siebie, ale jakby dla mnie. Może dla tańców będą pilniejsi.

Ten człowiek nie rzekł słowa bez krytyki, bez niechęci ukrytej, bez żółci. Nie dziw, że go nie cierpiano w domu, a siostry Zarembiny nawet nie nazywały inaczej jak „złośliwa małpa”.

Naturalnie tylko „wuj Bolek”, który czynił całemu światu „na złość”, okazywał Stuchowi sympatię.

Gdy przychodził do Zarembów, wstępował zawsze na cygaro do studenta i wyciągał go na rozmowę.

On to namówił Zarembę na korepetytora i on swymi pochwałami go utrzymywał pomimo babskich intryg. Jednakże po rozmowie z żoną Zaremba czuł się obrażony ową nazwą „burżujów” i postanowił rozmówić się serio ze Stuchem.

Po obiedzie zatrzymał go w jadalni i wytoczył sprawę.

Pani Teresa wycofała się dyskretnie, dzieci odesłano do nauki.

Ale gdy Zaremba powtórzył jego rzekome powiedzenie, Stuch spokojnie, ale stanowczo zaprotestował:

— Nigdy²²⁵ z panią o tym nie mówił ani wyrazu tego nigdy nie używał.

Zaremba rozdrażniony zawołał żonę. Okazało się po konfrontacji, że to jej powtórzył Józio.

Zawołano Józia. Z początku upierał się, że to słyszał z ust Stucha. Pod jego zimnym, badawczym spojrzeniem stracił rezon, począł bąkać i mylić, mieszać się i płątać, wreszcie okazało się, że przed matką zmyślił. Zaremba oburzony uczynił piekło w domu. Dostało się i chłopcom, i żonie, wstyd mu było okropnie.

Stuch, przeczekawszy burzę, rzekł:

— A teraz ja panu mam parę rzeczy do powiedzenia przy Józiu. Młodsze słuchać nie powinny.

Na chłopcu ścierpła skóra, gdy został sam, bez matki. A Stuch spokojnie opowiadał.

— Józio jest w klasie czwarty z końca w dzienniku, a najstarszy wiekiem. Ma szesnaście lat i naturalnie ma siebie za dorosłego. Przyjacielem jego i najmilszym kolegą jest niejaki Adamski, najgorzej notowany w klasie. W zeszłym tygodniu Józio jakoby zgubił zegarek i opowiedział matce, że ukradziono mu w klasie atlas. Teraz pozostawiam Józiowi, żeby opowiedział prawdę.

— Jak Boga kocham, zgubiłem zegarek — zawołał Józio.

— Kłamiesz — rzekł spokojnie Stuch. — Chcesz zatem, żebym ja ojcu prawdę opowiedział, gdzieś był z Adamskim wieczora?

Chłopak milczał, a Stuch zwrócił się do Zaremby i mówił:

— Pani jest stale zdania, że ja chłopców zamęczam naukami, że powinni używać ruchu i rozrywek. Dlatego też często pozwala im iść w odwiedziny do kolegów, na ślizgawkę, na gimnastykę, do krewnych. Młodszy, bardziej łakomy i ociężały, najchętniej bywa u ciotek, które go okarmiają słodyczami, Józio najchętniej po kryjomu bywa u Adamskiego. Jak i czym się zabawiają, dowodem, że zegarek i atlas sprzedali Żydowi za trzy ruble i spędzili ten wieczór w bardzo nieciekawej bawarii²²⁶ na Podwału.

Zaremba chwycił się za głowę, przerażony, a potem skoczył do osłupiałego Józia, porwał go za ucho.

— Jak śmiałeś zrobić coś podobnego?

Józio, widząc, że kłamstwem nie poradzi, uderzył w bek²²⁷, rzucił się ojcu do nóg, jękał się wśród chlipania, że to Adamski go namówił, że on nie winien, że nigdy już więcej tego nie będzie, trząsał się ze strachu kary.

²²⁵Nigdy (...) nie mówił ani (...) nie używał — inaczej: Nigdy nie mówiłem ani nie używałem (daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

²²⁶bawaria (daw.) — piwiarnia, knajpa. [przypis redakcyjny]

²²⁷uderzyć w bek — zacząć głośno płakać. [przypis edytorski]

Wysłuchał z bogobojną miną wyrzutów i gróźb ojca, obiecał wszystko, co mu rozkazano, i wreszcie, uwolniony, uciekł do swego pokoju, pokornie skruszony, w duszy rad, że się wykpił²²⁸, i wściekły na Stucha.

Teraz przyszła kolej na młodszego. Ten miał na sumieniu jeszcze niewinniejsze żądze łakomstwa. Ale już parę razy ściągnął z biurka matki na słodczyce po parę złotych i z kolegami prowadził ciągle handle piór, zeszytów, książek — na cukierki. Tłusty był, limfatyczny, o cerze nalanej, do nauki nadzwyczaj tępy i niechętny. Pomimo czternastu lat zaledwie był w trzeciej klasie, z małą nadzieją promocji.

Po wysłuchaniu wszystkiego, Zarembę ogarnęła rozpacz.

— Co z nich będzie? — mruknął. — Tyle starań, tyle kosztów, bezustanna opieka i kierunek! Toć nie my winni, to teraz taki prąd, takie warunki! Co to za świat...

Stuch milczał. Twarz jego zimna, ostra, bez zarostu, o wystających policzkach i szczękach potężnie rozwiniętych, robiła wrażenie jakiejś maski złowieszczej.

Na chwilę błysnęły dziko oczy i zgasły jak iskra popiołu.

Zaremba pożałował w duchu, że rozpoczął z nim tę nieszczęsną rozmowę. Czuć było, że ten proletariusz²²⁹, pracowity, zdolny, zdalny i silny do boju i z losem, i z biedą, pewny dojścia do celu, zdobycia sobie miejsca i stanowiska, patrzy z politowaniem na tych, co wszystko mają gotowe i staczają się w dół.

Ostatecznym rezultatem rozmowy było, że postanowiono ograniczyć Józiowi urlopy i przyjąć służącego, który by go odprowadzał i zdawał sprawę, jak i z kim się zabawia. Pani Teresa, zboleła, dostała migreny, a że to był dzień tańców, dzieci poszły pod eskortą Jankowskiej, a Zaremba został z wujem Bolkiem, przed którym roztoczył wszystkie swoje troski i co najoryginalniejsze, pretensje do Stucha.

— To jego wina! Chłopcy go nie cierpią, a tylko się boją. On nie umie ich zjednać, zdobyć zaufania, nie stara się pozyskać ich serca. Stanowczo od wakacji zmienię korepetytora.

— Wiesz co? Zmień raczej chłopców, bo tym twoim nikt nie poradzi.

— No, już daruj, ale gorsi od innych nie są!

— Nie. Takich jest mnóstwo w tej tak zwanej uprzywilejowanej klasie, która się uczy tylko, by uniknąć wojska, która jest chowana w zbytku i wygodach i która rodzi się po to, by dziedziczyć. Przy wrodzonej ludzkości żądy użycia i próżniactwa, po co tacy mają pracować i myśleć, kiedy wszystko dostaną gotowe?

— Naturalnie, wedle ciebie tylko takie Stuchy mają cnoty! Et, coraz dziksze masz poglądy. Ale ten Kato²³⁰, szpiegując Józia, ma też dziwne znajomości po bawariach z Podwala i wśród Żydów paserów. Nie wiadomo, gdzie on spędza wieczory, ten mentor.

— Ja też tego jestem ciekawy i nawet postanowiłem go dziś śledzić.

Jakoż gdy Stuch wyszedł ze swej stancji, pan Bolesław się pożegnał i dogonił studenta w bramie.

— Pan w którą stronę? — spytał.

— Ja dość daleko, na Kruczą.

— Na wieczorek? Co? Może do panienek?

— Do kolegi.

— No, to pójdziemy razem do rogu. Hu, jaki szpetny czas!

— Jak się ma całe buty i obiad w brzuchu, to nie tak bardzo przykro.

— Bywało panu rozmaicie?

— Eh! Nie bardzo. Co krok spotykałem stokroć nędzniejszych. Nie ma nic lepszego, jak porównanie z gorszym.

— A z lepszym? Nie zazdrości pan?

— Nie. To fałszywe. Lepiej jest mało komu. Zdaje się pozornie, ale tylko pozornie.

Doszli do rogu, Stuch zwolnił i pożegnał się, widocznie rad się pozbyć towarzystwa. Gdy się nieco oddalił, pan Bolesław poszedł za nim z daleka. Student zamiast na Kruczą

²²⁸wykpić się z czegoś — wykręcić się. [przypis edytorski]

²²⁹proletariusz — przedstawiciel *proletariatu*: klasy społecznej złożonej z robotników najemnych, szczególnie pracujących w przemyśle; także: najuboższa część społeczeństwa. [przypis edytorski]

²³⁰Kato, właśc. *Marcus Porcius Cato* (234–149) — także: Katon, Cenzor; rzymski mówca i pisarz, słynący z prostoty oraz surowych zasad życia. [przypis redakcyjny]

skręcił w Aleje Jerozolimskie, potem na Nowy Świat i wszedł do jednej z kamienic, zamieniwszy z siedzącym w bramie stróżem kiwnięcie przyjazne głową.

Po chwili pan Bolesław zagadnął cerbera²³¹:

— Czy pan Stuch tu mieszka?

— Nie, tu nie ma takiego lokatora.

— Ja pytam o tego studenta, co tu wszedł przed chwilą.

— Nie widziałem nijakiego studenta. Tu żadne studenty nie mieszkają. Panu się coś uwidziało. Tu jest zakład stolarski i szwaczka, i akuszerka, i biuro pana Vogla, i takie państwo rozmaite, ale studenty to tu wcale nie bywają. Na to jezdem stróż, żebym wiedział.

Pan Bolesław dał mu srebrniaka, ale stróż, choć datek skwapliwie przyjął, obstawał przy swoim, nawet powoływał się na świadectwo „rządcego”.

Pan Bolesław wszedł w bramę, przejrzał listę lokatorów, która go w niczym nie objaśniła, i odszedł, zanotowawszy tylko w pamięci numer domu.

— Szpicel²³², psiakrew — zamruczał za nim stróż.

Stuch minął jedno podwórze i wszedł na słabo oświetlone i brudne schody bocznej oficyny. Nie mieszkali tu kapitaliści, nie kwitły tu kwiaty.

Podwórko, brukowane kamieniami ostrymi, ogrodzone murami, szarymi od węglowych dymów i kurzu, ozdabiał śmietnik i pompa, na schodach panował zaduch jedzenia lichego, pleśni i kopci lamppek, za drzwiami mieszkała bieda, praca, ciemnota, dzikość lub apatia, choroba lub występki.

Na drugim piętrze zapukał Stuch do drzwi, na których był napis: Anna Gałęcka, szwaczka.

Otworzyła mu dziewczynka dwunastoletnia, szczupła i wybujała, blada, o wielkich, płomiennych, czarnych oczach, odziana ubogo, ale schludnie w ciemny barchan, z bujnym warkoczem kruczym na plecach.

Otworzyła, dygnęła i rzekła, uśmiechając się białymi ślicznymi zębami:

— Już wszyscy są. Myśleliśmy, że pan nie przyjdzie.

Nic nie odparł, rozebrał się jak w domu, kładąc palto na jakimś łóżku, ubogo zaślany, i wszedł do drugiego pokoju, mówiąc poufale:

— Dobry wieczór, orle!ta!

— Dobry wieczór! — odpowiedział cieniutki chór dziecinnych głosów.

Siedziało ich kilkoro około długiego stołu, na którego jednym końcu kobieta starsza, o twarzy schorowanej i żółtej, szyla coś na maszynie, a obok niej siedziały z robotą w rękę dwie starsze dziewczynki. Reszta dzieci, chłopcy i dziewczęta, miały przed sobą książki i kajety²³³.

Kobieta podniosła na studenta oczy zmęczone, zaczerwienione i starała się uśmiechnąć. Gdy światło objęło jej twarz, ukazała się uderzająco do niego podobna, tylko o dobre dziesięć lat starsza.

Stuch kiwnął głową i wziął się do lekcji.

Dzieci — było to młode pokolenie ze wszystkich suteryn i strychów kamienicy, nauka bardzo była początkowa²³⁴.

Czarna dziewczynka wydobyła też książkę i kajet, zaczęło się czytanie.

Monotonnie terkotała maszyna do szycia. Szwaczka zdawała się automatem, druga jej uczennica, nienależąca do uczących się, ziewała ukradkiem i zerknęła na studenta, wreszcie, gdy zegar wybił godzinę, wstała, poczęła się zbierać do wyjścia.

— Idziemy razem, Mańka? — szepnęła do towarzyszeki.

Tamta jakby z żalem zamknęła książkę.

Złożyła robotę, cicho zamieniły słów kilka ze szwaczką i poczęły się ubierać do wyjścia. Dzieci pisały teraz, a Stuch, chodząc za ich plecami, dyktował i poprawiał.

Dziewczyny wybiegły na schody i rozwiązały się ich języki.

Nauka

²³¹cerber — tu: określenie czujnego strażnika; od imienia Cerber: w mit. gr. trzygłowy pies strzegący Hadesu. [przypis redakcyjny]

²³²szpicel — osoba, która szpieguje kogoś, aby na niego donieść. [przypis edytorski]

²³³kajet — zeszyt. [przypis edytorski]

²³⁴nauka bardzo była początkowa — dziś popr. szyk: nauka była bardzo początkowa. [przypis edytorski]

— Chce ci się z dziećmi dukać to czytanie? Mnie od tego sen morzy. Żebyż jeszcze ten student był co ludzkiego! Eee, cała mi ta buda obrzydła. Niedługo kantem wszystko puszcze. Trafia mi się co lepszego.

— A co? — ciekawie spytała Mańka.

— Eee, co mi tam gadać. Zaraz wszystko ojcu wypaplesz.

— A to sekret?

— Nie sekret, ale po co wszystko starym gadać. Co im do naszych spraw? Żebyś mi poprzysięgła, że się nie wygadasz, tobym ci powiedziała.

— Pewnie, że przysięgnę. Toć twoja sprawa, to ojciec i nieciekawy. Powiedz, Stefka.

— Znasz ty tego grubego mydlarza na Siennej?

— Jużci, że znam.

— No, to on mi obiecał służbę w magazynie. Dają piętnaście rubli na miesiąc i wikt²³⁵.

— O Jezu! To raj! A w jakim magazynie?

— Gorsetów, na Chmielnej.

— Aj, Stefka, to może bym i ja z tobą tam się dostać mogła. Już umiem szyć, a pani daje tylko pięć rubli.

— E, ty jeszcze za głupia. A zresztą, czy cię to ojciec puści?

— Dlaczego?

— Ot, tak! — zaśmiała się Stefka. — On by ciebie chował w pudełku. A z tego ci co przyjdzie? Niczego się nie dobijesz. Ja tam nie myślę głupia być i tak głodem przymierać. Zapowiedziałam matce, że mi dość kurateli, od niedzieli rzucam to szycie.

— Toć i gorsety szyć trzeba.

— Co ty rozumiesz? Poproś ojca, żeby ci nos utarł²³⁶.

— Nie, to nie — obrazila się Mańka i umilkła.

Były już na Siennej. Na rogu Marszałkowskiej jakiś pan już podżyty²³⁷ zajrzał im w oczy i zaczął.

Mańka poczęła uciekać, Stefką odpowiedziała chichotem i konceptem. Jegomość poszedł za nimi.

— Czego ty zmykasz? Zje cię czy co? — fuknęła Stefka, oglądając się.

— Mnie zaraz strach chwyta — szepnęła Mańka.

— Czego? Taki stary, to jak nic da na cukierki.

— Za co ma dać? Toć my nie będziemy prosić.

— Oho, jeszcze on będzie prosić. Ot, poczekaj chwilę, ja się z nim rozmówię. Zobaczysz, że da.

Machinalnie Mańka stanęła. Stefka zawróciła o parę kroków, zaczęli rozmawiać ze starym, potem się zbliżyli i Mańka posłyszała koniec rozmowy.

— No, dobrze, poczekam w cukierni, tylko niedługo.

— No, chwilę, tylko matce tego rubla dam.

— Masz rubla, a spiesz się! Tu mieszkasz?

— Trochę dalej. Niech pan idzie do cukierni.

Pobiegły. Stefka chichotała z cicha.

— Nie mówiłam ci? Da! Naści dwa złote.

— Nie, nie chcę! Za co? A jak nie pójdziesz teraz do niego, to cię do cyrkułu zaprowadzi.

— Ale, niech mnie znajdzie! Będę ja mu za rubla do cukierni przychodzić. To ci piernik!

— Jak ty się niczego nie boisz! — rzekła Mańka jakby z zazdrością.

— Oho! A co mi kto zrobi?

— Matce to rubla oddasz?

— Jeszcze czego! A jej co do moich pieniędzy? A ty żebyś mi nie wypaplała przed ojcem, bo Antek ci zapłaci!

Mańka wdrygnęła się. Brata Stefki, lokaja, bała się jak ognia. Gdy przychodził czasem do swej rodzicielki, praczki, ich sąsiadki, miał szczególną przyjemność straszenia dziewczyny.

²³⁵wikt (daw.) — wyżywienie. [przypis edytorski]

²³⁶utrzyć nos (daw.) — tu: wytrzeć nos. [przypis edytorski]

²³⁷podżyty — w podeszłym wieku. [przypis edytorski]

Były już u celu. Weszły w bramę i w podwórko, zagłębiły się na ciemne schody, wiodące do suterenu.

Praczką zajmowała izbę od frontu, ojciec Mańki mieszkał od podwórza, w norze przerobionej z piwnicy. Rano wychodzili oboje, on był posłańcem, ona od pół roku uczyła się szycia u pani Gałęckiej.

Przedtem chowała się na podwórku.

Mańka weszła ze Stefką do jej matki po klucze do swego lokalu. Trafiły na małżeńską scenę. Mąż praczki i rodzic czworga dzieci, wyrobnik z fachu, a pijak i włóczęga z praktyki, przyszedł właśnie po parotygodniowej nieobecności rozmówić się z żoną, to jest dostać od niej pieniędzy.

Odmowę odpłacał razami. Znać było w izbie, że szukał skarbu skrupulatnie, kuferek był rozbity, graty poroztrzāsane, balia z wodą wylana, dwoje małych dzieci schowało się pod stół, a małżonek swą prawą sługę i niewolnicę kopał nogami i bił, gdzie dosięgną.

Mańka, słysząc krzyki i wymysły, chwyciła ze ściany swój klucz i umknęła. Stefka, przywykła do podobnych widowisk, rzuciła się jak pantera na ojca. Krzyki i wymysły się zdwoiły.

Mańka otworzyła swe schronienie, po omacku znalazła zapalki, zapaliła lampkę.

Zimno było i wilgotno w tej norze. Lampka oświeciła ściany, zielonawe od pleśni, brudny sklepiiony sufit, okienko piwniczne na podwórko, przez które nigdy słońce nie dochodziło. Dobytek stanowiło łóżeczko Mańki i tapczan ojca, kuferek, stolik, zydeł, parę desek na ścianie jako półki na naczynia kuchenne i kilka obrazków na ścianach. W kącie była kuchenka.

Dziewczyna rozpałała ogień i wzięła się do gotowania stawy. Nie było to bardzo skomplikowane, trochę kartofli i herbata. Wiedziała, że ojciec, jeśli dobrze zarobi, przyniesie okrasę do kartofli i mleka; jeśli dzień był zły, zjedzą kartofle z solą, popiją czystą herbatą i pójdą spać. Tymczasem kuchenka ogrzeje izbę.

Węgiel rozgorzał, dziewczynka wtuliła się w ten ciepły kąt przy piecyku i nadśluchując odgłosów życia z mieszkań sąsiadów, rada była, że jej nikt nie bije, nie wymysła, nie poniewiera. Nie czuła nędzy ni troski. Jak zapamięta, mieszkała tak zawsze i wszyscy, z którymi się spotykała i знаła, nie mieli lepiej. Czasami zdawało się jej, że kiedyś, w najgłębszych wspomnieniach dzieciństwa, widziała dużo drzew zielonych i dużo miejsca, ale ojciec mówił, że jej to się śniło chyba. Urodziła się w takiej samej izdebce, matka zaraz umarła i oni we dwoje z ojcem byli zawsze razem. On ją nauczył pacierza i czytać, on jej sprawiał sukienki i karmił. Gdy zaczęła myśleć i kombinować, zrozumiała, że on był lepszy od całego świata, który znała. Nigdy nie lajał, nie bił, nie bywał pijany, z nikim się nie kłócił. Głodna nigdy nie była, dobry był dla niej, tylko go się bała, bo ani się zaśmiał, ani zażartował i nikt u nich nie bywał, chyba za interesem stróż lub sąsiadka. A Mańka tak chętnie się śmiała, tak lubiła śpiewać, tak by rada się zabawiła z dziewczętami. Ale ojciec nie pozwalał, o Stefkę czasem ją ostro wygderał²³⁸, zaledwie tolerował znajomość. Więc się czasem nudziło dziewczyninie i marzyło się jej zajęcie w kompanii, a przy tym większy zarobek. Gdy tak dumiała, roilo się jej, że gdy dorośnie, będzie dostawać miesięcznie nie pięć, ale trzydzieści rubli, wtedy ubierze się ładnie i co dzień będą jeść mięso, i będą mieli pokój na piętrze, i okno takie, że na nim będzie można mieć kwiatki w wazonikach, i ojciec będzie co dzień mieć tytoń, i pozwoli jej przyjmować koleżanki albo czasem pójść posłuchać muzyki u stolarzów²³⁹ w oficynie.

Stefka była o dwa lata wprawdzie starsza, ale już od dwóch lat pomagała matce, a ją ojciec wciąż trzymał jak dziecko. Zbierała się zawsze powiedzieć to wszystko, ale jakoś zawsze brakło jej śmiałości.

Woda zakapiała tymczasem, po izbie rozszedł się zapach kartofli. Mańka poczuła głód, zaczęła pilniej nasłuchiwać przyjsia ojca. U praczki się uciszyło, gdzieś z podwórka od stolarzów dobiegały dźwięki harmonii i jakiś chrypliwy zegar wybił dziewiątą.

Wreszcie rozległy się kroki i do izdebki wszedł Gedras.

Mało się zmienił przez te dziesięć lat, trochę osiwił i zaostrzyły mu się rysy, ale i złagodniały zarazem, a gdy spojrzał na dziewczynę, to się z lekka uśmiechnął.

Konflikt, Rodzina

Bieda

Marzenie

²³⁸ *gderać* — narzekać w sposób nużący i długotrwały; marudzić i wyrażać niezadowolenie wobec kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

²³⁹ *u stolarzów* — dziś popr. forma D. lm: u stolarzy. [przypis edytorski]

— Głodnaś, nieboże? — spytał dobrotliwie, rozbierając się ze swej urzędowej kapoty i dobywając z kieszeni przyniesione zapasy.

Mańka zaczęła je oglądać.

— Oho, dobry był dzień, tatku — ucieszyła się.

— Dobry; nożyska też bolą i brzuch pusty.

Usiadł i począł obliczać dzienny zarobek, ona, gospodarując, świergotała:

— A tu się znowu tak bili i krzyczeli u Jeleniewskich. Myśmy ze Stefką tam wpadły na najgorsze.

— Niewiele lepsza i Stefka — mruknął. — A ty, co porabiałaś?

— Ano, jak ojciec kazał, byłam u księdza wedle przygotowania do spowiedzi.

— No, i co?

— Kazał, żeby ojciec sam przyszedł. Pytał, czy my tutejsi. Po co mu to?

Gedras ramionami ruszył.

— A potem poszłam do pani Galeckiej, szłam, potem mnie posłała z robotą do jakiejś pani na Wspólną, dali mi złotówkę, a potem biegałam po nici i potem przyszedł, jak co dzień, ten student do dzieci.

— Uczylaś się razem?

— Uczylałam, ale że Stefka już odchodziła, więc i ja musiałam iść z nią. Dzieci zostały jeszcze.

Gedras się zmarszczył.

— A tobie co za mus trzymać się Stefki? Nauki nie opuszczaj.

— Kiedy, proszę tatki, boję się sama wieczorem iść. Zawczoraj sama wracałam, to jakaś stara drogę mi zastąpiła i koniecznie ciągnęła, żebym z nią szła. Ledwie uciekłam.

— Czemuś mi nie powiedziała?

— Nie wiem, tak się wystraszyłam — bąkała.

Popatrzył na nią zmarszczony.

— Od jutra będę ja po ciebie wstępował. A ze Stefką się nie włócz, to nie kompania.

— Proszę tatki... ja... mnie by się chciało... ja myślę...

— Co bąkasz? Co by ci się chciało?

— Więcej zarabiać. Stefka powiada, że u pani Galeckiej to ja niczego się nie dobiję²⁴⁰.

— Co ci się marzy? Dzieciak taki, zarabiasz pięć rubli i obiad. Jeszcze ci mało? Cóż, głodnaś, nieodziana, co ci brak? A ja ci mówię, Stefki nie słuchaj, ona dziewczyna próżniak i latawiec! U pani Galeckiej będziesz, aż podrośniesz i nabierzesz rozumu. Ja chyba o tobie lepiej myślę i dbam jak²⁴¹ Stefka. Nie wierzysz mi już?

— Wierzę, tatku, ale chciałabym, żeby nam lepiej było.

— Ino myśl, żeby nie było gorzej. No, daj jeść.

Gdy spożyli wieczerzę, Gedras otworzył kuferek, dobył ze dna szmatkę z zebranymi pieniędzmi i rozłożył je na stoliku, dzieląc na kupki.

— To jutro na komorne cztery ruble, to na twoje trzewiki trzy, to na węgiel rubel. Ot, zostanie nam jeszcze dwa ruble.

— I moja złotówka — pochwaliła się.

— Toś jej nie przejadła na cukierki?

— Oho, ja już nie dziecko. Tatko wciąż myśli, że ja nigdy nie wyrosnę — zaśmiała się.

— Rad bym cię zawsze dzieckiem mieć, ale rośniesz, rośniesz i dorośniesz — rzekł smutno, patrząc na nią.

— To się tatko z tego smuci?

Nie odpowiedział, patrząc wciąż na nią.

Rosła, ale jeszcze była jego. Niedługo już pewnie. W oczach rosła i rozwijała się nad wiek. Skąd w takiej piwnicy bujają czasem takie świetne kwiaty?

Za parę lat to dziecko będzie śliczną dziewczyną i wtedy co? Gedras przeszedł w myśli młódz swej klasy: fabrykantów, rzemieślników, lokajów, dorożkarzy, tych wszystkich, dla których hodują się piwniczne, uczciwe dziewczęta. Porwał go żal, wstręt, strach tej chwili, gdy Mańka pokocha, i groza, żeby ją chociaż uchować do tej chwili. Coraz mniej

²⁴⁰dobić się czegoś — osiągnąć coś. [przypis edytorski]

²⁴¹jak — dziś popr.: niż. [przypis edytorski]

mógł ją pilnować, musiała pracować, zarabiać, być sobie zostawiona całe dnie, on nie miał możliwości jej bronić ni strzec.

— Jakże to było z tą starą, co cię zaczepiła? — spytał nagle.

— A tak. Szła za mną, potem wyprzedziła, zaczęła mi się przyglądać i oglądać. Myślę, zna to mnie czy co? A wreszcie stanęła w bramie i kiwa na mnie; więc pytam, co chce. A ona powiada: „Chciałabyś, jedwabnej bluzki?...” i pokazuje taką śliczną, czerwoną spod chusty. Powiadam: „Kto by nie chciał? Ale nie mam na takie stroje”. Powiada: „Chodź ze mną do kupca, jak cię zobaczy, to tanio ustąpi, chodź tu o trzy kroki na Próżnej”. I wzięła mnie za rękę, i ciągnie. Wtedy mnie taki strach zdjął, żem się szarpnęła i w nogi.

— To cię Bóg ustrzegł od śmierci.

— To ona mnie zabić chciała? Za co?

— Gorzej jak zabić. Zgubić na ciebie i duszy na całe życie. Nie wiesz to, że głupie dziewczęta wciągają w zasadzkę, na rozpustę albo gdzieś wywożą na niewolę i zatrącenie.

Dziewczyna się wzdygnęła ze zgrozą. Chowana na podwórku, znała życie, widziała i słyszała wszelkie jego straszne fakty i brudy, i przepaście.

Instynktownie przytuliła się do ojca, ogarnął ją ramieniem.

— Ty się, Mańka, pilnuj, nie słuchaj, co będą prawić o urodzie, to wszystko łgarstwa i pokusy. Chowaj swoją urodę dla siebie, nie dla czyjej swawoli i zabawy. Rośniesz i dorosniesz rychło, i zakochasz się, i za mąż zechcesz. Ty sobie wciąż pamiętaj, że kto ciebie za żonę zechce, ten będzie twe pracowite ręce chwalił, a kto ciebie na swawolę i poniewierkę będzie chciał, ten ci będzie przypochlebiać gładkiej twarzy. Nie daj ci Boże takiemu wierzyć.

— Ja tam za mąż nie chcę, ja tylko, tatusiu, chciałabym więcej zarabiać. Żebyśmy choć mieli stancję nad ziemią, tobym miała kwiaty w oknie, i żebyś tatce mogła kupić tytoniu.

— A sobie bluzkę czerwoną? — uśmiechnął się. — O stancji to i ja myślę, ale straszno ryzykować. Dziesięć rubli zaraz komorne, a nuż zarobek się urwie.

— Widzicie, tatku, że mnie trzeba rychło dorosnąć i zarabiać więcej. We dwoje to poradzimy.

— Pewnie, ale ja bym wołał jednakże, byś ty nigdy nie dorosła — rzekł posępnie. — No, tymczasem idź spać, dziecko, ja pieca dopilnuję. Kładź się, póki ciepło.

Dziewczynka posłusznie, prędko sprzątnęła resztki wieczerzy, zmówiła pacierz i wsunęła się pod koldrę.

On zgasił lampkę i pozostał, czekając aż węgiel przygaśnie. Trochę blasku z podwórka wpadało przez okienko, trochę czerwieniało jeszcze pod blachą. Gedras zgarbiony, nieruchomy dumał...

Gdy dzieci się rozeszły, Stuch usiadł obok szyjącej kobiety i chwilę długą milczeli.

— Nie chcesz, Antek, herbaty? — spytała wreszcie.

— Nie. Trzeba wracać do budy. Niedługo już tam zabawię, myślę.

— Nie może być! Zastanów się, czy znajdziesz co lepszego? Miej cierpliwość! Już tylko rok.

— Ja cierpliwość mam, ale oni mnie wydalą.

— Za co?

— Bo mnie nie cierpią. Rodzice, dzieci, wszyscy. Czują, że ja inny człowiek, radzi się pozbyć.

— Pewnieś się z czym wyrwał?

— Nie, wiesz, ja umiem milczeć i cierpieć. Co ja tam cierpię, patrząc, słuchając. Toć rośnie młode pokolenie — i jakie! Toć tak zwane towarzystwo i inteligencja, toć naród, to przyszłość. Oj, Hanka, co ja się namęczę!

— Antek, już tylko rok.

— Gdzie zaś! Rok do ostatecznych egzaminów, a potem wojsko, a potem fabryka. O, do chleba, do swobody słowa i myśli jeszcze daleko, bardzo daleko. A ty jakże, masz na komorne²⁴²

Brat, Siostra

²⁴²komorne — czynsz. [przepis edytorski]

— Mam, o mnie się nie troskaj. Jakeś mnie z tamtej otchłani wyratował, to już doczekałam, żebyśmy razem byli. Kto tamto przeżył, temu już nic niestraszne.

— Po co przypominać?

— Przypominać? Myślisz, że i godzina minie bez wspomnienia? O tobie mówmy. Jakbyś posadę stracił, to co myślisz robić?

— A cóż? Do kuchenki twojej graty zniosę, może korepetycji trochę dostanę.

— Ach, Antek, u mnie ci nie wypada być. Jak się rozniesie, że masz taką siostrę, to nigdzie lekcji nie dostaniesz.

— To będę bez lekcji — odparł ze spokojną zaciętością.

Kobieta przestała szyc, ukryła twarz w ręce.

— Hanka, nie desperuj! Pamiętasz, jakeś się wyzwoliła z tego piekła, jakeśmy szczęśliwi jechali z tej Rygi przekłetej? Jakeśmy się zebrali na ten jeden pokoik, twój własny, a potem na maszynę, jak trafiła się pierwsza robota i zarobek, a te dzieci, jak tu się pierwszy raz zebrały? Cośmy pociechy i otuchy zaznali przez te dwa lata?

— To twoja wszystko praca i zasługa, a moja co? Hańba, wstyd, nędza!

— Hanka, czy ty się naprawdę w duszy, w sumieniu czujesz taka winna, taka przestępna, potępiona?

— Ja tylko czuję się taka biedna, taka biedna!

— Boś skrzywdzona, niewinna! Jak cię ten łotr oszukał, okłamał, jakeś z nim ślub wzięła, wiedziałaś ty, na co on cię wywozi? Jak cię bił i zmuszał do rozpusty, radaś temu była? Jak ciebie za jego kradzież wzięto do więzienia, winnaś była? Jakeś wreszcie w szpitalu omal nie umarła, śmiertelnie zarażona, tyś winna była? Jak cię wreszcie sprzedał, jak swój towar, na uliczny handel, twoja była wina? Zginął, jak był tego wart, a tyś odżyła i wyzwoliła się, jakeś tego była warta. Niestety cię spotkało, nie zatracenie. Niesłusznie się zadreczasz. Życie jeszcze przed nami, będziemy razem pracować, innych ratować, innych uczyć! Swojego nic nie trzeba mieć, dla siebie ni starać się, ni chcieć. Takeśmy sobie obiecywali wtedy, w wagonie. Pamiętasz?

Kobieta nic nie odparła, objęła go za szyję i pocałowała w rękę; cofnął ją żywo.

— Z dobrą otuchą spocznij! Może to nawet dla naszej myśli lepiej będzie, jak prędzej razem będziemy. Jałowe jest tam i staranie moje, i zgryzota, i milczenie. Nic tam nie zdziałam, a tu opuszczę, a wreszcie, co stracę: ciepły kąt i dobrą strawę, to i koty tylko o to dbają.

Zaśmiał się, pocałował ją i wstał.

— Przyniosłem ci dobrą książkę o systemie szkół ludowych w Szwajcarii. Przeczytaj. Ja już pójdę.

Przeprowadziła go do drzwi, ucałowali się raz jeszcze i Stuch stanął w bramie właśnie, gdy stróż furtkę zamykał.

Otworzył studentowi i rzekł ze śmiechem dyskretnym:

— A tu dziś był jakiś stary, chudy, co się o pana rozpytywał.

— Powiedzieliście co?

— Ale, zaraz! Trafił na durnia! Już on tu więcej szpiegować nie przyjdzie, psiakrew!

— Jakże wyglądał?

— Taki wysoki, siwy, z brodą niewielką, w okularach.

— W brązowym futrze i cylindrze?

— To, to! Zna go pan?

— Znam, to przez ciekawość pytał. Nic złego!

— Niech ta, ja ta nijakich ciekawych nie lubię!

Stuch się uśmiechnął na myśl o przypuszczeniach, jakie miał pan Bolesław.

VI

Po czteroletnim pobycie w Warszawie, opłaconym tysiącami rubli i bezustannym niepokojem, Zarembina dopłynęła do portu, o którym marzyła; mogła już córkę wprowadzić w świat i wydać za mąż, gdyż Maniusia skończyła wychowanie, więc mogła być panią, i skończyła lat szesnaście, więc mogła być żoną i matką.

Zarembina nie szczędziła trudu i kosztów, aby obowiązki swe gruntownie spełnić. Przez dwuletnie uczęszczanie na pensję Maniusia nauczyła się literatury i historii, geografii

i stylistyki, botaniki i zoologii, miała też niejaki wiadomości o fizyce, chemii, regule trzech i ułamkach.

Kilka importowanych cudzoziemek wyćwiczyło ją we francuskim języku, kilka nauczycielek muzyki nauczyło ją trochę „salonowych kawałków”, tańczyła ślicznie, figurę miała toczoną, umiała się „znaleźć” w towarzystwie, i nawet całą jedną zimę uczyła się malarstwa. Lekcje solowe i zbiorowe, profesorowie i nauczycielki, popisy i występy w salonie, wszystko już było i przeszło — i oto nadszedł moment złożenia władzy matki w ręce męża. Zarembina dokonała wielkiego dzieła — wychowała dzieci.

Bo i chłopcy, wbrew prorocztwom „obrzydliwego Stucha”, wyrosli przecie na ludzi. Wprawdzie szkół nie skończyli, ale nie oni temu byli winni, tylko te „nieszczęśliwe warunki” i polityka. Młodszy dojrzał do czwartej, odsiedział w niej dwa lata i został zabrany przez ojca do pomocy w prowadzeniu fabryki. Starszy w szóstej poczuł powołanie do sztuki i przerzucił się na artystyczną karierę, kształcił się na muzyka. Był rozrywany po balach i rautach²⁴³, był bardzo elegancki i kochały go kobiety.

Obrzydliwego Stucha dawno już nie było. Wyleciał ze skandalem, gdy wykryto, że miał rodzoną siostrę — prostytutkę. Wyśledziły to siostry Zarembiny i ostrzegły oburzone. Sprowadzono na gwałt Zarembę, który rozmówił się na serio ze studentem.

Burzliwa to była rozmowa. Stuch okazał się człowiekiem ordynarnym, cynikiem i ateuszem²⁴⁴, bez elementarnych pojęć moralnych, taki prawdziwy demagog. Szczęściem, że dzieci, bogobojne i w poszanowaniu tradycji prowadzone, nie przejęły się jego zgubnym wpływem.

Został usunięty w porę i Zarembina nie mogła dość się nadziękować siostrze za ostrzeżenie. Ten człowiek wart był sądu, kryminału.

Zginął z oczu i z pamięci i dopiero po latach wyczytano z podziwem i oburzeniem, że został adwokatem.

— Oto, kto na wierzch wypływa! Ładny będzie porządek, gdy tacy wezmą górę! — mówiła Zarembina.

A pan Bolesław, który miał za zadanie całej rodzinie robić na złość i dokuczać wszelkimi sposobami, naturalnie odpowiedział:

— Moja Tereniu, ktoś przecie musi myśleć, pracować i czymś być, chociażby za twoich paniczów. No, i może naród cały nie zgodziłby się jednomyślnie, żeby oni byli na wierzchu.

Wuj Bolesław był też „obrzydliwy” i kto by mu ścierpiał i zmilczał, gdyby nie te dwadzieścia tysięcy rubli, które pożyczył Zarembie, gdy interesy się zachwiały wskutek kosztów na wychowanie dzieci.

Ale o tym nikt nie wiedział, była to rodzinna sprawa. Oficjalnie ogłoszono, że Maniusia ma 50 000 posagu, a Zaremba milioner.

Maniusia przy tym była śliczna. Miała figurkę śliczną, 48 centymetrów w pasie, śliczną cerę mleczną i różową, oczy umiające patrzeć, usta chętnie się śmiejące, bo miała ładne zęby, i wzrost okazały.

Jakże daleka była jej miłość dla brata koleżanki! Od tej pory kochała już wiele razy: włoskiego tenora, rozczochanego dekadenta²⁴⁵ i wreszcie teraz kochała Ludka Morzyńskiego.

Zresztą, która z panien nie kochała Ludka Morzyńskiego, siostrzeńca starej, bogatej Gelichowej; która z panien nie chciała się wydać za niego? Która z matek nie marzyła o nim jako o zięciu?

— Właściwie, skąd on się wziął, ten Ludek? — spytał raz pan Bolesław, znalazłszy się w gronie damskim swej rodziny i słysząc tysiąc zachwyty o tej nowej karnawałowej gwiazdce męskiego rodzaju.

Posypały się objaśnienia.

— Jak to, nie wiesz? Ten, co u Leonów prowadził tańce.

Nauka, Kobieta

Hańba

Obraz świata

Kobieta, Uroda

²⁴³ *raut* — spotkanie towarzyskie bez tańców. [przypis edytorski]

²⁴⁴ *ateusz* (daw.) — ateista. [przypis redakcyjny]

²⁴⁵ *dekadent* — zwolennik nurtu artystycznego i literackiego, który powstał pod koniec XIX wieku w środowisku burżuazyjnym. Charakteryzował się skrajnym indywidualizmem, pesymizmem i dystansem wobec społeczeństwa. Dekadenci, pragnąc podkreślić swoją odmienną i lekceważenie mieszczańskich norm, celowo rezygnowali z własnych potrzeb oraz wygod. Ich charakterystyczny wygląd (długie, czarne peleryny oraz artystycznie zaniedbane, dłuższe włosy) często budził drwiny i żarty. [przypis redakcyjny]

— Ten wysoki blondyn, co mówi te pyszne monologi!
— Jedyne spadkobierca Gelichowej.
— Kandydat na dyrektora w „Concordii”.
— Przy tym fachowiec, pisuje artykuły handlowe.
— Ten, co się pojedyńkował z Matiasbergiem.
— Mówicie wszystkie, co on robi, a ja się pytam, skąd się wziął.
— Jak to? Skąd się wziął? Przecie siostrzeniec Gelichowej. Syn jej siostry zapewne. Człowiek, jak widać, z najlepszego towarzystwa i form doskonałych. Bywa w najpiękniejszych domach.

— Dlaczegoż o nim nikt nie słyszał do śmierci syna Gelichowej?
— Był ubogi, podobno ciężko zarabiał na życie gdzieś na prowincji w jakiejś cukrowni. Zresztą, co mu masz do zarzucenia?

— Nic, może tylko to, że za bardzo doskonały — zaśmiał się pan Bolesław. — Gelichowa ma milion, co do tego nie ma wątpliwości. Ludek jest tedy dobrą partią, a prawdy o nim dowiem się, jak się ożeni. Wtedy ten legion zawiedzionych wyszpera o nim wszystko złe.

Ale Ludek z ożenieniem się nie kwapił. Tańczył, flirtował, bawił się, pograżał w rozpacz lub uszczęśliwiał coraz to inne panny i matki — i tak minęło dwa karnawały.

Do Zarembów wprowadził go Józio-muzyk. Poznali się na balu czy w knajpie i przyszedł na jakąś herbatkę. Dzień ten Manusia przekłuła szpilką w kalendarzu. Siedzieli tuż obok siebie, rozmawiali o ostatniej operze, o wspólnych znajomych, o przyszłym karnawale. Gdy się dowiedział, że to będzie jej pierwszy występ, poprosił o pierwszego walca. Pod koniec kolacji już flirtowali.

Manusia tej nocy wcale spać nie mogła. „Kocha! kocha!” — szeptało coś w niej radośnie.

Po kolacji zaraz wyszedł i rzekł jej na pożegnanie:

— Boję się dłużej zostać. Znadto pani urocza.

Wprost od Zarembów pojechali z Józkiem do Filharmonii na koniec koncertu i tam się rozstali.

Józio poszedł na salę, gdzie nań czekała „znajoma”, Morzyński pozostał w kontramarkani²⁴⁶, zamienił parę słów z jedną z panienek, śliczną brunetką, i poszedł do umówionej cukierni czekać na nią.

Ale o tym Manusia nie wiedziała, chociaż naiwna nie była i o nieprawościach męskich nasłuchiwała się dość od koleżanek, ale jak każda myślała, pewna była, że ten jej wybrany jest wyjątkiem i że taki, który ją kocha, zdradzać nie może.

Od jesieni szykowano się u Zarembów do występu Manusi w świat. Były całe kongresy niewieście nad próbkami materiałów na suknie, były rady i narady, dysputy i spory o fasony i krawcowe, były rozpacz nad złym krojem stanika i zachwyty nad gatunkiem gazy, i ciężkie troski nad uczesaniem; i zdwojona ilość wizyt po domach, gdzie miały być wieczory.

Manusia, zupełnie oszołomiona, dawała się wodzić, rozbierać i ubierać do miary, zwiedzać magazyny i pracownie strojów i marzyła o Ludku Morzyńskim.

Zarembina też była na niego zdecydowana. Zrazu wołała radcę Sulickiego, który utrzymywał zażyłe stosunki i często spod obwisłych powiek rzucał na piękną dziewczynę spojżenia starego fauna²⁴⁷; ale gdy Ludek bywać począł i gdy się upewniła co do funduszu Gelichowej, poczęła radcę zaniedbywać i w bliższym kole nawet go krytykować.

— Stary dziad, cynik, próchno! Manusia może wybierać. Jest na to dość piękna i posażna.

Starej Gelichowej nikt nie znał zrazu. Ludek ją spopularyzował. Zwykła, pospolita, zahukana²⁴⁸ żona fabrykanta stała się matroną wielkich cnót, wzorem i cudem. Zaczęto ją odwiedzać i zapraszać, uważano za ozdobę salonu, za zdobycz rautu. Grubą, ordynarną, czerwoną staruchę pokazywano sobie, kazano się przedstawiać, sadzano na pierwszym

²⁴⁶kontramarkarnia — szatnia. [przypis redakcyjny]

²⁴⁷faun (mit. gr.) — bóstwo opiekuńcze pól, gór i lasów, strzegące stad; kochanek nimf, przedstawiany jako starzec z kozłimi rogami i kopytami, cechujący się lubieżnością. [przypis redakcyjny]

²⁴⁸zahukany — niepewny siebie, uległy wskutek długotrwałego doświadczenia despotycznego traktowania. [przypis edytorski]

miejscu. Z początku była zażenowana i wystraszona, potem przejęła się rolą i uwierzyła sama, że jest czymś osobliwym. Nosiła z pompą swój majestat, pozwoliła się czcić.

Nie wiadomo, jaką intrygą sprowadzono ją do Zarembów. Był to triumf nie lada. Wywołał też mnóstwo plotek, złośliwości i krytyk wśród grona znajomych. Wszyscy, a raczej wszystkie, które poprzednio same zdobyły Gelichową, nazywały Zarembinę interesowną intrygantką. Wrzało z tej racji czas jakiś, ale na szczęście Zarembina oprócz córki na wydaniu miała syna kawalera, więc trzeba było z nią politykować. Zresztą wir nadchodzącego karnawału nie dawał czasu nawet na długie obmawianie kogoś jednego. Było tylu do obmowy!

Nareszcie odbył się ów pierwszy bal Maniusi.

Była cała biało ubrana, wyglądała ślicznie i miała szalone powodzenie. Tańczono do białego dnia. Zarembina bohatersko wytrzymała na swym stanowisku — na kanapie, ale w karecie już zasnęła, rzuciwszy ostatnie swe wrażenie:

— Dobrze się udało i pryszczyka pod pudrem nie było znać. Tylko uczesanie trzeba zmienić, ogromnie cię postarza. I za wiele tańczyłaś ze studentami.

Maniusia odrzuciła główkę w głąb karety jakby upojona. Nie pamiętała, z kim tańczyła, tylko pamiętała każde Ludka słowo, komplement, spojrzenie, uścisk. Jej młode, zdrowe ciało poddawało się chętnie wrażeniom zmysłów, podnieconych atmosferą balowej sali, muzyki i tanecznemu zbliżeniu. Zasnęła potem snem niezdrowym, niespokojnym, krótkim, zaledwie parogodzinnym.

Po kilku dniach nastąpił drugi bal, potem trzeci i czwarty, w przerwach bywano w teatrze, przyjmowano u siebie, życie stało się wirtem zabaw i niesłychanego podniecenia.

— Karnawał krótki, trzeba korzystać — powtarzano wkoło.

Czasami, jak ostroga do dalszych zabaw i boju o „partię”, dowiadywano się: Janek „taki to” oświadczył się o Zosię „taką to” lub Zosia „taka to” wychodzi za Jasia „takiego to”. Wtedy inne mamy i córki ze zdwojoną energią balowały.

Karnawał dobiegał kresu, a Ludek się o Maniusię nie oświadczał. Zarembina była wściekła, o ile taka istota leniwa, jak ona, mogła być wściekła, a Maniusia była zdesperowana, o ile dobrze wychowana panna może okazać desperację. Wdały się w to wreszcie rozmaite kochające ciotce, nagadły Maniusi, jak się ma zachować, urządziły pułapkę.

Sprowadzono Ludka na mały, prywatny raucik familijny, zostawiono młodych zręcznie na dłuższe sam na sam w półciemnym buduarze²⁴⁹, Maniusia wyszła splecioną²⁵⁰, Ludek pobladł i nazajutrz zjawił się z urzędową wizytą — z oświadczynami.

Tak się to zwlekło, że pozostał już tylko jeden bal, na którym Zarembina triumfująca mogła przedstawić swym rywalkom parę narzeczonych — i zapadł post.

Maniusi los był zapewniony, zdobyto najłakomszą partię, w rodzinie zapanowała ogólna radość. Niewiele matek może się pochwalić, żeby córka odbyła tylko jeden karnawał.

Ze szczęścia Zarembina była aż rozczulona i już zaczynała się skarżyć:

— Nie dali mi jedynaczką się nacieszyć. Toć prawie dziecko, tak chciałam ją jeszcze parę lat w domu utrzymać. Ale cóż robić, taka dola matek i wola Boża, i powołanie kobiety!

I naprawdę miewała, to mówiąc, łzy w głosie.

Maniusia była szczęśliwa; kochała i była kochaną. Miała wtedy skończonych lat szesnaście.

VII

Ślub Maniusi Zarembianki miał się odbyć po Wielkiejnocy, ale wyprawy nie wydołano i odłożono go na 4 czerwca. Narzeczeni składali wizyty, przyjmowali życzenia, gruchali swobodnie ze sobą. Ludek urządzał mieszkanie, pięć pokoiów na pierwszym piętrze, sypał pieniędzmi, posadę rzucił, wszelkie prace zaniedbał, oboje byli zajęci tylko swą miłością.

Na trzy dni przed ślubem Ludek zaprosił całą paczkę kolegów na kawalerski wieczór w Hotelu Europejskim. Zapalono na ulicach gaz, gdy jego parokonna dorożka pierwsza zajechała przed restaurację. Wysiadł i skinął na posłańca. Jeden z kilku tam stojących podszedł; był to Gedras.

²⁴⁹*buduar* — pomieszczenie należące do gospodyni, przeznaczone do relaksu. [przypis edytorski]

²⁵⁰*spleciony* — zarumieniony. [przypis edytorski]

Taniec

Kobieta, Matka

— Oddaj kartkę, odpowiedzi nie będzie. Masz tu 20 kopiejek. Odniesź zaraz ten list. Posłaniec podał kartkę²⁵¹, wziął list. Młody człowiek wszedł szybko do restauracji. Zaczęły podjeżdżać dorożki z gośćmi, zrobił się na chwilę ścisk u drzwi. Gedras się gapił z innymi, a potem dopiero spojrzał na adres listu i osłupiał: „Wielmożna Maria Gedrasówna. Hoża 19”.

Przeczytał parę razy, ruszył ramionami. Do Mańki pisał ten elegant? Co miał za interes? Chciał rozerwać kopertę, ale ludzi było pełno, kilku kolegów, więc wsunął list do torby i poszedł.

W drodze uspokoił się. Mańka szyla bieliznę, może to był rachunek lub obstalunek. Ale już go coś gnało do domu.

Wszedł na drugie piętro oficyny, zapukał, a gdy nikt nie otwierał, wyjął z kieszeni drugi klucz, otworzył i wszedł. Było to ich mieszkanie, schludny pokój z kuchenką, dwa łóżka, wazoniki z kwiatami w oknie, trochę gratów, na stole maszyna do szycia. Zebrali na to wszystko pracą i oszczędnością, od paru lat już biedy nie czuli.

Wszedłszy, Gedras obejrzał się, Mańki nie było. Zapewne odniosła robotę i poszła trochę w Aleje na spacer.

Teraz mógł list otworzyć. Wyjął go i znowu na adres spojrzał, i chwilę się wahał, jakby się bał, potem rozdarł kopertę. Było w niej dwadzieścia pięć rubli i kilka słów na karcie.

Mroczno było, Gedras podszedł do okna i czytał:

„Moja droga! Stanowczo Ci zakazuję pisania natrętnych żądań widzenia. Zechciej zrozumieć, że między nami sprawa skończona, a pretensje Twoje są śmieszne. Za parę dni żenię się i reguluję wszelkie rachunki z przeszłością. Chociaż nie mam względem Ciebie żadnych zobowiązań, ze względu jednak na chwilowe trudności, jakie mieć możesz, załączam Ci dwadzieścia pięć rubli z zastrzeżeniem, że to ostatnia moja ofiara i słowo i że nadal, jeśli mnie chcesz napastować, możesz być narażona na grube nieprzyjemności. Weź to na uwagę i wybij sobie z głowy głupie myśli. Taka ładna dziewczyna, jak Ty, może być o swój los spokojna”.

List, Tajemnica, Szantaż

Gedras przeczytał raz i znowu czytał, ciągle, raz po raz, aż wreszcie litery stały się czerwone i wirujące, a każda miała głos syczący, huczący jakby jakieś biadania. To maszyna szła z łoskotem ślepej, bezdusznej potęgi, a on trzymał czerwony sygnał, kobieta na szynach była, pociąg szedł, nie zważając na jego sygnał, na nic. Podchodził, Gedras krzyknął, rzucił się naprzód pod koła i zwałił się na ziemię, i nic już nie czuł.

Gdy się ocknął, w izbie było zupełnie ciemno.

Chwilę zbierał zmysły, dźwignął się. Myślał, że śnił.

— Mańka! — zawołał.

Milczenie. Przypomniał sobie wszystko. Zapalił lampkę, list leżał na ziemi, na stoliku koperta i banknot. Spojrzał na zegarek, była jedenasta. Czy Mańka już nie wróci? Może poszła do Wisły. Szukać jej — gdzie i po co? Wszystko było skończone.

Podniósł list i położył pod lampą, obok koperty i pieniędzy, usiadł na kuferku pod ścianą i czekał, sam nie wiedział czego. Czerwone zygzaki kręciły się w powietrzu, pełen ich był pokój, gdzie spojrzał. Miały cudaczne kształty owadów wstrętnych, trybów i kół, potwornych macek i kleszczów, bezustannie coś huczało, coś jęczało, coś wyło.

Głowa mu gorzała i chwilami dygotała, i czuł ból straszny w tej obciętej ręce, czuł każdy staw, każdy palec, dyszał w męce.

Nagle drgnął. Zgrzytnął klucz w zamku, weszła Mańka. Spojrzała na niego, musiał być bardzo zmieniony, bo wykrzyknęła:

— Co wam, tatku? Chorzyście?

Sama była biała, oczy miała czerwone.

Chciał przemówić, ale zrazu nie wydało gardło dźwięku, odchrząknął.

— Tam leży list do ciebie i pieniądze.

Obejrzała się żywo, chwyciła papier, czytała, dysząc.

On patrzył na nią, jakby jej dawno nie widział.

²⁵¹ *kartka* — tu: dokument przekazywany przez oficjalnego posłańca przy odbieraniu zlecenia, który po jego wykonaniu był posłańcowi zwracany. [przypis redakcyjny]

Skończyła, stała chwilę jak skamieniała i naraz zajęczała dzikim głosem, porwała się za głowę, skoczyła do okna, zaczęła się z nim szamotać, by otworzyć. Zerwał się i dopadł, gdy chciała skoczyć w próżnię. Przytrzymał ją, szamotała się rozpacznie.

— Puście! Ja nie chcę! Ja nie chcę! — bełkotała.

Ledwie zdołał ją odciągnąć i utrzymać.

Wreszcie zemdląła i jak martwą zawłókl na łóżko.

Ocknęła się ze spazmatycznym szlochaniem.

— O Jezu! O Jezu! — powtarzała wśród łkań.

Stał nad nią, wreszcie położył rękę na głowie.

— Cicho! Opamiętaj się! Nie krzycz! Chcesz, żeby ludzie się zbiegli? Cicho! Gadajże! Od kogo ten list? Za co ci on grozi? Coś zrobiła? Kto to taki?

— O Jezu, o Jezu!

Nagle zerwała się, siadła na łóżku.

— Pieniądze mi daję, dwadzieścia pięć rubli! Za wszystko, co moje, za wszystko! O Jezu, o Jezu!

Zaczęła się śmiać strasznie, dziko.

— Mańka! — szarpnął ją za ramię, przerażony.

Ale ona zanosila się spazmatycznym śmiechem, powtarzając:

— Dwadzieścia pięć rubli za życie! Tylem warta! Dwadzieścia pięć rubli! Cha! cha! cha!

— Cicho! Masz, wypij wody, opamiętaj się! Powiedz, co się stało?

— Toć czytaliście, wiecie! Żeni się, płaci, mam milczeć, podziękować! Kupił mnie, teraz niech inni kupują! Cenę zrobił: dwadzieścia pięć rubli! Wiecie cenę swej córki, ot, macie, zarobiłam sobie posag! Cha! cha!

— Milcz! Dosyć hecy! Wszystko mi powiedz, nie ma już co taić! Muszę wiedzieć przecie, nie bój się, już ja mu podziękuję! Mów, kto on taki?

— Nie wiem. Po co mi to wiedzieć? Chodził za mną, gadał, prosił, mówił, że urzędnik, a zresztą choćby rakarz był, mnie było jedno! O Jezu, o Jezu, takem go bez pamięci pokochała! O Jezu! Będzie temu pół roku, i ot, teraz w Wisłę!

— Czemuś mnie się nie przyznała? Wróg ci jestem?

— Com miała mówić? Od zmysłów odeszłam! Co wieczór przychodził do Filharmonii, odprowadzał do domu, jak o łaskę prosił, żeby z nim wstąpić do cukierni, długom nie chciała, raz poszłam. Był grzeczny, delikatny, ośmieliłam się. Aż go tydzień nie było, a potem napisał, że chory, że taki sam, że pewnie umrze. Poleciałam jak szalona!

Zakryła twarz rękoma, wstrząsnął nią dreszcz.

Gedras słuchał, twarz mu kamieniała.

— Gdzie mieszka? — spytał głucho.

— Teraz nie wiem. Już miesiąc, jak się wyprowadził, już miesiąc, jak go szukam. Powiedzieli, że się wymeldował na Sadową 8. Chodziłam, stróż mnie odprawił, byłam drugi raz, dzwoniłam, wyszedł lokaj, przepędził. Pisałam, skamlałam. Ot, odpowiedź! Jemu życie, mnie śmierć w Wiśle czy na bruku, czy od trucizny, czy w hańbie, śmierć, śmierć! O Jezu, i za co? Za to miłowanie! Za tę wiarę, za to psie przywiązanie!

Rzuciła się, łkając, na łóżko. Gedras już o nic więcej nie pytał, wrócił na swe miejsce pod ścianą i siedział tam nieruchomy godziny, całą noc. Dziewczyna, zmożona śmiertelnie, musiała usnąć, bo ucichła, on oka nie zmrużył.

Lampa dogasała, dzień się robił, gdzieś za ścianą zegar wybijał godziny. Gedras musiał je liczyć, bo gdy wybiło osiem, wstał.

Spokojnie zgasił lampę, położył na stole klucz od kuferka, portmonetkę, zegarek, zabrał list i pieniądze włożył do torby, potem wypił łyk wody, popatrzał na leżącą, pochylił się, pocałował ją we włosy, spojrzął raz jeszcze po całej izbie w krąg, jakby żegnał, i cicho wyszedł.

Na podwórzu leżał stos kamieni, zatrzymał się, wybrał jeden, włożył do kieszeni i poszedł na ulicę. Stróż go widział, nie zauważył, by inny był niż zwykle.

Z Hożej na Sadową niedaleko było, ale Gedras nie wiedział nazwiska tego, co mu dał list, poszedł tedy do Hotelu Europejskiego i tam się dowiedział w restauracji. Kelner powiedział, że ten, co ugasał, nazywa się pan Ludwik Morzyński i mieszka na ulicy

Miłość tragiczna, Kobieta,
Męczyzna

Zemsta, Kara, Ojciec

Sadowej pod numerem 8. I dodał, że zabawa trwała do rana i że sprowadzono panienki, i że pewnie pan Morzyński śpi teraz jak zabity.

Gedras podziękował i poszedł.

Na Sadowej stróża nie pytał, spojrzał na numer mieszkania i zadzwonił na pierwszym piętrze.

Milczenie, tedy zadzwonił mocniej. Rozległy się kroki w pantoflach i zaspany głos spytał:

— Kto tam, u licha?

— Posłaniec z listem.

Drzwi się otworzyły. Ludek stał w przedpokoju w szlafroku.

— Skąd list?

Gedras o krok postąpił.

— To odpowiedź od tej dziewczyny, której pan wczoraj posłał dwadzieścia pięć rubli.

— Mówiłem ci, że odpowiedzi nie... — nie dokończył.

Z szybkością błyskawicy Gedras ugodził go kamieniem w skroń. Morzyński się zachwiał, spadł nań drugi raz między oczy, tak silny, że w tył się podał, potknął i upadł.

Jak tygrys Gedras mu spadł na piersi i już bez pamięci miażdżył głowę ostrym kamieniem, wydając przy tym z piersi głucho stękanie, z jakim drwale łupią toporami twarde drzewo.

Może się i bronił napadnięty, może krzyknął, może się rzucił. Gedras nic nie czuł i nie słyszał. Bił, aż się zmęczył, aż z głowy została bezkształtna, czerwona kula. Wtedy wstał, spojrzał na niego i dysząc, czekał, co będzie.

Czy nikt nie przybędzie go brać? Nie uciekał.

Ale w mieszkaniu nie było nikogo. Lokaja posłał Ludek do ogrodnika z bukietem dla Maniusi. Lokaj się nie spieszył z powrotem, wiedział, że pan, zhulany, będzie spać do późna. Mieszkańcy z przeciwka wyjechali na letnie mieszkanie, nikt nie słyszał mordu.

Gedras wyjął z kieszeni list i pieniądze, rzucił je na trupa, popatrzył nań jeszcze, otarł ręce, wziął swój kamień i wyszedł.

Stróża znów w bramie nie zastał, mógł ujść niepostrzeżenie, ale on tego nie chciał. Szedł spokojny, nie czuł się zbrodniarzem.

Wszedł wprost do cyrkułu, minął jedną i drugą salę.

— Gdzie to? — zatrzymał go policjant.

— Do komisarza.

— Po co?

— Przyszedłem, bom zabił.

— Co?

— Zabiłem człowieka, ot, tym kamieniem.

Zrobił się koło niego tłum natychmiast, ciężkie ręce spadły mu na ramiona, wepchnięto go do komisarza, rozpoczęły się pytania:

— Ktoś ty?

Sekundę się zawahał, chciał nic nie odpowiedzieć albo kłamstwo, żeby Mańkę oszczędzić, ale spojrzał na swój strój posłańca i z jakąś determinacją straceńca rzekł:

— Jestem Gedras Jan. Mieszkam na Hożej 19, z córką.

— Kogoś zabił? Jak? Gdzie? Z jakiego powodu?

Trzymał wciąż w ręku kamień, położył go na stole przed komisarzem. Kamień czerwony i lepki od krwi, ręka była krwawa.

— Zabiłem kamieniem... takiego... co to się bawi z dziewczętami biednymi. Potem takie idą do Wisły albo na hańbę. I moją to spotkało. Czy tę jedną? Moje wszystkie trzy tak zabili dla zabawy. Wziąłem kamień, dość ukamienowali ludzie dziewcząt, ja za te moje trzy jemu oddałem. Nie będzie się więcej panicz bawił, nie będzie! Koniec jej i koniec mnie, i koniec jemu.

Podniósł ramię i otarł rękawem twarz, wystąpił na nią pot i pokryła bledość. I człowiek się zachwiał, byłby runął, żeby go nie podtrzymali policjanci.

— Gdzieś zabił? Gadaj? — krzyknął komisarz.

Ale Gedras był już bezprzytomny, czterech ludzi wzięło go na ręce i wynieśli do aresztu.

Morderstwo

Sprawiedliwość

We drzwiach spotkali stróża i jakiegoś drugiego człowieka, pędzących z przerażeniem na twarzy.

Zanim przemówili, komisarz zawołał:

— Co? Mord?

— O laboga, proszę pana pułkownika — począł stróż — inom na minutę zabawił w piwnicy, że to rura pękła, i ot, leci ten pan, lokaj od pana Morzyńskiego, i krzyczy: „Pana ubito!”. Lecimy na górę, leży pan w przedpokoju, jeszcze ciepły, ale już bez duszy. I żywego ducha nie było, i nic nie wzięli...

Komisarz dalej nie słuchał, zatelefonował, sam wsiadł w dorożkę, policjanci poprowadzili stróża i lokaja na miejsce katastrofy.

Gdy przybyli, nikogo jeszcze nie było. Trup leżał na środku przedpokoju z twarzą zmiażdżoną, siną i krwawą, bez śladu rysów, na piersiach leżał jakiś papier i banknot dwudziestopięciorublowy ze śladami krwawych palców.

W mieszkaniu była wielka cisza, obok w sypialni posłanie, jakby ledwie ktoś zeń wstał. Rozrzucone ubranie wieczorowe, na biurku pieniądze i zegarek.

Nic nie ruszone.

W chwilę po policji przybył sędzia śledczy i doktor, rozpoczęto urzędową czynność z całą drobiazgowością.

Było po dziesiątej, gdy przed kamienicą stanął Józio Zaremba. Wieczorem po owej uczcie przyznał się przyszlemu szwagrowi, że potrzebuje gwałtem na parę dni stu rubli. Ludek mu je obiecał i Józio po nie przyjechał.

W bramie był policjant i tłum gawiedzi.

Mijając, posłyszał, jak stróżka mówiła:

— To brat tej panny, co się z nią miał żenić.

Zastanowiło go to, ale że do motłochu miał wstręt i nigdy się do nich nie odzywał, poszedł na górę.

Tam znowu stał policjant, który go szorstko spytał:

— Wy za czym tu?

— Do pana Morzyńskiego. Co tu się dzieje?...

— Ot, skandal. Jego już nie ma.

— Jak to nie ma?

— Nu, jego ubito!

— Co? — Zaremba pchnął drzwi i skamieniał. — Jezus, Maria! — wrzasnął.

— Pan kto taki? — spytał go komisarz.

— Ja, ja? To mój znajomy! Co się stało? Kto go zabił?

— Nazwisko pańskie? Lokaj służy od kilku dni, nie umie wskazać krewnych.

— Lokaj go zabił? Za co? Ograbił?

— Nie. Zabił posłaniec. Mamy go w areszcie. Pan niech uprzedzi rodzinę! Trupa musimy zabrać do prosektorium.

— Ależ jak się to stało? Ograbiono go?

— Nie. Zabójca nawet mu zostawił pieniądze. To zapewne obłąkany, jakiś maniak. Nie można nic jeszcze wiedzieć, śledztwo wyjaśni.

— Boże, co to będzie? Trzy dni do wesela! Taka kompromitacja!

— Do jakiego wesela?

— To narzeczony mojej siostry. Co za skandal!

Komisarz rozłożył ręce z obojętnością urzędniczą.

Zaremba podał swe nazwisko, adres i wyszedł.

Wracal do domu wzburzony, a zarazem zatroskany, skąd dostanie owych sto rubli, które musiał pod słowem honoru zwrócić tegoż dnia o dwunastej. Przeraził się wypadkiem, ale Ludka nie żałował; żywy był mu wygodny i potrzebny, umarły był mu już obojętny. Ludzie tak wychowani, jak dzieci Zarembów, nie mogą kochać nic i nikogo, tylko siebie. Czuli się w domu bożyszczami i pozostali tym dla siebie. Świat i ludzie dzielą się dla nich na dobrych, którzy im są potrzebni lub im schlebiają, i na złych, którzy im nie chcą dogadzać i służyć lub o nich nie dbają.

„Nie mogła się stać ta awantura jutro” — pomyślał Józio rozdrażniony, nie mogąc sobie przypomnieć nikogo z tak zwanych przyjaciół, kto by mu dał owych sto rubli.

Obraz świata, Kondycja
ludzka

Nareszcie przyszedł mu na myśl ktoś mieszkający przy ulicy Kapucyńskiej, więc zamiast do domu kazał się tam wieść dorożkarzowi, ale kolegi nie zastał i zawrócił do mieszkania matki.

— Odeślę jutro i napiszę, że z powodu nieszczęścia zapomniałem — pocieszył się.

W domu zastał matkę z siostrą w konferencji z krawcową. Pyszny bukiet herbacianych róż, dziś rano przysłany od narzeczonego, stał w gabinecie, pełen rosy i woni.

Józio wywołał matkę do przedpokoju.

— Mamo, stało się wielkie nieszczęście. Tylko niech mama nie krzyczy i nie mdleje. Ludka nie ma.

Zarembina się zachwiała.

— Jak to? Uciekł? Co ty pleciesz? Rano róże przysłał.

— To i co z tego? Lokaj róże przyniósł, a tymczasem do mieszkania wpadł jakiś wariat i zabił go.

— Co? Zabił? Kogo? — wrzasnęła Zarembina.

— Ot, i macie — burknął zły Józio. — Mama chce cały dom poruszyć.

Na krzyk matki wpadła Maniusia.

— Co się stało? — zawołała.

— Jezus, Maria! Zabity? Co ty gadasz? Ranny może?

— Ależ kto? Co wy gadacie?

— Gdzie ojciec? — spytał Józio siostry.

— Wyszedł do rejenta.

— To posyłaj po niego. Nie potrzeba już rejenta ani nikogo. Ludek nie żyje.

Maniusia wrzasnęła straszliwie i zemdląła.

Zarembina podtrzymała ją.

— Doktora! Ona umrze! To ją zabije! — krzyczała. Powstał w domu popłoch. Ktoś ze służby poleciał po doktora, inny po Zarembę, stróża posłał Józio po wuja Bolka.

Maniusia dostała nerwowego ataku, położono ją do łóżka. Zarembina szlochała i łamała ręce. Józio bezradny, znudzony już tą sceną, z bólem głowy po nocnej orgii, szukał w bufecie sodowej wody.

Pierwszy przybył wuj Bolek.

I on na chwilę osłupiał, zgrozą zdjęty.

— Widziałeś go? Naprawdę na śmierć zabity? Co mówił doktor?

— Co miał mówić? Trup. Ani śladu twarzy, czaszka zmiażdżona.

— Zabójcę złapali?

— Mówią, że go mają. Jakiś wariat.

— Paskudna sprawa. Fe! Trzy dni do ślubu. Dziewczynie straszna kompromitacja. Żeby to choć się stało w tydzień później. Teraz dopiero baby ozory²⁵² rozpuszczą. Gdzie ojciec?

— Posłałem po niego.

— Licho cię tam poniosło w takiej chwili, teraz cię wciągną jako świadka do procesu. A wam by teraz wszystkim wyjechać i do jesieni się nie pokazywać, aż się skandal uciszy. I powiadasz, że to wariat był? Skąd? Po co by go Ludek puszczał? To brednia! To był ktoś znajomy. Zobaczysz, że to jakaś brudna sprawa.

W tej chwili wpadł Zaremba, któremu już lokaj wieść zaraportował. Był blady i trzęsący się.

— Co za katastrofa! Boże wielki, co ludzie powiedzą? Zaproszenia na ślub rozesłane! Co za kompromitacja! Jakie będą gawędy, plotki, oszczerstwa! Ach, ja nieszczęśliwy, jedyna córka zgubiona!

— Trzeba natychmiast wyjechać.

— A ja bym właśnie został — rzekł Józio. — Co to? Uciekać? Jakbyśmy byli czemu winni!

— Toteż ty sobie zostań, jeśliś ciekawy słuchać, jakie tu będą komentarze i sprawozdania — burknął pan Bolesław. — Będziesz miał parę pojedynków, czym jeszcze gorzej siostrę skompromitujesz. No, a cóż Gelichowa? Rozpacza?

²⁵²ozór — język. [przypis edytorski]

Gelichowa dowiedziała się o wypadku o dwunastej. Przyszedł do niej lokaj Ludka. Przestraszyła się, ale nie na długo. Ludka poznała dwa lata temu, po śmierci męża, jako jedyne go krewnego nieboszczyka. Umiał ją usidlić i zjednać, poddała się biernie jego wpływowi. Ale Gelichowa była oszczędna i rachunkowa. Dawała pieniądze, ale z żalem, ulegała jego woli, kierunkowi, ale z utajonym strachem bankructwa, zwykłej manii zubożonych rentierów. Po przerażeniu na wieść o wypadku przyszły natychmiast rozsądne myśli.

Dochodziły ją słuchy, że Zarembowie bankruty, panna rozrzutna, próżna i niepraktyczna, może to opatrzny los czuwał nad jej kapitałami.

Potem zaniepokoiła się o interesy. Dała onegdaj Ludwikowi 5 000 rubli na ożenienie i podróż poślubną. Co się z nimi stanie, może ukradziono, może przepadną? Mieszkanie było zapłacone za kwartał z góry, meble świeżo kupione. Co z tym teraz robić? W takich wypadkach Gelichowa miała doradcę adwokata i natychmiast po odprawieniu lokaja do niego pojechała, cała wzburzona niepokojem o takie grube straty.

— Bo to, proszę mecenasa — biadała, trochę popłakując — trzeba będzie teraz za bezcen wszystko sprzedawać, jeszcze w chwili, gdy wszyscy się rozjeżdżają. Mieszkania nikt nie odnajmie, a te pieniądze, moje własne, onegdaj dałam, a teraz trzeba je spadkowym prawem chyba odzyskać. Mój Boże, jakie to będą koszty i mitręga, i ambaras! Ach, ciężko jest wdowie i kobiecie! Takie nieszczęście!

— Czy pani była już tam?

— Nie, nie mogę! Ja się strasznie umarłych boję. Kazałam przyjść przedsiębiorcy pogrzebowemu. Zapłacę. Co robić? Obowiązek zawsze święcie spełniam. Ale tam podobno pełno policji, sąd, śledztwo. Żeby choć w zamieszaniu nie okradziono mieszkania. Ja ledwie się zebrałam na siły, aby do pana przyjechać. Strasznie jestem poruszona. Muszę się położyć. Boję się, że odchoruję ten straszny cios.

Położyła się też zaraz, obwiązała głowę i stękając, targowała się z przedsiębiorcą pogrzebowym, potem kazała służbie nikogo nie przyjmować, bojąc się kondolencji. Dzień minął spokojnie, wieczorne gazety wydrukowały tłustym drukiem:

STRASZNA ZBRODNIA PRZY ULICY SADOWEJ

„Dziś rano stróż domu nr 8 przy ulicy Sadowej został zaalarmowany przez lokaja mieszkającego tam p. Ludwika Morzyńskiego, że pan jego został zamordowany. Gdy weszli przez kuchnię do mieszkania, znaleźli na środku przedpokoju martwe już zwłoki i zawiadomili natychmiast policję. Przybyli na miejsce sędzia śledczy, doktor i komisarz cyrkulowy stwierdzili, że denat został zabity uderzeniem tępego narzędzia w skroń. Zabójca pastwił się następnie nad swą ofiarą, miażdżąc twarz i czaszkę.

Zabójstwo nie było spełnione w celu rabunku. Zbrodniarz po dokonaniu strasznego czynu zostawił na piersiach zabitego jakiś list i sam następnie oddał się w ręce sprawiedliwości. Jest to zapewne maniak lub obłąkany. W cyrkule dostał ataku nerwowego i w stanie nieprzytomnym został odwieziony do szpitala więziennego. Nazwisko jego jest Jan Gedras, a szczegół charakterystyczny, że pozbawiony jest lewej ręki. Mordu dokonał zwykłym kamieniem z niesłychaną siłą i zręcznością, zważywszy jego kalectwo, a młodość i siłę ofiary.

Pan Ludwik Morzyński znany był w szerokich kołach naszego miasta i pozostawia po sobie szczery żal całego grona ludzi, którzy cenili w nim młodzińca wielkich zdolności i przymiotów.

Zbrodnica dłoń zezwierzęconego szaleńca przecięła to życie tak bogate, tak świetne, rokujące tyle nadziei. Jaskrawy to dowód zdziczenia obyczajów niższych warstw i upadku moralnego i religijnego naszego ludu”.

U Zarembów kupiono wszystkie gazety i czytano ze strachem, czy nie będzie wzmianki o nich.

Józio, naciągnawszy ojca na sto rubli, obleciał wszystkie redakcje i przez stosunki po hamował reporterską swadę. Maniusia gorączkowała. Zarembina miała migrenę. Mężczyźni czytali gazetę i uspokojeni, że przynajmniej skandalu drukiem nie rozniesiono, poczęli rozważać, co dalej czynić.

Interes

Zaremba jeszcze raz przejrzał artykuł i rzekł:
 — Jan Gedras. Skąd mi to nazwisko wydaje się znajome?
 — Jan Gedras? — powtórzył wuj Bolek. — Czekaj i ja coś sobie przypominam.
 Gedras! Gedras! Gedras! Jednoreki!
 — Mam już! Był u mnie w fabryce przed kilkunastu laty stróż nocny. Tak, tak! Czyżby to on był? Ale właśnie i nazwisko, i brak ręki!
 Spojrzeli na siebie.
 — Pamiętasz go? Ja sobie już wszystko przypominam. Ponury, dziki człowiek, wyparłem go. Szczególny wypadek. Odszedł po jakiejś awanturze, nie pamiętam już jakiej. Spytałem Tereni, może ona sobie przypomni. To dziwne. A może on to zrobił przez zemstę? Może wiedział, kogo zabija?
 — Przez zemstę? Za co? — ruszył ramionami Józio.
 — Za wydalenie.
 — Et, ojciec fantazjuje!
 Wuj Bolek patrzył na litery i myślał. Powoli przypomniawszy sobie wszystko, ale nie mówił nic.
 — Co za list znaleziono przy nieboszczyku? — spytał nagle Józio.
 — Nie wiem. Przyszedłem, gdy już były władze.
 — A ja wam mówię, czuję, pewny jestem, że ten zbój zrobił to przez zemstę! — wybuchnął Zaremba. — Teraz go sobie doskonale przypominam. Zuchwały, dziki, ponury. To zemsta! Udaje szaleństwo. On to zrobił z premedytacją. Ja to wszystko opowiem sędziemu śledczemu! Ja mu nie daruję!
 — Daj pokój! Nie miesza się do sprawy kryminalnej, której nie rozumiesz. Mówię ci, wyjeżdżajcie. Co się stało, to się nie odstanie. Dziewczyny ze dwa lata nie można pokazywać w Warszawie. A zresztą, to jeszcze kwestia, czy ten Morzyński był tym, czym go zrobiono. A byliście z kondolencją u Gelichowej?
 — Nie. Na licha nam to babsko teraz — burknął Zaremba. — Żeby nie jej pieniądze, nie siedzielibyśmy teraz w tej awanturze.
 Wuj Bolesław się roześmiał, zawtórował mu Józio. Z sypialni ozwał się żałośliwy głos Zarembiny.
 — Trzeba zapowiedzieć służbie, żeby jutro nikogo nie przyjmowano. Wszyscy przyjdą naigrawać się nad nami, triumfować. Ach, Boże, ja tego nie przeżyję! Manusia tak go kochała!
 — To najmniejsza! Będzie kochać drugiego! — rzekł lekceważąco pan Bolesław.
 — Drugiego? — jęknęła Zarembina. — Po takim skandalu kto o niej pomyśli!
 — At, za jakie dwa lata wszyscy zapomną.
 — Dwa lata! Boże wielki! Dwa lata ma jeszcze siedzieć w domu!
 Pan Bolesław zniecierpliwił się.
 — To ją oddajcie do jakiej ochrony, jeśli wam zawadza.
 — A wszystko przez taką przeklętą żmiję! Ach, żeby go chociaż powiesili, gałgana!
 — zawołał Zaremba. — O, ja się dowiem, jak śledztwo się toczy! Ja dopilnuję!
 — I zrobisz kapitalne głupstwo — rzekł pan Bolesław, wstając.
 — Nie odchodź, Bolku — zawołała Zarembina. — Nie zostawiaj nas samych.
 — Będzie tu za chwilę legion twych siostr z najświeższymi plotkami, a ja mam winta u Sulickiego.
 — Jak on już dawno u nas nie był! A tak Maniusię lubił. Warto, żeby w takiej chwili nas sobie przypomniawszy.
 — Przecie nie chcesz nikogo przyjmować — ironicznie zauważył pan Bolesław.
 W przedpokoju raz jeszcze rzekł do Zaremby:
 — Ostrzegam cię, do sprawy się nie miesza. Już i Józio niepotrzebnie włął, a ty samochcąc się nie wplącz. Zobaczysz, że to będzie brud i wstyd.
 Zaremba nic nie odparł, ale pan Bolesław czuł, że go przestrzegal na próżno.
 Dużo przyjaciółek i życzliwych dzwoniło nazajutrz do Zarembów, ale nie zostali przyjęci z racji, że „panienka chora”, i odeszli zawiedzeni w nadziei obejrzenia naocznie nie-szczęśliwej narzeczonej.

Kondycja ludzka

Nie mówiono dzień cały o niczym, tylko o tym wypadku, krążyły najpotworniejsze wieści i szczegóły. Do Gelichowej dzwoniono też bezustannie, nie były to jednak wizyty kondolencyjne. Byli to wierzyciele Morzyńskiego. Stara rozchorowała się naprawdę i sprowadziła swego adwokata.

Okazało się, że Ludek żył szeroko i nie płacił. Miał kredyt, oparty na jej funduszu i na jej latach podeszłych. Dawano mu chętnie, z pewnością, że „stara prędko kipnie”, tymczasem się przerachowano. Cała masa wierzycieli rzuciła się na Gelichową. Byli tam krawcy i utrzymujący remizy, jubilerzy i ogrodnicy, hotele, restauracje, cukiernie, cały legion, żyjący ze zbytku i przyjemności takich eleganckich paniczów. Byli pożyczający na weksle i znaleźli się wszyscy, co urządzali mieszkanie, i właściciel kamienicy, ci, na których tak niedawno dała Gelichowa gotówkę.

— Gdzie moje pieniądze? Co on z nimi zrobił? On mnie przez parę lat kosztował czterdzieści tysięcy! — krzyczała w bezsilnej złości i rozpacz.

Adwokat, człek zimny i obyty ze wszelkimi interesami, przejrzał cały stos listów różnego stylu i ortografii, ale podobnej treści.

— Niech się pani nie irytuje. Prawnie do niczego to panią nie obowiązuje. Mieszkanie i meble zlicytują, zresztą²⁵³ nic. Sumiennie chyba może by pani przejrzała te pretensje, bo są tu ludzie naprawdę ubodzy, wyzyskani, skrzywdzeni.

— Czterdzieści tysięcy mnie kosztował, nie dam ani grosza więcej! Jaki on mój krewny nawet: syn mojej ciotecznej siostry! Otumaniał mnie, udawał, oszukiwał! Nie dam grosza!

— Będzie pani miała wiele nieprzyjemności. Może by z nimi wejść w układy? Będą gadali, pisali, wywlekali różne skandale.

— Niech robią, co chcą, nie dam ani grosza!

Nienawidziła Morzyńskiego, oddawała go bez wahania na pastwę zaciekłości wierzycieli i nazajutrz, nie doczekawszy nawet pogrzebu, wyjechała za granicę.

Ludek żył i był sławny w Warszawie przez trzy karnawały, po śmierci zajął i bawił jeszcze trzy dni. Na pogrzebie był tłum próżniaczek gawiedzi i ciekawych, potem przyszedł inny skandal, inna nowina, inny wypadek. Mówiono o nim coraz mniej, w coraz ściślejszym kole, ludzie się poczęli rozjeżdżać na lato, miasto wyludniać się z tej warstwy właśnie, w której on działał i żył, i imię jego i pamięć została tylko w sądzie. Rozpoczęły się sprawy oługi i rozwijało się powoli, z nieubłaganą drobiazgowością śledztwo mordu.

VIII

Gdy się rozegrał krwawy dramat na ulicy Sadowej, Antoni Stuch był w Petersburgu w jakiejś sprawie klienta. Wrócił w dwa tygodnie później.

Stuch się wybił przez te lata, był już znany, miał coraz szerszą praktykę, był na drodze do sławy. Mieszkał skromnie, bezżenny, z siostrą.

Nie mieli żadnych stosunków, ciążyła nad nimi klątwa bezlitosnej opinii ludzkiej. Nie starali się zresztą z nią walczyć i nie czuli braku towarzystwa. Ona, jak dawniej, uczyła biedne dzieci, on był zapracowany, wieczory spędzali samotnie, nigdy nie tęskniąc za inną rozrywką jak czytanie lub rozmowa.

Otóż gdy Stuch wrócił i zasiedli do wieczornej herbaty, siostra opowiedziała mu ów mord.

— Wiesz? To był narzeczony tej Zarembianki, u których byłeś korepetytorem. Pamiętasz?

Wtedy Stuch przeczytał schowaną dlań gazetę i rzekł:

— Jan Gedras, posłaniec jednoreki. I to znajomy. Pamiętasz taką czarną dziewczynkę, która u ciebie szyla? To była jego córka. A on parę razy jeszcze niedawno nagabywał mnie na ulicy i dziękował, i ofiarował usługi. To był ambitny i hardy człowiek. Szczególny wypadek! Jutro się dowiem, kto sprawę prowadzi, i przejrzę. W tym musi być jakaś tragedia.

— Dowiedz się, co się stało z dziewczyną. Może potrzebuje opieki?

Stuch nazajutrz był u sędziego śledczego.

Dowiedział się, że Gedras dotąd był ciężko chory i ledwie osiągnięto nadzieję, że żyć będzie.

Choroba

²⁵³zresztą (daw.) — tu: poza tym. [przypis edytorski]

Dowiedział się też, że córka jego tegoż dnia, gdy spełniono morderstwo, znikła z mieszkania i dotąd policja na ślad jej wpaść nie mogła.

Sprawa więc wskutek tego i choroby przestępcy była zaledwie rozpoczęta, zresztą nie przedstawiała wielkiego zajęcia ani komplikacji. Aż się zdziwił sędzia śledczy, gdy Stuch oznajmił, że będzie obrońcą.

Wprost stamtąd Stuch pojechał do Gedrasa. Nie poznał go. Był to cień i szkielet, ruina człowieka. Leżał bez ruchu, bez wzroku w oczach, bez wyrazu życia na twarzy.

— Poznajecie mnie? Jestem Antoni Stuch. Nie pamiętacie studenta, brata pani Gałęckiej, u której szyła wasza córka? Przyszedłem was odwiedzić.

Gedras się długo w niego wpatrywał, wreszcie wyszeptał:

— Gdzie Mańka? Już jej nie ma!

— Odnajdę ją. Bądźcie spokojni, dam opiekę.

— Już jej nie ma! Nikogo nie ma! Wszystkie trzy poszły... pod maszynę! — wyszeptał.

Stuch zrozumiał, że mówić z nim jeszcze nie pora, więc go tylko polecił dozorczy i poszedł szukać dziewczyny.

— Proszę pana, toć już jej szuka cała policja — opowiadał mu stróż na Hożej. — O laboga, jaka to się zrobiła chryja²⁵⁴, co mnie naciągali i pana rządcego! To w ten dzień, jak on zrobił ten kreminal, to dziewczyna jak rano poszła, tak tyle ją widzieli. Niezawodnie do Wisły skoczyła gdzie za miastem i po próżnicy szukają. Mieszkanie to stoi opieczętowane — już tam przetrzęśli każdą szmatę, a co tam znajdą ciekawego. Biedne ludzie byli, ale rzetelne, dziewczyna głupstwo zrobiła, to prawda, ale ten bezręki miał ci ryzykę, jak jaki hrabia. Za serce go wzięło, że ten pan ino 25 rubli i rzucił, mógł ci sądem zastraszyć, to by więcej dał, a ten od razu w łeb! Nie poznasz nigdy człowieka. Jak policja wpadła i tom posłyszał, tom zgłupiał. Trzy lata u nas mieszkał, nigdy nawet złego słowa nie rzekł.

— Może wiecie, kto u nich bywał, z kim żyli?

— Tak naprawdę, to z nikim. Stary odstraszył kawalerów, a jedną dziewczynę, co do córki przychodziła, to raz wygnał z taką złością, że się odgrażała sądem. Ale tylko gadała, bo taka była, to kto by jej się bał.

— A tej nie wiecie, gdzie mieszka?

— Kto by wiedział? Ot, po ulicy się włóczy. Zresztą to dawno było i potem się nie pokazała.

Stuch stracił nadzieję osiągnięcia tu jakiej informacji i wrócił z niczym do domu.

W kilka dni potem odwiedził znowu Gedrasa. Fizycznie był zdrowszy, ale miał ten sam tępy wyraz twarzy i martwe oczy.

— A co? Nie ma Mańki? — rzekł apatycznie.

— Bez was się nie odnajdzie. Musicie pomóc.

— W Wiśle!

— Nie może być. Znalezione by trupa. Ukryła się zapewne, a wiecie, że w jej położeniu może się dostać w najgorszy wyzysk. Pomściliście ją, rozumiem, ale teraz pomyślcie i o niej. Gdzie mogła się ukryć, u kogo? Czy miała pieniądze? Mówcie mi wszystko, jestem waszym przyjacielem, bronić was będę w sądzie. Dziewczynę ratować trzeba, nie ma chwili do stracenia.

— Ni mnie obronicie, ni ją uratujecie. Przez nas już maszyna przeszła — szepnął Gedras.

— Jaka maszyna?

Ale Gedras nie słyszał, patrzył tępo przed siebie i mruczał:

— Mnie obronić, przed czym? Mnie nic złego się nie stanie. Po co mnie bronić? Nikogo przed niczym nie obronisz. Nie wolno zabijać, za trupa karzą. I mnie skarzą. Wolno zabić duszę, jak tak moją Mańkę zabił, a nikt mnie nie skarał wtedy, i ów zabił tę moją drugą Mańkę i nic by mu nie było, gdyby nie mój kamień. Pod maszynę ja kamień cisnął, rozbiła się, za to mnie skarzą. Mnie już wszystko jedno. Nie zapieram się, rzuciłem kamień. I nie kajam się, niech mnie trzymają w zamknięciu, bo gdybym wolny był, to bym tylko kamieniem ciskał na takich, co duszę zabijają!

Gedras zatrząsł się cały i targnął koszulę na piersiach.

²⁵⁴chryja — awantura. [przypis edytorski]

— Zdrowa była, młoda; śpiewała, śmiała się, pracowała, nikomu nie szkodziła. Wychowałem jak to kocię wyrzucone na drogę. Nikt nie chciał, nikt nie dbał, nikomu nie było potrzebne, póki małe, póki marne, póki niedołążne. Aż na zabawę się zdała, to się zabawili! I ot, w wodę poszła jak to kocię, bo już znowu niepotrzebne. A jeśli nie w wodzie, to co jej? W rynsztok, w uliczny kał, po jadło ze śmietnika!

— Gedras, nie mówcie tak! Byle ją odnaleźć, nie damy jej zginąć.

— Co odnajdziemy? Ot, to ciało żywe a sponiewierane, żeby taki koniec miało, jak tamta Mańka. Nie damy zginąć, mówi pan, zginęła już ona, zginęła. Ja ją chowałem, ja ją znam. Ona ni na zabawę, ni na rozpustę szła, nie sprzedawała się, umiłowala.

— A wy teraz oddajecie ją na ostateczne zatracenie! Zastanówcie się! Żebyście powiedzieli, kogo znała, gdzie się mogła ukryć, żebyście pomogli!

Gedras głową potrząsnął.

— By ją odnaleźli, gdzieby teraz była? Tam, gdzie ja, w szpitalu lub w więzieniu pod śledztwem, włóczyliby po sądach. A potem gdzieby się podziela, kto by pracę dał, kto jej nie potrafi? A choćby na kraj świata uszła, nie ukryłaby się przed klątwą, już dla niej nie ma uczciwego życia ni wesela, ni spokoju, ni prostej drogi. Dajcie pokój, panie, ukamienowana już ona i prócz kamieni do śmierci nic jej nie dadzą. Daj jej, Boże, teraz w Wiśle na dnie być, tam jej lepiej!

— Czyście znali tego jej uwodziciela?

— Ja? Skąd? A po co ja mu byłem potrzebny? Dziewczyna moja mu się podobała, opętał ją, okłamał, wciągnął, zabawić się chciał. Mnie dał czterdzieści groszy za kurs, by jej zanieść 25 rubli. Wtedy się dowiedział wszystkiego. W naszym stanie dziewczyna bezbronna. Ledwie z dziecka wyrośnie, zarabia, nikt jej nie pilnuje, bo chleba trzeba, każdy się stara, żeby żyć. Żeby matkę miała, toby to się może nie stało albo i nie. Nikt nie uratuje dziewczyny przed miłowaniem, one wszystkie takie. Miłuje i wierzy.

— Jedną ją mieliście? Żona nie żyje?

Gedras dziwnie się skrzywił, jakby jakimś śmiechem.

— Nie ma nic, nikogo, już nic, nic!

Wargi mu zadrżały, zwiesił głowę.

— Gorzką mieliście dołą — szepnął Stuch do głębi przejęty i wzruszony.

— Czy ona zabrała z sobą pieniądze i papiery? Nie wiecie, panie, co tam w stancji znaleźli? — spytał Gedras po chwili milczenia.

— Nie wiem, jutro tu wrócę do was i powiem. Nie trzeba wam czego?

— Mnie? Nic. Już mnie stąd prędko do więzienia wezmą. Jeszcze mnie nie przesłuchiwali. Czy to długo potrwa, panie?

— Śledztwo? Zapewne niedługo. Przecie przyznaliście się do winy, wyrok będzie względny.

— Ja się nie boję wyroku! Tylko mówić każą, będą pytać, męczyć! Całe życie rozgrzebią!

Wzdrygnął się.

— Mówcie prawdę, nic nie ukrywajcie.

Gedras zapadł w zamyślenie i nic więcej nie odrzekł.

Nazajutrz przeprowadzono go do więzienia, a w kilka dni potem stawiono go po raz pierwszy na śledztwie.

Sędzia spojrzał nań bystro i po kilku wstępnych pytaniach rzucił nagle:

— Czyście służyli przed kilkunastu laty u pana Zaremby?

Na to pytanie człowiek, odpowiadający dotąd spokojnie, jakby się zawahał.

— Nie pamiętam — odparł.

— Staraj się przypomnieć.

— Może być, tyle lat, zapomniałem.

— Czy znałeś pana Ludwika Morzyńskiego, spotkałeś go kiedykolwiek przed owym dniem?

— Nie.

— Ale wiedziałeś, że ma się żenić i z kim?

Krzywda

Miłość, Pozycja społeczna,
Kobieta

— Nic nie wiedziałem anim²⁵⁵ go znał. Jakiś pan przed Hotelem Europejskim dał mi list i z góry za kurs zapłacił. Zobaczyłem adres córki, więc niespokojny poszedłem do domu i wtedy się dowiedział wszystkiego.

— Córka ci powiedziała? Nie uważałeś w jej życiu i zachowaniu zmiany do tego dnia?

— Nie. Z zajęcia wracałem późno, wychodziłem rano. Ona, jako szwaczka, często bywała na robocie poza domem. A zresztą, czym się spodziewała!

— Więc, gdy ci się córka do wszystkiego przyznała, postanowiłeś zabić uwodziciela, nie wiedząc, kto on jest?

— Wziąłem kamień ostry i poszedłem. Zabrałem list i pieniądze. W restauracji powiedziano mi, gdzie on mieszka. Otworzył sam, wtedy mu oddałem list i zapłaciłem za dziecko. Niech mnie pan sędzia nie męczy pytaniami! Ja się nie zapieram, zabiłem i gotówem²⁵⁶ za to karę mieć, jaką mi sąd przeznaczy.

— Zapewne piliście wódkę, wychodząc z domu, nie byliście zupełnie przytomny. Nie pamiętacie dobrze tej chwili zabójstwa?

— Pamiętam. Nic nie piłem. Chciałem go zabić.

— Córka was na niego podburzyła?

— Nie. Zostawiłem ją w domu nieprzytomną, jak martwą z rozpacz. Żeby wiedziała, po co idę, może by go broniła. Jeszcze mnie miał kto podburzać? Warte było śmierci, zabiłem!

— Dlaczegoż córka wasza zginęła w tejże godzinie bez wieści? Była może z wami?

— Mańka? Mordować by miała?

— Szczególnie jednak, żeście sami, jedną ręką obalili człowieka młodego, silnego?

— Snadź²⁵⁷ moja sprawa była też silniejsza. On miał moc kobiety uwodzić, ja — kamienować krzywdzicieli!

— Czyście oprócz tej córki mieli więcej dzieci?

— Nie.

— A żonę dawno straciliście?

— Dawno.

— W którym roku?

— Nie pamiętam.

Sędzia zajrzał w papiery.

— W każdym razie po urodzeniu córki — rzekł, znowu bystro patrząc na więźnia.

Gedras milczał. Dojrzał wśród papierów swój paszport i metrykę Mańki. Dziewczyna wyszła tedy z domu bez dokumentów i pieniędzy. Poszła na śmierć.

— Ta dziewczyna, która przy was mieszkała, jest tedy waszą ślubną córką?

— Ma pan przecie moje wszystkie papiery.

— Ja was pytam, jest waszą ślubną córką?

— Tak.

— Gdzie umarła wasza żona?

Po twarzy Gedrasa przeszedł jakby ogień.

— Stoję tu za zabicie człowieka i za to mam być sądzony. Zabiłem go. Sądzicie i karzcie! Ale tamto, co przedtem było, życie całe, to moje jest i opowiadać go nie będę.

— Nie mam mocy was zmuszać. Ale sprawiedliwość musi wszystko wiedzieć. Opo-rem lub wykrętami przeciągniecie sprawę i zaszkodzicie tylko sobie. Radzę wam życzliwie wyznać całą prawdę: wszystko.

Gedras milczał. Przeczytano mu protokół tego pierwszego przesłuchania i odprowadzono do więzienia.

Ale w parę dni potem spotkał na nowym posłuchaniu Zarembę.

Gdy go ujrzał, już się nie złąkł ani się zmieszał, popatrzał zimno i czekał, co będzie.

— Tak, to ten sam człowiek — odpowiedział Zaremba na pytanie sędziego. — Przed szesnastu laty służył u mnie jako nocny stróż. Żony nie miał, dziecko, które wychowywał, nie jest jego. Jest to córka włóczęgi nieznannej, zmarłej przy urodzeniu dziecka. Człowiek ten służył u mnie kilka lat, znam go dobrze. Moje słowa może potwierdzić każdy z mieszkańców osady u nas.

²⁵⁵anim go znał — inaczej: ani go znałem; nawet go nie znałem. [przypis edytorski]

²⁵⁶gotówem (...) mieć — skrót od: gotów jestem mieć. [przypis edytorski]

²⁵⁷snadź (daw., gw.) — widocznie. [przypis edytorski]

— Co masz do powiedzenia w swej obronie na ten zarzut? — zwrócił się sędzia do Gedrasa.

— Od czego się mam bronić?

— Od sfalszowania metryki tej dziewczyny, która, jak się okazuje, nie jest twoją córką.

— Wcale się bronić nie będę. Myślę tylko, dlaczego ten pan świadczy przeciwko mnie? Co ja albo moja dziewczyna jemu albo komukolwiek zawinili? Ona przepadła już i ja zginę w katorgach; on pan, wolny, bogaty, szczęśliwy, i tu przyszedł przeciw mnie mówić. Możem i służył mu, nie pamiętam, całem²⁵⁸ życie służył, krzywdy nikomu nie zrobiłem. Czego wy ode mnie chcecie, ludzie?

— Nie rozumiesz, że ciąży na tobie drugi kryminał: sfalszowanie dokumentu?

— Co na mnie ciąży? Wszystko. Za to przecie można zabrać tylko to, co mi zostało, ot, resztkę życia. To bierzcie, nie będę bronił. Może znajdziecie jeszcze więcej kryminałów, to je wypiszcie. Dziewczyny już nie mam, nie ma komu wstydić się za mnie. Ale ot, przysięgam, że już wam na żadne pytanie nie odpowiem. Na próżno mnie tu nie ciągniecie.

Było to jego ostatnie słowo. Nie pomogły żadne uwagi, groźby, podstępny, zdawał się nic nie słyszeć.

Pewnego wieczora do jego celi przyszedł Stuch, parę tygodni był nieobecny. Gedras, leżący na pryczy, ożywił się na jego widok i oczyma pytał.

— Nie, ani śladu Mańki — rzekł Stuch, rozumiejąc, co go zajmuje. — Chyba was uwolnią, to potraficie odszukać. Ja zresztą w tej chwili wracam z daleka. Szukałem czego innego: przeszłości Morzyńskiego. Dowiaduję się, że metryka sfalszowana. Prawda to? Nie wasze to dziecko? Znacie pana Zarembę.

— Skąd on się tu znalazł?

— Jakże! Morzyński miał się za parę dni żenić z jego córką. On dowodzi, żeście go zabili przez zemstę. A ponieważ odkryto, że Mańka nie była waszą córką, więc teraz posądzają, że była waszą kochanką.

Gedras zerwał się z pryczy, jakieś zdławione przekleństwo wyrwało mu się z gardła.

— Kto posądza? To już na mnie wszystko rzecz można, wszystko na mnie cisnąć, wszelki kał!...

— Dlaczego się nie bronicie, czemu mnie chociażby nie powiecie całej prawdy?... Dlaczego dajecie się oskarżać?

— A choć powiem, kto mnie uwierzy, co to uratuje? Kiedyś raz opowiedziałem wszystko jednemu księdzu, zdawało się, że mnie zrozumiał, użalił się, modlił się, mówił, że Bóg mi dziecko uchwala, i ot, co jest! Kiedyś go potem poprosił o papier, o metrykę, rzekł: „Nie można”. Trzeba, żeby takie dzieci ostemplowane były winą rodziców, żeby miały wstyd i hańbę na całe życie. Nie, dziecko nie moje jest. Nie wiem czyje, jam tylko je jak własną duszę kochał, jak najdroższe hodowałem. Mojego nic nie ma. Żonę dostałem zhańbioną, zabiła się ze wstydu i zgryzoty; rodziny nie mam, całe życie się tułam za chlebem, z tą jedną ręką. Dziecko było nie moje. Znalazłem na drodze umierającą kobietę, do rana była u mnie w stancji i zmarła. Dziecko mi zostało nie moje, tylko mi trzeba było być i ojcem, i matką, i niańką, i praczką, i nosić, i karmić, i w chorobie pilnować, i myć, i obuć²⁵⁹, i ubrać, i lat czternaście hodować, i utrzymać tą jedną ręką. To na kochankę i człowiek tak hoduje? Bodajby ten, co na mnie to rzekł, nigdy dzieci nie miał albo bodajby mu jego córka, jak ta moja, na zatrętę poszła! Pan Zaremba to mówi za to, że go zięcia pozbawił, skrzywdziłem go! Jego córki nikt nie zhańbi, panienka jest, wszystko jej pilnuje i opiekuje się: bezpieczna. Bodajby jej taka dola! Chce pan, mniejsza, mogę wszystko powiedzieć, niech pan powtórzy na sądzie, niech ludzie usłyszą, jakem zaszedł na tę pryczę. Daleka była droga, długa i ciężka, pół wieku idę, warto było żyć! Nie ja jeden taki, dużo tak idzie dołem, tyle że jako ćma się wydają, co się rusza pod nogami większych, pod kołami, między trybami maszyn. Widział pan czasem, jak wędrują liszki przez drogę? Kto idzie, kto jedzie, co leci, wszystko je dusi, miażdży, pożera. My takie liszki...

²⁵⁸całem życie służył — inaczej: całe życie służyłem. [przypis edytorski]

²⁵⁹obuć — założyć buty. [przypis edytorski]

Obraz świata

Pozycja społeczna

Usiadł na pryczy, zgarbił się i umilkł na chwilę. Potem zaczął mówić, mówić coraz swobodniej. A Stuch, siedzący obok niego, nie przerywał ani jednym słowem. Godzinę, może więcej, Gedras mówił. Gdy skończył, poczuł, że Stuch ramieniem objął go za szyję.

Gedras się zatrząsł z wrażenia.

— Co też pan robi! — wyjąkał.

Stuch nic nie odrzekł, mocno go ucisnął, zerwał się i wyszedł. Dławiły go w gardle lzy...

Współczucie

IX

Maniusia Zarembianka przechorowała ciężko katastrofę. Do nerwowego wstrząśnienia przylączyła się anemia, potem malaria, zamiast do domu matka ją wywiozła za granicę.

Wybrano mniej znaną, uczęszczaną miejscowość nad morzem we Francji, żeby uniknąć spotkania z rodakami, i istotnie nie było tam nikogo z Warszawy i w ogóle żadnego towarzystwa.

Zarembina, oplakawszy i odgadawszy wypadek, poczęła się uspokajać, spać, jeść i tyć. Maniusia zrazu na nic nie zwracała uwagi i nic ją nie zajmowało. Godzinami siedziała beczynn timerandzie. Godzinami podobnie nad morzem, piła i łykała lekarstwa, kąpała się, nie widziała nic wkoło siebie. Nawet nie wzruszały jej westchnienia matki:

Choroba, Żaloba

— Ach, jakaś ty mizerna! Jak źle wyglądasz! Jak ci oczy wpadły! Jak ci się cera zniszczyła!

Minęło tak parę tygodni. Zarembina towarzyszyła zrazu córce do kąpieli, ale potem zaczęła się opuszczać. Plaża była bliźutko; towarzystwo francuskie, filisterskie, nikogo młodego, wołała zatem Zarembina drzemać na werandzie, niż palić się na słońcu. Maniusia chodziła sama.

Pewnego dnia przybyło dwoje nowych gości. On był smukły, młody brunet, ona złotowłosa paryżanka. Wyglądali na świeżo upieczone małżeństwo. Najęli willę i co dzień razem przychodzili się kąpać. Sobą tylko byli zajęci, rozkochani, rozśmieszeni, rozśpiewani. Biło od nich wesele i szczęście.

Maniusia poczęła na nich spoglądać z ciekawością, z jakąś zawiścią, z żalem. Oni z początku nie zwracali na nią uwagi, potem usłyszała, jak złotowłosa, minawszy ją, rzekła do towarzysza:

— Patrz, jakie ta dziewczyna ma zmęczone rysy!

Obejrzał się i zatrzymał na niej wzrok jasny, takie spojrzenie, co obejmuje całą postać.

— Mogłaby być ładna, żeby wyraz i życie. Jakiś zasuszony kwiat.

I przeszli. Maniusia, wróciwszy do domu, spojrzała w lustro i przeraziła się. Co się z niej zrobiło! Wpadła w rozpacz i zaczęła płakać. Czuła się tak nieszczęśliwa, tak samotna, tak złamana. Ale rano zajęła się swą powierzchownością, obejrzała uważnie cerę, zęby, włosy, ręce i spędziła przy ubieraniu parę godzin.

Zarembina się ucieszyła, gdy spytała o suknię, o kapelusz, o parasolkę.

„Dzięki Bogu, wraca do równowagi” — pomyślała.

U końca plaży było głazów kilka. Maniusia tam miała swój kącik do czytania i rozmyślań. Pewnego dnia znalazła go zajętym. Paryżanka siedziała pod czerwoną parasolką, u nóg jej leniwie wyciągnięty mężczyzna czytał poezję.

Gdy Maniusia na ich widok cofnęła się, wstał, i uchylając rybackiego beretu, grzecznie przeprosił za najście.

— *C'est votre temple, mademoiselle. Nous en demandons l'hospitalite pour une heure ou deux!*²⁶⁰

Odpowiedziała grzecznie, że jej nic na tym miejscu nie zależy, i odeszła trochę dalej. Słyszała, co czytał: były to poezje Prudhomme'a²⁶¹, a potem słuchała, jak zaczął śpiewać półgłosem: *Ninon, Ninon, que fait tu de la vie!*²⁶² A potem kobieta zaczęła nucić jakiegoś walca i wreszcie odeszli ku swej willi, szepcąc i całując się. Maniusia, nie wiadomo dlaczego, zapłakała.

²⁶⁰ *C'est votre temple, mademoiselle (...) pour une heure ou deux* (fr.) — To pani świątynia, panienko. Prosimy o gościnę na jedną lub dwie godziny! [przypis redakcyjny]

²⁶¹ *Sully-Prudhomme, Rene François* (1839–1907) — fr. poeta, którego twórczość wyróżnia się melancholijnym nastrojem, pesymistycznym spojrzeniem na rzeczywistość oraz poczuciem rezygnacji. [przypis redakcyjny]

²⁶² *Ninon... que fait tu de la vie!* (fr.) — Ninon, co ty robisz z życiem! [przypis redakcyjny]

Potem spotkała go samego; zbierał wyrzucone przez przypływ muszle, a widząc, że ona grzebie mozolnie w piasku parasolką, podszedł.

— Może pani pomóc? O, chce pani taką skorupkę? Służę, mam ich kilka.

I śmiał się do niej z taką jakąś koleżeńską dezynwolturą²⁶³, że mimo woli rzekła:

— Pan pewnie artysta?

— Zawsze i wszędzie.

I tak się stało, że dalej zbierali razem muszle. Opowiedział, że tam za skałami, w zatoce, zbiór bywa obfitszy i ciekawszy, trzeba tylko przebyć skały.

— O, dla mnie to za ciężko. Nie mam sił.

— To śmiesznie słuchać. Pani nie może brakować sił, tylko ochoty.

— I tego także. Nie mam do niczego ochoty.

— Jak długo?

— Jak to?

— No, przecie to może być tylko czasowa apatia.

— Myli się pan, to już na zawsze.

Roześmiał się tak szczerze, tak swawolnie. Obraziła się.

— Niech pani daruje! Kiedy to takie zabawne w pani ustach tak młodych i tak pięknych.

Objął ją całą spojrzeniem swych słonecznych oczu. Czuli, że się rumieni, że to spojrzenie rozbiera ją i z upodobaniem artysty — pieści.

Zaczęła iść szybko ku drodze i willom.

— Przyniosę dla pani muszli z tamtej zatoki. O, ja mam ochotę do wszystkiego. Niech żyje życie!

Nie wspominała matce o tej przelotnej znajomości.

Nazajutrz i dni następnych spotykała ich znowu razem. Jej kącik zagarnęli na stałe. Gnieździł się tam jak ptaki. Przynosili plecty, koszyk z przekąską, nawet jego przenośne sztalugi. Ale mało malował, czas schodził na świergotach, śpiewach, pieszczotach.

Manusia przestała chodzić nawet w tę stronę, tak ją gorszyło takie swobodne zachowanie.

Zmieniła nawet godziny kąpieli, żeby się nie spotykać, i wynalazła sobie inną kryjówkę dla swych dumań.

A dumania te zmieniały się w miarę mijanych dni, słonecznych blasków i sił wracających.

Obraz Morzyńskiego malał i bladł; życie i młodość dopominało się swych praw, zaczynała przychodzić krytyka i potrzeba nowych wrażeń. Rola ofiary złamanej stawiała się nudna i monotonna.

Pewnego dnia w sam skwar południa, gdy tak siedziała wtulona w cień skały, posłyszała opodal wesołe gwizdanie. Była to znana polka z *Ptasznika z Tyrolu*²⁶⁴. Manusia domyśliła się zaraz, kto idzie, i czym prędzej wzięła się do czytania.

W tej chwili pod nogi jej spadł deszcz muszli, krzyknęła przestraszona.

Sprawca stał na wysokim głazie, cały w słońcu, smukły, piękny, i śmiał się ślicznymi, białymi zębami.

— Wracam z za skał ze zdobyczą! Co za upał rozkoszny!

Zeskoczył na żwir i rzucił się jak długi na ziemię. Zmrużonymi oczyma patrzył w niebo, potem odwrócił się leniwie na bok i jej się przyglądał.

— Nie chce już pani muszli?

— Owszem, dziękuję, ale mnie pan tak przestraszył!

Zaczęła zbierać muszle, on przyglądał się jej dalej, poświstując przez zęby.

— Nabrała pani barwy przez ten czas. Do twarzy pani z tą złotawą tintą²⁶⁵ słońca na policzkach. No, a jakże z tą zgubioną ochotą do życia? Znalazła się?

— Nie szukałam.

— Znajdzie się sama.

Artysta

²⁶³ *dezynwoltura* (fr.) — swobodne zachowanie wobec kogoś, które sugeruje brak szacunku dla tej osoby. [przypis redakcyjny]

²⁶⁴ *Ptasznik z Tyrolu* — popularna operetka Karola Zeller, wystawiona po raz pierwszy w Wiedniu w 1891 roku. [przypis redakcyjny]

²⁶⁵ *tinta* (wł.) — barwa. [przypis redakcyjny]

— Pan dziś bez żony? — spytała z jakąś utajoną złośliwością.
 — Żony? Czyżem podobny do wielbłąda, że mi pani od żon wymyśla? Ja żony nie mam, mieć nie chcę i mieć nie będę! Czy mi życie nie mile?...
 — Więc tą pani?...
 — To moja modelka. Potrzebowałem ją do studium i odprowadziłem już tydzień temu.
 Maniusia patrzyła na niego w prawdziwym osłupieniu. A on się zaczął śmiać z całego serca, tak go to ubawiło.
 — Ta pocziwa Suzon wzięta za żonę! Pani zapewne wprost z klasztoru pensjonatu tu przybyła. Ręczę, że pani czyta: *L'heritier de Redcliff*²⁶⁶!
 — O, wcale nie! I nie wychowałam się w klasztorze, ale nie myślałam, żeby....
 Urwała, nie umiejąc wyrazić swego oburzenia.
 — Żeby co? — pytał ubawiony.
 — Żeby się państwo nie kochali — wymówiła, rumieniąc się.
 — Ależ i ja temu nie przeczę, lecz miłość nie jest monopolem małżeństwa! Przeciwnie, nie rozumiem, jak można kochać wtedy, gdy mi nakażą lub zarejestrują²⁶⁷ u mera²⁶⁸ to moje uczucie. Biedni ludzie, którym taki surogat²⁶⁹ musi służyć za ambrozię²⁷⁰. Bogami się nigdy nie poczuja!
 — Opowiada pan bezceństwa²⁷¹ — rzekła, wstając.
 — Ucieka pani pod skrzydła mamy od szatana. Widziałem wczoraj na poczcie mamę. Musiała być rubensowska pięknoscia²⁷². Pani nie będzie miała tak przepysznie rozwiniętych kształtów. Ta przeklęta secesja defiguruje kobiety²⁷³. Proszę zostać jeszcze chwilę!
 — Po co? Żeby słuchać pana impertynencji²⁷⁴?
 — Ja mówię impertynencje? Ależ znajduję, że mimo wszystko pani jest urocza, warta nie deszczu z muszli, ale deszczu ze złota. Żebyśmy byli Jowiszem!²⁷⁵
 Wstała obrażona.
 — Proszę mi dać przejść — rzekła zimno, bo leżał w poprzek między dwoma głazami.
 — O, ma pani ton i ruch bogini! Lubię być przez takie deptany.
 Wstał jednak i dodał swobodnie:
 — Lubię bardzo kobiety, co się umieją gniewać, takie też umieją i kochać. Chciałbym być epizodem w życiu pani!
 — Ale ja nie chcę być niczym epizodem. Żegnam pana!
 Odeszła tak wzburzona, że zapomniała zabrać książki, gdy to spostrzegła, była już blisko willi i spotkała matkę z listem w ręku.
 — Chciałam iść do ciebie, tak mnie wzburzyły wieści z kraju. Wiesz, już jest do-wiedziane, że ten morderca służył u nas kiedyś i za zuchwalstwo został wydalony, a ta dziewczyna, to wcale nie jego córka. Śledztwo odkryło ohydne szczegóły. A wiesz, kto jest obrońcą zbrodniarza? Stuch.
 — Ten korepetytor?
 — Ten sam. Tak się nam wywdzięcza, że dzięki nam z głodu nie umarł.
 — Moja mamo, a cóż nas ta sprawa tak obchodzi?
 — Jak to? — zdumiała Zarembina.

Miłość, Małżeństwo

²⁶⁶*L'heritier de Redcliff* — Dziezdzic z Redclyffe, opublikowana w 1853 r. niezwykle popularna powieść autorstwa Charlotte Mary Yonge. [przypis edytorski]

²⁶⁷zarejestrować (daw.) — zarejestrować. [przypis edytorski]

²⁶⁸mer — burmistrz. [przypis redakcyjny]

²⁶⁹surogat — produkt, materiał zastępczy o właściwościach podobnych do artykułu zastępowanego. [przypis edytorski]

²⁷⁰ambrozja — w mitologii greckiej pokarm bogów, zapewniający im nieśmiertelność. [przypis redakcyjny]

²⁷¹bezceństwa — coś okropnego, haniebnego, godnego pożałowania. [przypis edytorski]

²⁷²rubensowska piękność — kobieta o pełnych kształtach i jasnej karnacji, przypominająca postacie z obrazów, jakie malował Peter Paul Rubens (1577–1640), flamandzki malarz barokowy. [przypis redakcyjny]

²⁷³secesja — styl artystyczny, który pojawił się pod koniec XIX wieku, charakteryzujący się delikatnymi, krętymi liniami oraz bogatą ornamentyką, obecny w architekturze, malarstwie, sztuce dekoracyjnej, a także modzie damskiej. [przypis redakcyjny]

²⁷⁴impertynencja — zachowanie, które świadczy o braku szacunku, bezczelności, niedorzeczności. [przypis edytorski]

²⁷⁵warta (...) deszczu ze złota. Żebyśmy byli Jowiszem! — w mit. gr. Danae została zamknięta przez swojego ojca, króla Argos, gdy wyrocznia przepowiedziała, że jej syn go zabije; Zeus (tu: jego odpowiednik w mit. rzym., Jowisz, władca bogów), upodobał sobie Danae, odwiedził ją w postaci złotego deszczu. [przypis redakcyjny]

- Ano, pan Morzyński ostatecznie kłamał mi uczucia, oszukiwał.
- No, pewnie. Ale zawsze z racji tego draba spadł na nas taki skandal.
- Również można powiedzieć, że z racji pana Morzyńskiego.

Zarembina popatrzała na córkę.

- Jeśli ty tak mówisz...

— Mówię, bom przeszła wszystkie uczucia aż do wstrętu i pogardy wreszcie, i teraz żał mi moich łez. Rada bym zapomnieć, że istniał kiedyś jakiś Morzyński i że mogła mu wierzyć i kochać.

Zarembina objęła córkę w ramiona.

— Dzięki Bogu, wracasz do zdrowia i życia. Ach, jak się ojciec ucieszy! Tak mu tęskno do nas. Może byśmy wróciły do domu? Ludzie jednak nie wszyscy są źli i głupi. Pisze ojciec, że radca Sulicki bardzo serdecznie o nas się dopytuje, kiedy wrócimy. To człowiek!

- Zostaniemy jeszcze parę tygodni. Tak tu cicho i pusto, tak mi tu dobrze.

— To zostaniemy, biedactwo. Istotnie, ledwie się zaczęła poprawiać. Świetnie ci morze służy.

Teraz istotnie Maniusia z dniem każdym nabierała rumieńców i humoru. Zarembina wypisywała do męża cuda o wpływie morskiego powietrza, cieszyła się, że córka tyle czasu spędza na wybrzeżu, ale sama nie mogła zagustować w pieszych spacerach po piasku i wystawianiu się całymi godzinami na słońce. Bo najwyżej chodziła czasami do rybaków po homary, resztę czasu spędzała na czytaniu, pisaniu listów i porządkowaniu strojów córki.

Maniusia używała zupełnej swobody, ale rzadko i niedługo bywała samotna.

Malarz szukał jej i przychodził na gawędkę. Oswoila się z jego sposobem bycia i poglądami, zrazu zgorszona, znalazła potem w nich dziwnie pociągający urok, nauczyła się odpowiadać cięto. Dowiedziała się, że ma na imię Jan, że jest sam na świecie, bez rodziny, że zarabia dużo i spędza zimę w Paryżu, lato, gdzie go fantazja pociągnie. Nie wątpiła, że jest Francuzem, a gdy się dowiedział, że ona jest Polką, rzekł w rodzaju komplementu, że Polki mu imponują i że się ich aż boi.

I raz, pewnego wieczora, gdy wracali ze spaceru, rzekł obojętnie:

- Niech mnie pani wspomni jutro.

— Dlaczego?

- Bo dziś w nocy odjeżdżam.

— Tak nagle?

— Od wczoraj zachciało mi się zobaczyć Arles. Była tam pani kiedy? Nie? To szkoda. Jakie tam są cudne kobiety i niebo! Tu mi za szaro, za smętnie, za chłodno. Sielanka! Znoszę ją bardzo krótko. „Pójdę w świat, szukać sobie innej!” — zanucił wesoło.

- Tęskno panu zapewne po modelkach?

— Przede wszystkim za barwą i blaskiem południa. Chciałbym spotkać panią za lat kilka.

- Zdaje mi się, że możemy pożegnać się na zawsze.

— Szkoda. Malowałbym wtedy portret pani. I pani rada by mnie ujrzała.

- Wątpię, czybym sobie przypomniała, żeśmy się już widzieli.

Zaśmiała się.

- Powinniśmy sobie coś dać na pamiątkę i na znak do przypomnienia.

Zanim się obejrzała, zorientowała, pomyślała o oporze, poczuła jego usta na szyi. Odtrąciła go, odskoczyła.

— *Devenez reine, je serai votre page, au revoir!*²⁷⁶ — zawołał wesoło i uchyliwszy beretu, zawrócił.

Po chwili usłyszała gwizdanie znanej sobie melodii: „Pójdę w świat, szukać sobie innej” — i zniknął za skałami.

Maniusia wróciła tego dnia później niż zwykle, jakaś zdenerwowana, ze śladami łez na twarzy, nie miała apetytu, źle spała w nocy, nazajutrz nie chciała iść do morza. Zaniepokoiła się Zarembina.

²⁷⁶*Devenez reine, je serai votre page, au revoir!* (fr.) — Stań się królową, a ja będę twoim paziem, do widzenia! [przypis redakcyjny]

Po paru dniach Maniusia wyznała, że jej tęskno do domu, że ma dość włóczęgi i samotności, że chciałaby zobaczyć ojca i czymś się zająć.

Naturalnie ta czułość dla kraju i rodziny rozczuliła do łez matkę; zaczęły się zbierać do powrotu.

Postanowiły się wcale w Warszawie nie zatrzymywać, przemknąć przez nią cichaczem, ale Zaremba wygadał się o dniu przyjazdu panu Stanisławowi i zapewne od tego dowiedział się radca Sulicki, bo spotkał panie na dworcu z bukietem i pudełkiem cukierków.

Maniusia była wściekła, Zarembina rozpromieniona. Radca zajął się ich bagażem, towarzyszył na drugi dworzec, ulokował w wagonie. Naturalnie został przez matkę zaproszony na wieś, za co bardzo serdecznie podziękował.

Gdy pociąg ruszył, Maniusia wybuchnęła:

— Po co go mama zaprosiła? On pomyśli, że go łapiemy. Ja go nie chcę, mamę, ja nikogo nie chcę!

— Ależ, moje dziecko, nie możemy się zamykać jak trędowaci. To była z jego strony wielka uprzejmość. Po takiej awanturze okazał, że został przyjacielem. Trzeba było zaprosić, to do niczego nie obowiązuje. Zresztą to taki miły, inteligentny człowiek, tak dobrze mówi, i takie zajmujące rzeczy. Nieoceniony gość na wieś teraz! Pomyśl, to już wrzesień, wszyscy wrócili do miasta. Będziemy jak pustelnice.

Maniusia wzruszyła ramionami.

— Ach, on mnie nic nie obchodzi. Niech mama się nim cieszy i bawi go!

— Przecie lubiłaś go także.

— Ach, może być. Mnie teraz wszystko i wszyscy wstrętni i nieznośni!

— Biedactwo! Warszawa ci przypomniała to nieszczęście. W domu odżyjesz znowu, zapomnisz...

Ale w domu właśnie wpadły na cały szereg opowieści warszawskich, plotek, obmowy, wymysłów najpotworniejszych. Józio opowiadał, że kilka razy omal nie miał o siostrę pojedyńku. Zaremba był zgryziony i skłopotany interesami. Zadłużył się na wyprawy i wystawne życie, teraz musiał płacić na wsze strony, fabryka źle szła, łamał głowę nad wyjściem z ciężkiego położenia. Wszystko widział w czarnych kolorach, zrzędził i narzekał na świat cały.

Synowie też chcieli żyć i wydawać. Kariera muzyczna starszego kosztowała grubo, młodszy niby to pomagał w fabryce, ale głównie siedział w miasteczku i z kompanią sąsiednich młodych obywateli bawił się kartami po zajazdach. Na starość Zaremba czuł się samotny, znękany, niepotrzebny, a raczej zawadzający tym dzieciom, którym przecie służył i dogadzał całe życie.

— Trzeba nam będzie do przytułku iść — mówił gorzko do żony. — Już my im niepotrzebni, ustąpić trzeba. „Stary duren”, myślą, patrząc na mnie. Żebyż jeszcze nie te długi i nie Manusia!

— Dlaczego nie udasz się o pomoc do Bolesława?

— Nie wspominaj mi tego człowieka! Wiesz przecie, że nagadał mi głupstw z powodu tego draba, zbrodniarza i śmiało dowodzić, że to my wszystkiemu winni. My! My go do zbrodni dowiedli! Bolesław! Toć on bywa u Stucha! Zresztą winien mu już jestem dwadzieścia tysięcy. Ja się boję, że on jeszcze na Sulickiego wpłynie, żeby nie przyjeżdżał. Ach, to by było zbawienie, żeby choć Maniusi los zabezpieczyć. To już tylko w twoich rękach.

— Byłe przyjechał — westchnęła Zarembina. — Maniusia ma złote serce, ona mi będzie uległa.

— Sulicki ma trzykroć gotówki i kamienicę. Zresztą może się Maniusi podobać, doskonale się jeszcze trzyma. Żeby to doszło do skutku, to by była bez porównania lepsza partia niż Morzyński.

Maniusia po powrocie do domu prędko zaczęła się nudzić. Przywykła do miasta i ludzi, do ruchu i rozrywek, do wizyt i sprawunków, co wszystko stanowiło zajęcie, pracę niby, i pożerało czas. Na wsi nie wiedziała, co robić ze sobą i czasem. Bracia nie zajmowali się nią, gości prawie nie było widać, z matką nie miała o czym mówić. Dnie upływały wolno, próżniaczo na spacerach po ogrodzie, na robótkach ręcznych, nieużytecznych, na czytaniu beletrystyki, na jedzeniu i spaniu. Po paru tygodniach zauważyła z przerażeniem,

Nuda

że tyje. Spłakała się z rozpacz. Zaczęła się sznurować aż do utraty tchu, postanowiła się głodzić, ale była łakoma, więc nie umiała się obejść bez słodczy.

— Spasasz się, Maniusiu — rzekł kiedyś Józio — będziesz taka fasa²⁷⁷, jak mama. Trzeba ci koniecznie za męża.

— Głupi jesteś — oburknęła.

— Zawsze nie tyle, co ty!

— A cóż ty umiesz? — ruszyła pogardliwie ramionami.

Pokłócili się w dalszym ciągu. Rodzeństwo nie godziło się nigdy, bracia lekceważyli siostrę, ona broniła się docinkami, na sprzeczkach, żartach złośliwych i pretensjach kończyły się rozmowy, zresztą rzadkie. Każde żyło i myślało osobno. Godziło się tylko, gdy zaczęli napadać na rodziców i krytykować „starych”. Wtedy byli idealnie jednomyślni.

Nareszcie pewnego dnia przyszła depesza od radcy Sulickiego z prośbą o konie na pociąg i raptem ożywił się cały dom. Nawet Manusia się ożywiła nadzieją jakiegokolwiek rozrywki.

A radca Sulicki spotkał przed wyjazdem pana Bolesława w cukierni i zapytał:

— Może byś i ty pojechał do Zarembów?

— A to po co?

— Ano, byłoby nas trzech do winta.

— To ty nie masz tu lepszej partii?

— No, widzisz, chciałbym trochę wsi użyć zarazem.

— Aha, używaj, używaj, pókiś młody. Zieleninkę lubisz, winszuję. Co mamy udawać?

Na serio chcesz się żenić z Manusią?

— Hm, dlaczego nie? — zaśmiał się radca. — Bardzo apetyczna dziewczyna. Jak myślisz? Dostanę?

— Dlaczego nie?... Nie rozumiem tylko, że ci się chce tego kłopotu.

— Mój drogi, mniejszy z tym kłopot jak z innymi. A będzie czym się pochwalić. Zresztą lata bieżą, człowiek by chciał wygody w domu.

— Ryzykowny byłeś zawsze, ale że do tego stopnia, to nie myślał.

— Cóż znowu? To żadne ryzyko. Dziewczyna śliczna, z zasadami, dobrze wychowana, młoda...

— To, to, to! Żeń się, Michałku, żeń! Stworzonyś na męża.

— No, to jedź na swata! Wstąpimy do Fukiera po drodze.

— Niestety! Poróżniłem się z Zarembą i z przeprosinami na niego czekam. Ale jedź, jedź! Będą ci radzi.

— Na pewno?

— Niezawodnie. Jak Manusia jest dla ciebie w sam raz na żonę, tak ty jej w sam raz na męża. Będziecie szczęśliwi.

Sulicki popatrzył na przyjaciela uważnie, tak przywykł, że drwi chętnie, ale twarz pana Bolesława była poważna, a że radca chciał wierzyć, więc wierzył.

Pojechał tedy wyświeżony, elegancki, z uczernioną czupryną i wąsem nastroszonym zuchwale, i wyglądał na to, co chciał — na czterdziestkę.

Miał w sobie zapas niewyczerpany nowinek i anegdot, manieri salonowe, wprawę do komplementów, dobry humor, rutynę starego lwa salonowego, a z przypadku czy wyrachowania trafił na najstosowniejszy moment.

Po tygodniu pobytu miłego gościa Zarembina pewnego wieczora, majestatyczna w tuzi i wyrazie oblicza, przysłała do sypialni córki.

Zastała ją w negliżu, zakręcającą papiloty przed lustrem i obserwującą zarazem swój obnażony biust.

— Moja Maniusiu, mam ci rzecz wielkiej wagi do zakomunikowania — zaczęła, sadowić się na kanapie wśród rozrzuconych bezładnie części toalety.

— Wie mama, zrobił mi się pryszcz na brodzie — odparła Manusia. — Nie będę pić kawy.

— To ostrość krwi, to przejdzie, gdy zmienisz tryb życia.

— Ciekawość, jak ja mogę inaczej żyć? Mama mi to wiecznie powtarza — mruknęła grymaśnie.

Siostra, Brat

²⁷⁷fasa — beczka do przechowywania produktów. [przypis edytorski]

— Gdy wyjdiesz za mąż.
 Dziewczyna rzuciła niechętnie ramionami.
 — Naprawdę, w tej dziczynie tutaj?
 — A właśnie. Wszędzie łaska boska czuwa i szczęście przyjść może. Radca Sulicki oświadczył się dzisiaj ojcu.
 — O mnie? — Maniusia odwróciła się do matki. — Ależ ja go nie chcę, mammo! Taki stary!
 — Moja droga, mężczyzna nigdy nie jest stary. A im starszy w latach, tym lepiej dla kobiety. Mieliśmy próbę na Morzyńskim, co wart młodzik.
 — Ja też tamtego wcale nie żałuję, ale przypuszczam, że nie wszyscy młodzi tacy. Ach, mammo, nie, nie, nie Sulicki. Ja się go boję, nie chcę, brr!
 Wzdrygnęła się i zamyśliła. Błyskawicą myśli stanęło jej w oczach normandzkie morze, słońce, kędzierzawa czupryna, purpurowe wargi, białe zęby i promienne oczy i ogarnął ją jakiś dreszcz, jakiś żar, co aż różowo zabarwił ramiona i policzki.
 — Nie, mammo, nie chcę tego dziada, istny Sinobrody²⁷⁸! — powtórzyła ze wstrętem.
 Zarembina, która z pewnością słyszała o Metternichu²⁷⁹, ale z pewnością nie wiedziała, kto to był, okazała się jednak godną jego naśladowczynią i dyplomatką z intuicji. Nie nalegała, westchnęła tylko.
 — Nikt cię nie będzie zmuszać, moje dziecko. Chcemy tylko twego szczęścia — rzekła smętnie. — Tylko zmuszona jestem cię wtajemniczyć, że ojciec jest w ciężkich interesach. Jesteśmy skazani na życie ograniczone, na wegetowanie tutaj.
 — Jak to? Mama mówiła, że jesienią, za miesiąc najdalej, wyjedziemy do Warszawy.
 — Miałam nadzieję, łudziłam się. Niedawno ojciec mi dopiero całą prawdę wyjawiał. Taiłam, nie chciałam cię martwić przed czasem.
 — Ładnie ojciec rządził! — mruknęła Maniusia. — I za to ja mam pokutować?... Jak to, tu zimować? Toć lepiej umrzeć!
 Ogarnęła ją taka rozpacz i złość, że zaczęła płakać.
 — Dlatego też oświadczyłam Sulickiego uważałam za łaskę Opatrzności dla ciebie, dla nas wszystkich. To człowiek milionowy, przy tym szlachetny, zacny, w samej sile wieku, ze wszech miar pożądanym jako mąż, jako przyjaciel, opiekun. Kocha ciebie, byłabyś szczęśliwa z nim, w dostatkach, nic by ci nie odmawiał. Ano, trudno, za grzech bym miała wpływać na twoją wolę w tym względzie. Trzeba znieść ciężki los w pokorze.
 Maniusia wybuchnęła.
 — Może mama się zgadzać, ale mnie co do interesów ojca! Cóż ja tu robić będę? Gęsi paść? To niemożliwe, ojciec musi nas puścić do Warszawy!
 — I tam co? Mieszkać w dwóch pokojach w oficynie? Nie mamy na inne utrzymanie. Nie, to niemożliwe. Co by znajomi powiedzieli! Musimy tu zostać.
 — Za nic! — krzyknęła Maniusia. — Ja ucieknę! Ja nie wytrzymam! Ja chcę żyć!
 — Los twój w twoich rękach, do jutra! — rzekła Zarembina, wstając.
 Zbliżyła się do córki i przycisnęła ją do piersi.
 — Moje biedne dziecko! Żebyś wiedziała, jak ja cierpię! — wyrzekła ze łzami w głosie.
 — Byłam pewna, że wyjdę stąd szczęśliwa, wychodzę złamana.
 Maniusia wybuchnęła spazmatycznym płaczem.
 — Czego mama chce ode mnie?... Boże, jaka ja nieszczęśliwa!...
 — Nie grzesz, Maniusiu, nie grzesz! Żebyś potem gorzko nie żałowała swego uporu!
 — Ja się upieram, ja?... To wy się pastwicie nade mną! Nie kocham Sulickiego, nie wiem, co się ze mną dzieje, i mama chce, żebym czuła się szczęśliwa!
 — Ależ nie, dziecko, ja nie żądam, żebyś się tak zaraz zdecydowała. Naturalnie, musisz się namyśleć, rozważyć, oswoić się z tą myślą. Gdy on się dziś oświadczył, ojciec powiedział, że z tobą pomówimy. On nie nalegał, powiedział, że będzie się starał ciebie zjednać, że gotów jest czekać, ile zechcesz. Nie lękaj się, nikt cię nie zmusza ani nagli. Rozważysz, spytasz swego serca, rozmówicie się sami ze sobą. Dobranoc, skarbie, nie denerwuj się,

Rozpacz

²⁷⁸Sinobrody — mężczyzna, który zamordował sześć swoich żon, postać z popularnej opowieści autorstwa francuskiego pisarza Charles'a Perraulta (1628–1703). [przypis redakcyjny]

²⁷⁹Metternich, Klemens Lothar (1773–1859) — austriacki polityk, który odniósł znaczący sukces podczas Kongresu Wiedeńskiego w 1815 roku. [przypis redakcyjny]

nie płacz. Będiesz mieć oczka czerwone i główka rozboli. Ja wiem, że ty jesteś dobre, pocziwe dziecko, zrozumiesz, że i nasz los od ciebie zależy.

Gdy Maniusia została sama, szlochała jeszcze trochę, potem skuliła się na kanapie i oddała się rozmyśleniom. Nad wszystkim górował strach zimy spędzonej tak samotnie z rodzicami tutaj i groza ograniczenia dobrobytu. Już bracia mówili, że „stary bokami robi”, teraz zwierzenia matki upewniły ją, że interesy się chwieją.

Maniusia nie była idealistką ani naiwną, wiedziała, że gdy się rozejdzie po świecie, że ona nie ma posagu, o konkurentów będzie trudno, a wtedy co robić? Jaki wstyd, jaka hańba starzeć się w panieństwie i ubóstwie! A przy tym ta otyłość — także miła sukcesja po matce!

— Co robić? Co robić? Ach, żeby tamten!

I znowu ją żar objął — zatopiła się we wspomnieniach.

I tak bezradną, znękaną, spłakaną zmorzył sen, że ledwie doszła do łóżka i zapomniała o wszystkim.

Nazajutrz wstała późno i przede wszystkim obejrzała się, jak wygląda i czy przyszyk zbłądził. Potem przymierzyła trzy bluzki, zanim zdecydowała, w której najbardziej do twarzy, i wreszcie ufryzowana, upudrowana zeszła na śniadanie.

Innymi oczyma patrzyła na radcę, porównywała go z ojcem i braćmi. Wydał jej się dziś bez porównania młodszy i zupełnie szykowny.

Rozmowa przy stole toczyła się o kwestiach finansowych. Opowiadał swobodnie, z humorem o swych dochodach i kłopotach z kapitałami, dla których tak trudno znaleźć lokatę bezpieczną.

— Próbowałem majątków ziemskich. A jakże, byłem czas jakiś dziedzicem. Lichy interes, miałem trzy procent, ale po wycofaniu pieniędzy zarobiłem zupełnie znacznie drugie tyle.

Tu się zwrócił do Maniusi.

— A pani co woli: wieś czy miasto?

— Rozumie się, że miasto. Jak można żyć na wsi? — odparła żywo.

— Co prawda i ja tego nie rozumiem.

— Wiele czyni, kto musi — westchnęła Zarembina. — Ja tu spędziłam kilkanaście lat, a czułam, że żyję tylko przez te ostatnie, spędzone w Warszawie. Trudno będzie nawyknąć znowu.

— Jak to, panie tu myślą zimować?

— Tak — z rezygnacją szepnęła Zarembina.

Maniusia poczuła dreszcz zgrozy, potem rozpacz. Łzy napełniły oczy, wstała prędko i wyszła.

Ukryła się w najdalszy kąt ogrodu, żeby się do woli wypłakać, i tam ją znalazł radca.

— Co się stało? Pani płacze? Dlaczego? Pani nie powinna znać, co łyzy, będąc tak piękną, tak do szczęścia stworzoną. Ja tu jestem, gotów dla pani dać życie, i pani płacze!

Ujął ją za ręce, patrzył przejmująco w oczy.

Maniusia, wzruszona, zdenerwowana, nie starała się nad żalością zapanować, roztkliwiła ją czułość. Musiała się skarżyć, żalić nad sobą, więc mu wyznała pustkę życia, strach przed samotnością, wsią, tęsknotę za minioną swobodą i towarzystwem, i tak się rozgadała, tak ją pocieszał, tak jej potakiwał, tak jej współczuł, że gdy wreszcie poprosił, jak o łaskę, żeby z jego ręki przyjęła życie, jakie tylko zechce mieć, gdy jej się ofiarował na sługę i niewolnika, wydał się jej zbawcą i przyjacielem i ani się obejrzała, jak się zgodziła i jak się znaleźli w domu, gdzie rodzice, rozczuleni, wzruszeni a szczęśliwi, dali im swe błogosławieństwo. Potem pito ich zdrowie, wszyscy się śmiali i żartowali, wszyscy byli rozpromienieni, wreszcie ta radość ogarnęła i Maniusię, coraz bardziej podobał się jej narzeczony i przyszłość.

Radca naglił o ślub, rodzice dla formy protestowali, ale wreszcie oznaczono termin za miesiąc. Ślub miał być cichy, w domu, i państwo młodzi mieli zaraz wyjechać na kilka tygodni za granicę.

Przez ten miesiąc Maniusia zasypana była cukrami i klejnotami, pieszczona przez rodziców i braci, oszołomiona i szczęśliwa.

Całe przejście z Morzyńskim wyglądało jak zła z mora i przechodziło w zapomnienie. Nikt go nie wspominał.

Tylko w wigilię ślubu Zaremba ojciec i syn otrzymali wezwanie do sądu jako świadkowie.

Schowali dyskretnie papier urzędowy i utajono przed kobietami i Sulickim.

— Potrzebniemy w to wleźli — mruknął Józio.

— Kto się spodziewał, że rzeczy taki wezmą obrót? — rzekł Zaremba. — Ostatecznie dobrze się stało.

— Bo się ojciec wiecznie gorączkuje! Świeć teraz oczami i dostań się na zęby Stucha.

— Niestraszne! Tego lotra żadna wymowa nie usprawiedliwi.

— Aleśmy w tych rynsztokowych sprawach wcale nie na swoim miejscu.

Zaremba machnął ręką. Nie dbał teraz o opinię, gdy mu Sulicki pożyczył czterdzieści tysięcy na pięć procent i zabierał Maniusię.

Zarembina tej nocy obudziła się ze strachem. Śniło się jej, że jakaś dziewczyna w łachmanach i czerwonej chustce na głowie dusiła Maniusię.

Sen był tak ciężki i żywy, że przerażona pobiegła do córki, ale zastała ją spokojnie śpiącą, więc odmówiwszy kilka modlitw, wróciła do spoczynku.

Nazajutrz Manusia przybrała się w ślubną suknię, przygotowaną dla Morzyńskiego, matka objaśniła ją o obowiązkach żony, spłakała się i pobłogosławiła, i o jedenastej rano ksiądz związał jej rękę z ręką Sulickiego, mówiąc sakramentalne: „Ślubuję wiarę, miłość i posłuszeństwo, a iż cię nie opuszczę aż do śmierci...”

Manusia powtarzała słowo po słowie.

Na prowizorycznym ołtarzu w salonie paliły się świece i błyszczał obraz święty. Przysięga zapadła nieubłagana: „Aż do śmierci”.

Było to w cztery miesiące po zabiciu Morzyńskiego.

X

Pomimo że sprawa Gedrasa naznaczona została na koniec listopada i dzień był dżdżysty i zimny, sala sądowa była pełna tak zwanej eleganckiej publiczności. Przypomniano sobie Ludka, a że w jego sferze jest tylu próżnujących paniczów i żądnych wrażeń, beczynnych kobiet, wszyscy poszli, ciekawi widoku zbrodniarza, spodziewanych skandalicznych szczegółów sprawy i obrony Stucha.

Gdy tłum nappełnił salę, wszystkie lornetki skierowały się przede wszystkim na przestępcę. Gedras ze swej strony patrzył też na tłum. Zapadłe jego oczy w tym mrowiu twarzy szukały długo Mańki. Dojrzałby ją, rozpoznał, wyszukał w najdalszych rzędach. Ale Mańki nie było.

Spuścił głowę, znieruchomiał, był jak szara plama, jak szary cień w tej sali, w której był przecie najważniejszą osobą.

W więzieniu zestarzał się, zesechł i szerniał. Twarz jego była jakby śniedzią²⁸⁰ pokryta o zatartych rysach i tępym wyrazie; malował się na niej spokój i apatia. Publiczność była zawiedziona, inaczej sobie przedstawiano mordercę.

Z kolei ciekawość przeniosła się na Stucha.

Siedział też odosobniony i wydał się publice pospolity, brzydki i niezgrabny — drugi zawód. Nie tak sobie przedstawiano głośnego adwokata.

Rozpoczęło się czytanie sprawozdania śledczego. Publiczność słuchała zrazu uważnie, potem znużyło to większość tych, co chcieli wrażeń dużo, prędko i gwałtownie. Zaczęto dyskretnie szeptać, dzielić się wiadomościami zakulisowymi.

— A gdzież ta narzeczona Morzyńskiego?

— Nie wiecie? Za mąż wyszła za milionowego dziada.

— Nie może być? To okropne!

— Cóż miała robić? Topić się, jak ta dziewczyna?

— Jaka dziewczyna?

— Ano, córka czy wychowanka tego, jakże on?

²⁸⁰śniedź — tu: matowy, zielonkawy nalot; wynik procesu chemicznego polegającego na utlenianiu się metali, zwłaszcza miedzi i jej stopów, prowadzącego do powstawania ciemnych plam lub nalotów na ich powierzchni. [przypis edytorski]

— Gedras. To jakiś Żmudzin. Skąd on zawędrował do Warszawy? I tu był posłańcem. Ładne indywidua tam się znajdują. I pomyśleć, że każdego z nas taki furiat może zabić!

— Cóż chcecie, teraz ich świat!

— Nie rozumiem, dlaczego Morzyński się nie bronił. Toć ten nie ma jednej ręki. Ja bym go zdusił jak psa. Dać się zabić kamieniem przez chama! Patrzcie, tam na stole leży ten kamień. Widzicie?

— Jakie to straszne jednakże. Ten kamień, prosty kamień z bruku, ciemny, to pewnie krew.

— Pewnie, że straszne takie rozpasanie motłochu. Do czego to dojdzie!

— Będziecie musieli żenić się z córkami posłańców.

— I taki Stuch broni!

— Bo pewnie obydwaj z jednego rynsztoka. Stuch przecie znany anarchista i bezwyznaniowiec.

— Powiadają, że kochał się w Zarembiance. Stary go kijem wypędził z domu. Wychowali go podobno. No i za to się mści. Jakoby to on sam podmówił tego Gedrasa, żeby zażądał od Morzyńskiego ślubu z tą dziewczyną.

— Ale kiedy to się skończy? Mnie się jeść już chce.

— Oho, dziś nie będzie wyroku. Patrzcie, ilu jest świadków.

— A który to Zaremba?

— Tam w pierwszym rzędzie siedzą ojciec i syn.

— Syn, to ten niby muzyk. Ładny chłopiec.

— A coż oni będą gadać?

— A dlaczegoż nie wezwano narzeczonej? To by był efekt! Podobno bardzo ładna.

Tak szepetano po dalszych ławkach, gdzie nie dochodził głos czytającego. Bliżsi słuchali i musieli milczeć. Za to widzieli dokładnie cały sąd, świadków i prokuratora, całą pompę sprawiedliwości.

Członek sądu skończył czytać, nastąpiło przesłuchanie świadków.

Gedras, siedzący nieruchomo, oczy podniósł, przeszedł nimi po sali, potem zatrzymał wzrok na księdzu, mającym przyjmować przysięgę, i na jednym ze świadków.

Był to człowiek gruby i czerwony, ubrany pretensjonalnie „na pana”, z widoczną chęcią udawania młodego, chociaż miał pewnie około pięćdziesięciu lat. Oprócz tego było jeszcze wielu świadków: stróż, lokaje, jakieś kobiety. Nie przypominał sobie, by ich znał. Rozróżnił tylko starego Zarembę i popatrzał nań dłużej.

Wywoływano świadków po kolei, wtedy posłyszał nazwiska: Stanisław Dzierganek, Hilary Arcimowski, Justyna Jankowska, Szymon Burda, Jan Zaremba... z daleka, z bardzo daleka, z całego jego życia, z bardzo dawnych lat, były to imiona i pamiątki.

Poruszył się, aż łańcuch brzęknął. Skuty był, pod strażą obnażonych szabel. Zanim go skazał, wprawdzie całe życie, co umarło i co minęło, i co przeboleło, na nowo trzeba będzie przeżyć i przecierpieć.

Skurczył się w sobie i zaczął dyszeć.

Wszyscy oni wolni, godni wiary i szacunku, ot, przysięgają; co powiedzą, święte będzie, i Hilek złodziej, i Stefka rajfurka²⁸¹, i Szymek kelner, którego zaloty Mańka odrzuciła i poprzysiągł się mścić, i stara Jankowska, chrzestna Mańki, i pan Zaremba, któremu Gedras, jak pies wierny, służył tyle lat.

Nikomu z nich krzywdy nie uczynił — a ot, wszyscy przyszlizli — na niego. Za co i po co? Toć on do wszystkiego się przyznał.

Świadkowie wychodzili po przysiędze; przerwano sprawę na kilkunastominutową pauzę.

Publiczność po zasięgnięciu informacji u prawników, przybyłych jako słuchacze, że wyrok zapewne zapadnie dopiero jutro, a do wieczora trwać będzie badanie świadków, poczęła się przerzedzać.

Widowisko było za długie, a dramat nie zapowiadał się efektownie. Jedni się znudzili, inni byli głodni, innym było za gorąco w sali i opróżniły się w połowie ławki. Żegnano się w przedsionku, mówiąc: „Do widzenia jutro, na mowę Stucha”.

Było w tym wiele przyjemności, że „anarchista” przegra, bo przegrać musi.

Obraz świata, Pozycja społeczna

²⁸¹ *rajfurka* — stręczycielka; pośredniczka w prostytucji. [przypis edytorski]

Stuch i sam był tego pewny, i mówił podczas pauzy do kolegi:

— Będę głosem wołającego na puszczy. A choćbym i wygrał, nie zmieniliby to położenia tego człowieka. To życie skończone, odbyte.

Rozpoczęło się badanie świadków. Stróż, lokaj, młody Zaremba opowiedzieli, jak znaleźli zabitego, kelner z Hotelu Europejskiego, co z nim mówił Gedras owego rana. Przesuwali się jeden po drugim, mówili rzeczy wiadome ze śledztwa. Słuchający ich Gedras myślał, po co to wszystko, kiedy on sam do winy się przyznał.

Pierwszy stary Zaremba zeznał, że Mańka nie była córką Gedrasa, potwierdziła to stara Jankowska, opowiadając historię znajdy, i Hilary Arcimowski.

Sprawa przeszła na temat sfalszowania dokumentu. Stuch przemówił raz pierwszy do Hilka.

— W owych czasach, to dawno, lat temu osiemnaście, służyliście razem z podsądnym²⁸² u pana Zaremby. Czy przypominacie sobie okoliczności, dla których opuściliście zajęcie?

— Nie, nie pamiętam. Zapewne trafiło mi się coś lepszego w Warszawie.

— To jednak szczególnie, że tak dobrze pamiętacie wypadek ze znajdą, a własnych dziejów zapomnieliście. Zapewne i nadal utrzymywaliście stosunki z Gedrasem, jeśli wiecie na pewno, że dziecko to i jego córka Maria są jedną i tą samą osobą?

— To wiem na pewno. Gedrasa nie spotykałem, ale dziewczyna bywała u mnie. Mam mydlarnię na Hożej. Dziewczynę znam od trzech lat.

— I domyśliwszy się, kto ona, nie chcieliście odwiedzić dawnego kolegi?

— On mi nie był kolegą. Jestem ślusarz z profesji, a on był u pana Zaremby nocnym stróżem.

— Więc zmieniliście fach. A oprócz mydlarni teraz nie prowadzicie żadnego interesu?

Hilek łysnął złowrogo oczyma.

— Ja tu nie jestem na śledztwie — warknął. — Świadcę, co wiem, że Gedras nie miał żony ani córki.

Stuch zwrócił się do sądu.

— Świadek ten został wydany z fabryki za kradzież, którą odkrył i dowiódł mu właśnie stróż Gedras. Obecnie zajmuje się paserstwem i dostawą dziewcząt do domu rozpusty, na co mam dowody. Upraszam tedy o wykreślenie go z liczby świadków. Jeśli pan Zaremba tak dobrze pamięta swego stróża i zna jego charakter, zapewne też będzie pamiętał Arcimowskiego, ślusarza, i może potwierdzić prawdziwość mego pierwszego zarzutu względem niego. Dowód następnego znajdzie sąd w tym oto zeznaniu dziewczyny, Olgi Brożek, zmarłej u Św. Łazarza w zeszłym tygodniu.

Nastąpiła wymiana zdań, dysputa, czytanie dokumentu, pytanie Zaremby. Ostatecznie świadectwo Hilka zostało usunięte.

Z kolei wezwano Stefkę.

Zeznała, że Mańka bywała u Morzyńskiego od roku, że była w nim rozkochana, że wiedziała, kto on jest, że przyjmowała od niego prezenty i że na dwa tygodnie przed zabójstwem odgrażała się, że go zabije.

— Czy świadek może przytoczyć wyraźnie, jakie prezenty dawał pan Morzyński? — spytał Stuch.

— Dawał, co tylko chciała. Miała od niego pierścionek. Nawet żem się z niej śmiała, że taki przyjęła. A ona mówi: „Chciał mi kupić z turkusem, ale sama ten wybrała, bo to jakby obrączka”.

— A inne prezenty?

— Pewnie, że i więcej miała, ale się nie przyznawała, widziałam też książkę z wierszami, czerwono oprawną.

Stuch więcej nie pytał.

Świadek, Stefan Burda, kelner, zeznał, że miał zamiar żenić się z Gedrasówną, ale przekonawszy się, że jest kochanką Morzyńskiego, zerwał z nią. Przypuszcza, że Gedras wiedział o romansie córki, bo kiedyś mu rzekł: „Wý za moją dziewczuchą nie łażcie, bo ona nie dla was”.

— Nie możecie określić, kiedy, w jakim czasie to powiedział? — spytał Stuch.

²⁸² podsądnym — osoba oskarżona przed sądem o popełnienie przestępstwa. [przypis edytorski]

— Zeszłego roku. Wtedy mnie to tknęło i zacząłem śledzić dziewczynę, a kiedy się przekonałem, jaka jest, to z tej kompanii zupełnie się wycofałem.

Na tym się skończył poczet świadków i był już wieczór; odłożono sprawę do dnia następnego. Wyprowadzono Gedrasa i odwieziono do więzienia.

Przed gmachem chwilę było rojno i brzmiał szmer rozmów, potem zapanował zwykły ruch uliczny.

Stuch wrócił do domu zamyślony i chmurny. Pomimo późnej pory w gabinecie było sporo interesantów, więc posiliwszy się pospiesznie, poszedł do roboty, potem jeszcze długo w noc pisał.

Nareszcie siostra weszła do gabinetu, podała mu herbatę i usiadła opodal.

— Chciałabym jutro być na twojej mowie — rzekła.

— To przyjdź o drugiej po południu — odparł — chociaż jeśli się nie wzmocnię do jutra, słabo będę wojował. Opadła mnie beżmierna apatia beżsilności. Zdaje mi się, że głos mój tyle będzie miał mocy, co protest robaka pod stopą. Słowa, słowa, nic więcej, nie mam żadnej mocy. Ci, co mnie będą słuchali i sądzili tego nieszczęśliwca, to wszyscy prawie tacy sami Morzyńscy, tak zwani porządni ludzie. Żaden się nie zmieni, wszyscy się na mnie oburzą. Nie, ja stanowczo przestanę pracować! To nie dla mnie fach, ja zanadto cierpię w poczuciu, że nic nie uczynię.

— Jakże się zachował Zaremba?

— Z zapalem i przejęciem dowodził, że dziewczyna nie jest córką Gedrasa. Sfałszowanie dokumentu, to bodaj w prawie gorsze niż mord. Zresztą dla Gedrasa wszystko jedno. On życie skończył. Wyrok najostrzejszy czy najłagodniejszy, kilka lat katorgi czy kilkanaście, to dla niego już obojętne. Charakterystyczna jest nienawiść tych wszystkich sytych, wolnych, niby porządných ludzi do tego już pobitego! Z jakim triumfem patrzył nań dawny znajomy, opryszek, jak rad był się pomścić za zdemaskowanie i odkrycie złodziejstwa przed osiemnastu laty. Sam się zgłosił jako świadek. Jak z przyjemnością obwiniała towarzyszkę dzieciństwa ta utrzymanka, Stefka, rada, że ją może oplwać, że upadła jak ona. Jak pogardliwie się wyrażał, z jakim obrzydzeniem odrzucony konkurent!

— A Gedras? Milczał?

— Milczał. Parę razy słyszałem, że dyszał ciężko. Ot, życie!

Stuch się wzdygnął, rękoma podparł głowę i zamilkł na długą chwilę.

— I pomyśleć, że dopóki będzie trwała ludzkość, nie zmieni się to straszne przeznaczenie, że siłę ma tylko złe — zamruczał wreszcie ponuro.

— O, Antku, to musi się zmienić — zawołała.

Nie odparł nic, tylko się gorzko uśmiechał.

„Siłę ma złe”. Na tym samym oparł nazajutrz swe oskarżenie prokurator. Mowa była wspaniała. Odkrywała otchłanie dzikości i zezwierzęcenia niższych klas, brak wiary i zasad, nieposzanowanie praw, mściwość i brudny interes.

Przestępca tolerował prowadzenie rozwiąże dziewczyny, pozwalał jej na stosunek z bogatym młodzieńcem, rachując na zysk. Zawiedziony w rachubach, po otrzymaniu małej sumy morduje z wyrafinowaną premedytacją i barbarzyństwem dzikim człowieka bezbronnego, który ostatecznie w niczym mu nie zawinił, gdyż nie będąc ojcem dziewczyny, nie miał do niej żadnych praw.

Całe życie tego człowieka zresztą jest jednym szeregiem tajemniczości i ponurej zgromy. Nie ma rodziny ani przyjaciół, zostawia wszędzie po sobie wspomnienie niechętne. Przyszłość jego pełna zagadek posępnych i niezbadanych; traci żonę w tragiczny sposób i uchodzi z owego miejsca, jakby się lękał dłużej tam pozostać. Traci rękę w fabryce, i znowu opuszcza te strony, nie starając się nawet o odszkodowanie za kalectwo, służy u pana Zaremby lat kilka i tamten człowiek ponury, skryty, twardy, przygarnia dziecko, jakoby nieznaną mu kobiety, spełnia rzekomo czyn miłosierny. Ale odrzuca zuchwale opiekę chlebodawcy nad sierotą i uchodzi z nią znowu w świat, pozostawiając u zwierzchnika i znajomych wrażenie ulgi, że go już nie ma.

Instynktownie wszyscy, z którymi się styka, nie lubią go, unikają, boją się. Przeczucie to nie zawodzi — to zbrodniarz. Popelnia fałszerstwo dokumentu — uchodzi mu to bezkarnie do czasu. Aż wreszcie demaskuje całą swoją upadłą naturę. Morduje człowieka i czując, że tym razem czyn zbrodniczy ukryć się nie da, przyznaje się do winy, mając nadzieję uzyskania w wyroku okoliczności łagodzących. Ten człowiek, który wszystko

wyrachował, to zbrodniarz wytrawny, dla którego nie ma dość srogiej kary, to potwór, który na zawsze usunięty być powinien spośród zdrowego, normalnego społeczeństwa. To objaw siły zła i zaniku wszelkiej etyki w tych zwyrodniałych warstwach proletariatu.

Długo, potężnie, wstrząsająco mówił prokurator. Wśród publiczności czuć było gwałtowne wrażenie oburzenia i zgrozy. Ci wszyscy syci, dostatni, zda się, widzieli w tym jednym uosobieniu strasznych instynktów masy głodnej i biednej, gotowej rżnąć, pastwić się, burzyć cały świata porządek.

Strach był w duszach i zadowolenie, że przecie ten potwór kary nie uniknie.

Przewodniczący zwrócił się do niego.

— Nie macie nic do powiedzenia na swe usprawiedliwienie?

Gedras był zielonawo blady, podczas całej mowy prokuratora oczu z niego nie odwrócił, był jakby zakłęty, wzrok miał osłupiały, usta wpółotwarte.

Gdy przemówiono do niego, nie słyszał, nie rozumiał. Trącił go strażnik; on zatrząsł się i obejrzał jak zbudzony. Powtórzono pytanie.

Wtedy począł ręką wodzić po twarzy i nagle zachrapał jakoś dziwnie, zakaszłał, pochylił się, czołem oparł o barierę.

— Co mu jest?

Schylone, jakby zwinięte ciało drgało i prężyło się.

Ludzie go otoczyli, wyprostowali przemocą.

— Co mu jest? — przebiegło pytanie.

— Nic — ktoś odparł — to tak płacze.

Zapanowała chwilowa cisza. W niej słyszać było słaby odgłos, jakby świst czy zgrzyt zardzewiałego trybu i pasowanie się innej siły, która ten zgrzyt chciała powstrzymać. Publiczność już nie czuła zadowolenia i strachu, ale jakiś niepokój i przykrość.

— Płacze? Dlaczego płacze?

A przewodniczący przemówił łagodnie:

— Żałujesz swego postępu? Czujesz całą wielkość swej winy?

Gedras nagle wstał. Chwilę bez dźwięku poruszał ustami, wreszcie rzekł z trudem:

— Czy to wszystko prawda? Tak ja żył? Taki ja? Karzcie mnie. Och, Boże, niechby już koniec był! Zabiłem, ot, kamień leży. Żebyż jedno jeszcze na pewno było, że i Mańki już nie ma, że i ona skończyła mękę!

— Co on mówi? Co on mówi? — przeszedł szmer wśród publiczności i ruch się uczynił w ławkach.

Wtem Stuch powstał i zasłonił sobą podsądnego. Wszystkie oczy i lornetki skierowały się na niego, na jego głowę szpetną a genialną, na jego twarz nieregularną, ostrą, kanciastą, jedną z tych twarzy, którą każdy nazwie brzydką, ale każdy po jednym widzeniu już pozna i zapamięta.

Wstał i zaczął mówić spokojnie, głosem, zda się, cichym, ale który dochodził do najdalszych kątów sali:

— Przestępca prosi o karę. Nie przeczy ani się broni. Dziwnym zatem by było, żebym ja go bronił, dziwnym i bezcelowym. Na zbrodnie jego prawo ma nieubłagany paragraf. Chylę przed nim czołem: *pereat mundus, fiat justitia*²⁸³. I nad głową tego człowieka wypisano: *pereat*²⁸⁴ — Nie dziś, o, już bardzo dawno, od chwili gdy zaczął żyć, czuć i myśleć. Pan prokurator słusznie nazwał go wyrodkiem; takich, jak on, niewiele się znajdzie. I jam życie jego zbadał i znam wszystkie jego etapy. Dzieckiem niedostatek wygnał go z domu w świat za chlebem. Była tam jakaś ojcowizna, dom, kęs ziemi. On się o swą część nie upominał, zostawił słabszym, miał przecie dwoje zdrowych rąk wtedy.

Nikt go nie kształcił, kierował, dozorował, nie był w żadnej szkole, nie miał nawet możliwości wyuczenia się fachowo rzemiosła. Jednak nie został ani złodziejem, ani awanturnikiem, nie był nigdzie karany ani źle notowany. Ma dobre świadectwo od majstra, czystą żołnierską swą książkę, pochlebne świadectwo z kolei, z fabryki, od pana Zaremby, który świadczy teraz przeciw niemu.

²⁸³*pereat mundus, fiat justitia* (łac.) — choćby miał zginąć świat, niech się stanie sprawiedliwość. [przypis redakcyjny]

²⁸⁴*pereat!* (łac.) — niech zginie. [przypis edytorski]

Cały szmat życia przebył jako rzetelny, obowiązkowy pracownik, szanując prawo, nie szemrać²⁸⁵ na pracę, w sobie zamknięty, skupiony, cichy.

I wiarę miał prostą, ślepą, w cnotę i występki, w grzech i wstyd, i hańbę, w to wszystko, w co ludzie wierzą, co szanują, co potępiają. Na wszystko są w obyczaju i wierze, i prawie nieubłagane: „*pereat!*” Raz, dawno, przed laty, gdy zdobył chleb i byt, zapragnął założyć gniazdo i rodzinę. A że, jak słusznie go nazwał pan prokurator, wyrodkiem był, nie szukał w kobiecie posagu lub dobrej partii, lecz poślubił dziewczynę ubogą, młodą i zdrową, którą pokochał. Bywają tacy szaleńcy nawet w tych zdeprawowanych niższych warstwach, którzy czynią w myśl naturalnego doboru, bez przymieszki jakiegokolwiek rachunku. Gedras się ożenił i był szczęśliwy. Kobieta kochała go, pomagała i pracowała, miał dobrą posadę, uznanie u zwierzchników, byt zapewniony. Ale nad kobietą stało wypisane nieubłagane: „*pereat!*” — i upomniało się o szczęście tych dwojga prawo ludzkiego obyczaju, ciskając kłutwę za grzech dwojga na jedno, zawsze słabsze. Bo kłamstwem jest, obłudą i hipokryzją, że cokolwiek ochrania słabszego. Słabszy skazany jest na zgubę.

Tak — ma zawsze słuszność pan prokurator: żona Gedrasa zginęła w tragiczny i tajemniczy sposób. Miała na sobie tak zwaną hańbę uwiedzenia, miała na duszy wstyd i tajemnicę; gdy ludzie odkryli ten jej srom przed mężem — szczęście uleciało bezpowrotnie. Lokomotywa sznelcugu zmiażdżyła kobietę. Tak, to było tragiczne i może to było bolesne dla tego, co pozostał sam w budzie dróżnika o krok od szyn, rdzawych od krwi. Pan prokurator wzmiankuje krytycznie, że on stamtąd odszedł po tym wypadku, ale on przecie wyrodek był, on cierpiał, on nie miał siły tam zostać.

Pan prokurator nazwał żywot jego włóczęgą, ja nazwę go raczej zbiegiem. Ten człowiek uciekł od bardzo złego i ciężkiego losu, od jędzy-troski dusznej²⁸⁶, która go ścigała krok w krok. Od mogiły żony poszła za nim do tej fabryki. Nie była to fabryka milionera, przemysłowca, niewielki zakład mechaniczny w prowincjonalnym mieście, należący, jak widać ze świadectwa, do pani Wajc. Według informacji, na miejscu zasiągniętych, była to wdowa, obarczona dziećmi, w bardzo złych interesach finansowych. Zbankrutowała w parę lat po wypadku Gedrasa i umarła już dawno. On sam opowiedział mi szczegółowy swego kalectwa w bardzo lakoniczny sposób.

„Rękaw bluzy miałem obdarty, zakładałem pas, chwyciło za te strzępy i pogruchotało. Pani Wajc płaciła za mnie w szpitalu, to dość na nią kosztu. Mówili, żebym się sądził, to musi zapłacić. Takie prawo, ale po prawdzie, to lżej mnie było żyć bez ręki samemu, jak jej bez męża, bez zdrowia i bez głowy, z tylu dziećmi, więc poszedłem w świat, nie dokuczając jej”.

„Po prawdzie”, Gedras, jako wyrodek, dzieli prawo od prawdy, dlatego nie mógł się często z ludźmi zgodzić. Został też po tym drugim etapie swego życia kaleką, niezdolnym do pracy. Mógł żebrac, tylu to czyniło zdrowych lub fałszywych kalek, on jednak potrafił pracować, kiedy wysłużył u pana Zaremby siedm lat. Ten etap jego życia już jest wszystkim znany, popełnił tam też swe ciężkie, pierwsze dowiedzione mu przestępstwo: sfalszowanie dokumentu. To zostało dowiedzione. Ale on oprócz tego popełnił tam inny występki — według pojęć ludzkich obyczajów. On podniósł z przydrożnego rowu, nie zdychającego psa, nie parszywe zwierzę, bo to by było głupie, ale on zabrał z ulicy konającą, nieznaną kobietę, włóczęgę, łajdaczkę, ostatnią zapewne rozpustnicę, złodziejkę, śmiecie rynsztokowe zapewne, bo czymże innym może być kobieta, która rodzi na drodze, bez męża, bez matki, bez wstydu!... Kim była zresztą, nikt nie wie, bo dawszy życie dziecku, skołała w tej chacie kaleki stróża, wstręt i obrzydzenie dla wszystkich cnotliwych kobiet, pośmiewisko dla uczciwych mężczyzn.

Matek i ojców jest wiele wśród publiczności i wiedzą oni dobrze, z ciężkiego i bolesnego doświadczenia, jaki to trud i koszt wychować dziecko. Pielęgnowaniu takiej drobiny oddaje się matka i ojciec, służba, piastunki, doktorowie. Zajmuje to dnie i noce, wymaga bezustannej pieczołowitości, uwagi i starań. Pan prokurator wspomniawszy słusznie, że Gedras nie miał praw do tej dziewczyny, bo nie był ojcem. Zapewne, on tylko był wyrodkiem, który cudze, obce dziecko, od chwili gdy żyć zaczęło, karmił, spowijał, mył,

²⁸⁵szemrać — cicho wyrażać niezadowolenie. [przypis edytorski]

²⁸⁶duszny (daw.) — właściwy duszy; dziś: duchowy. [przypis edytorski]

opierał, niańczył, doglądał w chorobie, usypiał, zabawiał. A miał na to jedną rękę i środki, jakie może mieć taki stróż nocny, kaleka.

Nie, on nie miał praw, nie był ojcem, a on to odczuł prędko, gdy dziecko nazwano pogardliwie *znajdą*, oznaczono na wstępie do życia znowu nieubłagany: „*pereat!*” Szczególną, zadziwiającą pamięć mają ludzie do grzechu nieprawego urodzenia. Prawie jeszcze upartszą niż do grzechu nieprawej miłości, a równą dla obu zawziętość, potępienie i nienawiść.

Znajdą była i *znajdą* pozostanie dziecko, inaczej go ludzie nie nazwą. Gedras nad tym rozmyślał w długie godziny, gdy ją chorą, słabą, niedołężną usypiał, gdy ją poił mlekiem, gdy jedną ręką prał jej szmatki i przewijał maleństwo, gdy doglądał ją w ząbkowaniu, w wysypkach, gdy ją uczył pełzać i chodzić, gdy nań wołała: mama i tata, bo i te dzieci to pierwsze bełkocą, niczego nie rozumiejąc, tylko czując, że miłość tak się nazywa — tym jest!

Rozmyślał i zrodziła się w nim myśl przestępna, karygodna, przywłaszczenia sobie czegoś cudzego. Tak, cudze to było, nie jego. Był przecież gdzieś na świecie prawdziwy ojciec, zapewne powinien go być odszukać i zwrócić własność, tak bliską i drogą, krew krwi, kość kości. Byłaż przecież gdzieś na świecie i rodzina prawdziwej matki, było nazwisko, stan, może majątek. Gedras skrycie, podstępnie, bezprawnie dziecko sobie przywłaszczył i za swoje uważał, i doszło do tego, że śmiał mieć za złe ludziom, że je *znajdą* nazywają, i począł knuć w duszy kryminalne zamiary fałszerstwa.

W ogóle, jeśli pan prokurator nazwał go wyrodkiem, ja nazwę nawet szaleńcem, opętany manią wielkości, bo czymże innym być mógł jego zuchwały opór, żeby to dziecko, podrzutek uliczny, nie miało służyć do zabawy panienki w pałacu. A przecie był to dla dziecka los i byt. Bawiłaby panienkę, chowałaby się w garderobie, donaszałaby ładne sukienki, nabierała gustu do stroju i wygod, a potem, kiedyś po latach, może by służyła do zabawy paniczów, a potem...

Ale wtedy w oczach Gedrasa czyniło się krwawo i widział linię szyn rdzawych i nieżywą, zmiażdżoną żonę, którą też panicz jakiś się bawił, i opętany manią wielkości, wyobrażał sobie, że Mańka warta czegoś innego, że ją uchroni od przeszłości i na przyszłość. Szaleniec!

„*Pereat, pereat, pereat!*” — los nad Mańką wypisał już dawno, gdy się urodziła uboga, ładna, wierząca i kochająca.

Ale Gedras nie wiedział i postanowił walczyć.

Za opór fantazji²⁸⁷ panienki, za zuchwalstwo i bunt stracił służbę i znowu został na świecie bez chleba i dachu, nie tylko kaleka, ale z dzieckiem, do którego nie miał żadnego prawa.

Odtąd te kilkanaście lat jego życia może być opowiedziane przez najwiarygodniejszych świadków, jak sutener Arcimowski. Są to lata pracy, statku, oszczędności, powolnego dobijania się do zabezpieczenia jakiegokolwiek starości. Niewielkie to żądania: ciepły kąt i strawa, siły do pracy do ostatka, pocziwy chłopak na męża dla Mańki, może wnuczę małe, które by przypominało izbę stróża i hodowanie Mańki. Gedras o tym marzył, do tego dążył i czuł, że przecie dochodzi kresu.

I oto dowiedział się, że panicz zabawił się i że wszystko, wszystko, całe jego życie, na marne poszło. Wszystko, całe życie było na próżno przemęczone, przebyte. On sam przyniósł do domu list i cenę miłości duszy i ciała dziewczyny, dwadzieścia pięć rubli. Więcej nic nie wzięła, tylko ten pierścionek, który uważała za świętą obrączkę, i za to dała życie.

Reszta wiadoma. Gedras wziął kamień i ohydnie, po zwierzęcemu, zamordował człowieka, który ostatecznie nic mu nie zawinił, jak twierdzi pan prokurator. Zamordował człowieka znanego i porządnego, którego całą winą był młodzieńczy szal i lekkomyślność. Naturalną jest rzeczą, że ofiara mordu wzbudza sympatię, a zabity otoczony bywa aureolą męczeństwa, ale gdy pan prokurator napiętnował z taką potęgą mordercę, dla kontrastu, a zarazem dla całości tej sprawy, ja zbadałem przeszłość ofiary i choć ogólnie znany, młodzieniec ten ma też w swoim życiu charakterystyczne epizody, wyjaśniające niejako tragiczny epilog.

²⁸⁷ *opór fantazji* — dziś raczej: opór wobec fantazji. [przypis edytorski]

Jak świadczy metryka, pan Ludwik Morzyński urodził się w Odessie i miał w chwili śmierci trzydzieści pięć lat. Nie wyglądał na to ani z twarzy i postaci, ani z czynów, które sam pan prokurator nazwał młodzieńczą lekkomyślnością i szaleństwem. Zakonserwowało jego porywy i świeżość to życie ze wszech miar wygodne, swobodne i pomyślne. Był synem jedynym wysokiego dygnitarza bankowego. Pan dyrektor brał grube pieniądze i dywidendy²⁸⁸, szczęśliwie przy tym grał na giełdzie.

Matka była od ojca o wiele młodsza, bardzo piękna, lubiąca żyć i bawić się. Z krwi ojca wziął spryt do spekulacji i giętkość aferzysty, z krwi matki upodobanie życia i zabawy, z obyczajów domu i ludzi, którzy tam bywali, upodobanie zbytku. Skończył cztery klasy gimnazjum w osiemnastym roku życia i odtąd stał się tym, czym był do końca, eleganckim panem, umiejącym bawić się, wydawać pieniądze, zdobywać kobiety, przyjaciół i stosunki, lubionym i kochanym przez wszystkich. Można śmiało rzec, że był to w tych rozlicznych fachach światowca genialny człowiek i ulubieniec losu.

Kronika erotyczno-skandaliczna Odessy zapisała go wielokrotnie na swych kartach i posiadam tu pod ręką parę dokumentów policyjnych zbyt drażliwej natury, abym je mógł publicznie odczytać. Wystarczy, gdy powiem, że pan Morzyński bawił się jak człowiek, który ma dużo pieniędzy, dużo wolnego czasu i pomysłowości do użycia swych sił, młodości i zdrowia, i życia sytego, przesyconego dobrobytem i wygodami.

Trwało to bez zmiany i troski lat dziesięć. Wtedy nastąpiły w Odessie jednocześnie dwa bankructwa i skandale. Stary Morzyński zmarł nagle na apopleksję²⁸⁹. Okazało się, że stracił na giełdzie wszystko swoje i dużo bankowych pieniędzy. Z dnia na dzień żona i syn zostali nędzarami, ale też z dnia na dzień, w godzinę po pogrzebie, syn zniknął. Zniknęła równocześnie piękna Rumunka, żona bankiera, milionowa kobieta. Matka Morzyńskiego pozostała sama w nędzy ostatecznej. Wierzyście zabrali wszystko, nawet dach nad głową, nawet suknie. Syn już nigdy tam nie wrócił ani się o nią zatroszczył. Przyjaciele opuścili, bo była już stara i brzydka, i żyje dotąd. Widziałem ją, na wpół obłąkaną uliczną żebraczkę, lokatorkę nocnych przytułków.

Pan Ludwik Morzyński spędził po śmierci ojca cztery lata za granicą, jako baron Barzescu. Przyjął panięskie nazwisko pięknej bankierowej, bardzo logicznie, gdyż nie był jej mężem ani kochankiem, ale był na jej utrzymaniu. Żył długi czas w Paryżu, potem w Nicei, ostatnio w Neapolu i tam, podczas przejażdżki łódką, piękna pani utonęła. Rybak i Morzyński uratowali się, ona zginęła. Po tym tragicznym i tajemniczym wypadku Morzyński zniknął na czas jakiś i dopiero wynurzył się po roku w Ems, gdzie spędzała sezon pani Gelich, ciętaczna siostra jego ojca. Z Ems wrócili do Warszawy już we dwoje i odtąd życie pana Morzyńskiego było na oczach całego świata.

W chwili śmierci stał u szczytu pomyślności i powodzenia, jedyny krewny i domniemany dziedzic fortuny pani Gelich, narzeczony pięknej, młodej panny z najlepszego towarzystwa, członek wielu klubów, mistrz sportów, ulubieniec salonów.

Miał wszystkie dane długich lat życia i użycia, stałby się może społecznym działaczem i filarem wielu filantropijnych instytucji, założyłby rodzinę, wychowałby młode pokolenie, skończyłby jako szanowny prezes i wybitny członek narodu, gdyby nie zezwierzęciały zbrodniarz, wyrodek, zwyrodniały wyrzutek, który zamordował go okrutnie — i za co? Za jakąś dziewczynę! Jakby dziewczyny tej klasy były czegoś więcej warte, jak uwiedzenia przez zdrowych, sytych, wesołych paniczów!

Pan Morzyński, jak zresztą wszyscy młodzi ludzie, uprawiają przecie ten sport od wczesnych lat życia; to jest przyjęte, uznane, z tym się wszyscy pogodzili od dawna. To stanowi ich przywilej, zwyczaj, chlubę i sławę. Dziwołagiem i pośmiewiskiem byłby młodzieniec bez tych triumfów i zdobyczy. Trzeba istotnie być wyrodkiem, jakim był Gedras, żeby przeciw temu protestować i żądać za zabawę i żart pospolity czegoś więcej niż dwudziestu pięciu rubli.

To dowodzi i ograniczenia jego, i dzikości mściwych instynktów, i nieznajomości prawa. Tak, bo żadne prawo nie pozwala kamienować uwodziciela, a on to uczynił.

Kamienować wolno było niegdyś kobiety, dotychczas wolno to z nimi czynić w przenośni i chyba ten kamień, który tu mamy przed sobą, pierwszy jest i jedyny, który spadł

Kobieta, Mężczyzna,
Obyczaj, Seks, Kara

²⁸⁸dywidenda — część zysku przedsiębiorstwa, która jest wypłacana akcjonariuszom w zależności od liczby posiadanych przez nich akcji. [przypis redakcyjny]

²⁸⁹apopleksja (daw.) — udar mózgu. [przypis edytorski]

na mężczyznę za ten czyn. Tych dwoje ludzi, tak dalekich, tak różnych, postawiła jednakże naprzeciw siebie do walki śmiertelnej jedna wielka potęga — miłość.

Morzyński kochał Mańkę, więc jej pożałował i zdobył; tak kochają wszyscy możni i mężczyźni. Gedras kochał Mańkę, więc ją hodował, strzegł i pomścił; tak kochają matki i biedacy słabi. Życie ich obu było fatalną drogą — do takiego, a nie innego wiodącą rozwiązania, szło zaś zwykłą, przeciętną koleją, tylko złe fatum Murzyńskiego było, że trafił wreszcie na wyrodka. Boć przecie w swej karierze miłosnej miał wiele szwaczek, robotnic, subrettek²⁹⁰, pokojówek, a nie doświadczył nigdy protestu, opieki lub pomsty. Obyczaje i gusty „panów” wyrobiły przecie w sferze „chamów” bierne poddanie losowi, wyrobiły nawet w tym kierunku zmysł spekulacyjny. Dziewczyny szukają w tym zadowolenia gustu do zbytku i próżnowania, rodzice i opiekunowie sprzedają ten towar żywy dla swej wygody. Wszyscy się z tym pogodzili i dobrze jest na tym najlepszym ze światów, dobrze i cicho, i porządnie.

Nie dziw, że czyn Gedrasa wzniesła oburzenie, wstręt i zgrozę, że ten kamień jest straszny.

Zgroza! Strach, osłupienie ogarnia na myśl, co być może, co stać się może, jeśli taki zbrodniarz nie będzie ukarany najcięższym paragrafem, jeśli nie zdusi się takiej zarazy w zarodku. Mam w oczach przerażający obraz: widzę tłumy, masy ludzi, tych szarych ludzi z dna społecznego. Powstają, prostują się, rozprężają zgięte w pracy i niewoli ramiona, a potem się schylają, każdy bierze taki kamień z bruku i ruszają w pochód — jakby z letargu zbudzeni: ojcowie, bracia, często mężowie takich kobiet, które życie spędziły w zabawie tych, co płacą, życie w niewoli tych, co kupczą, a kończą w gangrenie²⁹¹ ciała i ducha, w kloace²⁹² lub szpitalu. Biada, jeśli taki dzień przyjdzie, jeśli taki tłum powstanie, biada zwyczajom i obyczajom, nawykniom, zabawom. Biada wszystkim takim Morzyńskim!

Dotąd, szczęściem dla nich, taki Gedras jest wyjątkiem. Podobni jemu nie myślą, nie czują, nie wstydzą się ani cierpią. Są podli, są głupi, są bydlę — i oby zostali tym jak najdłużej, bo po ich piwnicach i strychach rozkwitają kwiaty dla wygody i rozrywki panów, a oni je mogą sprzedawać drogo, po dwadzieścia pięć rubli jeden. A potem mogą je jeszcze wysłać na ulicę, sprzedać do zakładów reglamentowanych w kraju lub na eksport, no, a potem hodować drugi i trzeci, to się opłaci, znajdzie się kupiec na każdą, byle nie miała duszy, byle nie była głupia, nie trula się ani topiła.

Tak, szczęściem, Gedras jest wyrodkiem i usunięty zostanie spośród ludzi zdrowych i normalnych, ukarany wedle wielkości zbrodni, a jego kamień pozostanie w archiwach kryminalnych jako bezprzykładne narzędzie dzikiego mordy nad człowiekiem ogólnie poważanym, który mu w niczym nie zawinił. Równie pociesającym jest, że Mańka zginęła bez śladu, istota bez nazwiska, zhańbiona i zarażona zapewne buntowniczymi poglądami opiekuna. Mogłaby też mścić się i protestować. Usunęła się, nie pozna mocy prawa, opieki społecznej i nieubłaganego poszanowania cnoty, która takie jak ona skazuje dotąd na ukamienowanie.

Kiedyś podobna jej znalazła się na sądzie, ale to daleko stąd było, w Judei, i stanęła przed sędzią, który zabronił jej kamienować, ale to dawno było, a sędzia był Bogiem, Miłością! Odtąd nie powtórzyło się już na świecie, a kamienie trwają, stały się symbolem cnoty, gdy spadają na głowę jawnogrzesznicy; występkę — gdy miażdżą uwodziciela.

Gedras jest winien, wyznał. Nie spodziewa się ani chce usprawiedliwienia. Korzy się i on, i ja przed potęgą prawa. *Pereat mundus, fiat justitia!*

Stuch skończył i w sali zapanowała chwilowa cisza. On powiódł oczyma gorejącymi po tłumie publiczności i zdało się wielu, że na nich szczególnie patrzy, i snadź niemiły był im ten wzrok, bo odwracali głowy, starali się być swobodni, zaczęli ciche rozmowy. Wśród świadków siedzący obydwa Zarembowie patrzali uparcie pod stopy, sędziowie

²⁹⁰subretka — typ postaci pojawiający w operetce lub operze komicznej, ukazujący przebiegłą pokojówkę lub służącą, która posługuje się intrygami. [przypis edytorski]

²⁹¹gangrena — martwica tkanek, która może być wywołana przez ograniczenie przepływu krwi lub zakażenie bakteryjne. [przypis edytorski]

²⁹²kloaka — dół lub zbiornik służący do gromadzenia nieczystości. [przypis edytorski]

nie spali, mieli głowy pochylone nad papierami. Stuch usiadł, przelotnie spojrzawszy na Gedrasa. Ten jeden odczuł odmiennie mowę. Wyprostował się, głowę podniósł, twarz miał spokojną, jakąś skupioną i mocną.

Poczuł Stuch, że już teraz ten człowiek płakać nie będzie i że mu jest wdzięczny.

A w tłumie dojrzał też łez pełne oczy siostry. Samo milczenie tego tłumy było niezbitym znakiem, że dobrze mówił, choć go nikt nie pochwalił, choć za chwilę skrzytykują bardzo ostro.

Sąd oddalił się na naradę. Po długiej pauzie odczytano wyrok. Gedras skazany został na dziesięć lat ciężkich robót.

Publiczność znowu patrzyła na podsądnego i obrońcę, spodziewając się jeszcze jakichś wrażeń, ale żaden z nich nie drgnął nawet. Gedras się skłonił w milczeniu i wyszedł wśród swej eskorty. Stuch zebrał papiery i otoczony wnet przez kolegów zniknął.

Tedy i publiczność rzuciła się do wyjścia, zahuczał gwar, rozmowy — jak po teatrze.

Sztuka nie podobała się ogólnie — o, wcale nie. Ogólne było zdanie, że wszystko, a szczególnie obrona, była z gruntu niemoralna, gorsząca.

— No, i nic nie wskóra! — triumfowano.

Stuch nazajutrz odwiedził Gedrasa w więzieniu. Spytał go przede wszystkim, czy chce apelować.

— A po co, panie, do kogo? — odparł mu spokojnie. — Ja taki rad, że już mnie męczyć nie będą, że już naprawdę wszystko skończone. Powiadają, że katorżniki straszne ludzie, ale co mi wezmą, co mi zrobią? Zabiją, to co? To nic złego. A Mańki to już nie ma na świecie, bo zgłosiłaby się tu do mnie. Nie ma. Nikomum²⁹³ już niepotrzebny i długo nie potrwa. Pójdę, pójdę i ciągle słyszeć będę, co pan mówił, ciągle sobie powtarzać.

— No, niewiele wam pomogłem — rzekł cicho Stuch.

— Cicho się we mnie zrobiło. Tak cicho — szepnął Gedras. — Nie zapomnę do końca. Dziękuję panu.

— Może macie jaką chęć, jaką sprawę tu do załatwienia? Przyniosłem wam trochę pieniędzy, szmat. Załatwię, co zechcecie...

— Pieniądze mi odbiorą, szmaty odbiorą. Szkoda, panie. Mnie nic nie potrzeba. Tylko jeśli Mańka nie umarła, a dowie się pan co o niej, to proszę jej dać opiekę i mnie słowo przesłać. Może otrzymam list, a może tego już nie wolno? Ale chyba nie może być, by jeszcze żyła?

Patrzył spokojnie na Stucha.

— Chyba nie... — ten odparł.

Gedras zwiesił głowę.

— Tamte dwie pochowałem, a tej nie uchowałem... — zamruczał. — Tak i życie zeszło!

Obaj umilkli, patrząc posępnie na szarą ścianę więzienną. Wreszcie Stuch się zerwał, dławilo go wzruszenie i gorycz.

Bez słowa się pożegnali, nie było co rzec na takie rozstanie ostateczne.

Ten, który został w celi, był spokojniejszy od tego, który wracał do świata i swobody.

XI

Państwo Suliccy wrócili na sezon zimowy do Warszawy po paru miesiącach poślubnej podróży.

Maniusia wyglądała świetnie, ale wyznała matce, że powraca z radością, bo jej się już znudziły te hotele i zwiedzania i tęskni do znajomych.

Sulicki wyglądał też, że rad odnajdzie partię winta²⁹⁴ i wypocznie od ciężkiej służby dogadzania młodej żonie. Był widocznie zakochany i forsownie udawał młodego małżonka. Ona go traktowała dość lekko i z góry.

Rozgospodarowali się w swych pysznych apartamentach, złożyli wizyty, weszli w tryb życia swej sfery i stosunków. Maniusia zaczęła żyć i używać. Miała powóz i konie, łożę w teatrze, stroje i brylanty i od razu poczuła się uwielbiana i pożądana przez wszystkich

²⁹³*nikomum już niepotrzebny* — inaczej: nikomu nie jestem już potrzebny. [przypis edytorski]

²⁹⁴*wint* — rodzaj gry w karty. [przypis edytorski]

młodych mężczyzn, nie wyłączając obu braci, którzy jej teraz dogadzali i uprzedzająco byli serdeczni.

Zrazu była literalnie oszołomiona wrażeniami tak nowymi, stała się znowu, jak w dzieciństwie, pieszczochem rodziny. Słyszała tylko zachwyty, pochwały i komplementy, czuła się bóstwem i królową. Ale się rychło, z wrodzonym sprytem połapała w tym chaosie i urządziła się praktycznie i wygodnie. Rodzinę traktowała protekcyjnie, wielbicieli ze zrećzną, zimną kokieterią, kobiety nieufnie i ostrożnie, męża z wyrozumiałością dojrzałej kobiety.

Sulicki zrazu nieśmiało wymykał się na winta i sesje, spodziewał się protestu. Zachwycony był, że żona zostawiła mu zupełną swobodę, nie krępowała w niczym. Brał to za dowód najwyższej miłości i ofiarności; był wdzięczny, że nie czyniła mu żadnej wymówki, nie przykrzyła sobie, gdy ją samą zostawiał.

— To anioł, nie kobieta! — mawiał do Zarembiny, która coraz częściej i coraz dłużej gościła u córki, wykołajona od wsi tymi kilku latami²⁹⁵ spędzonymi w mieście.

Szczęście córki upajało ją i była nim dumna, jako swym dziełem; o niczym nie umiała mówić, tylko o Maniusi i jej pomyślności. Obnosiła to szczęście po wszystkich krewnych i znajomych, zanudzała tym wszystkich starszych, stała się pośmiewiskiem młodszych. O czymkolwiek mówiono, cokolwiek się stało w mieście lub na świecie, Zarembina kończyła rozmowę lub ją skręcała na temat doskonałości Maniusi, jej triumfów, jej urody, jej gospodarności, jej dóbr, jej dowcipów, jej przywiązania do męża i rodziny. Był to impresario²⁹⁶ Maniusi. Znajome jej, tak zwane przyjaciółki, słuchały tego ze słodkokwaśnym uśmiechem, pytając czasem dyskretnie o wnuka, ale i tym nie pobiły Zarembiny, bo w kilka miesięcy po ślubie zaczęła z dyskretną, tajemniczą miną tłumaczyć córkę, że zapewne nie będzie mogła tańczyć w karnawale.

Wiadomość ta napełniła kumoszki tajoną złością zawodu, Sulickiego wielką dumą, młodzież, nadskakującą Maniusi, niesmakiem i oziębłością.

Manusia sama nie wyglądała zachwycona²⁹⁷ swym spodziewanym macierzyństwem. Miała tyle toalet²⁹⁸, których nie zaprodukuje i które wyjdą z mody, a zarazem odczuła boleśnie obojętność swych satelitów²⁹⁹. Nudziła ją też zdwojona troskliwość męża, rady i przestrogi matki, skrępowanie swobody. Zrobiła się opryskliwa i grymasna, poczęła płakać o byle co i nudzić się.

Wobec obcych hamowała się i udawała, ale dla domowych i służby stała się nieznosna. Nic jej nie brakło, wszelkie chęci, fantazje były spełnione, zaledwie je wyraziła, a ją trapiła jakaś nuda, jakiś brak, niezadowolenie, bunt i pragnienie, którego nie umiała określić.

Zastawał ją często mąż zapłakaną, starał się uspokoić, rozweselić, upieścić. Wpadała tylko w większe rozdrażnienie i niecierpliwość, odtrącała go prawie ze wstrętem. Gdy to opowiadał, skarżąc się teściowej, uspokajała go „tym stanem”, chociaż czasami sama była przerażona taką zmianą charakteru Maniusi.

— Moje dziecko, powinnaś nad sobą panować — starała się moralizować. — W „twoim stanie” to ci może być szkodliwe. Mnie przerażasz czasem; taka jesteś szczęśliwa, w takich opływasz dostatkiem, taka jesteś kochana, a nie umiesz tego cenić. Co ci jest? Czego ci brak? Zastanów się! Co sobie ludzie pomyślą, widząc cię zapłakaną, zmienioną?

— Co pomyślą? Że jestem ohydna! Przecie to i sama widzę w lustrze. Potworna jestem, sama sobą się brzydzę, och, i wszystko mi obrzydło! Niech mama mnie nie nudzi, jestem i bez mamy moralów najnieszczęśliwszą istotą w świecie!

— Maniusiu, przestań, grzeszysz ciężko, to mówiąc! Każdy ci losu zazdrości, masz wymarzoną dolę!

— Mam dość tego losu i doli: dość, dość! Nudzę się, nudzę, nudzę! Wszystko mi wstrętne! Ach, żeby umrzeć!

Pomimo tych wybuchów rozpacz i zniechęcenia do życia wzywała prawie co dzień lekarza i lękała się, i drżała o swe zdrowie bezustannie. Bardziej jeszcze niż o zdrowie,

²⁹⁵ *tymi kilku latami* — dziś popr.: tymi kilkoma latami. [przypis edytorski]

²⁹⁶ *impresario* (wl.) — osoba odpowiedzialna za organizowanie wydarzeń artystycznych, takich jak spektakle teatralne, koncerty czy przedstawienia cyrkowe; tu: znaczenie przenośne. [przypis redakcyjny]

²⁹⁷ *nie wyglądała zachwycona* — dziś: nie wyglądała na zachwyconą. [przypis edytorski]

²⁹⁸ *toaleta* (daw.) — tu: elegancki strój lub ubiór, zazwyczaj damski. [przypis edytorski]

²⁹⁹ *satelita* — tu: osoba nieustannie komuś towarzysząca. [przypis edytorski]

o wdzięki i formy. Zanudzała doktora pytaniami i prośbami o radę, nigdy nie była syta zapewnien, że zostanie piękna i zgrabna.

Były to niespokojne, denerwujące, ciężkie czasy dla Sulickiego. Bywał nawet w wincie roztargniony i nieuważny, mniej bystry w sprawach pieniężnych i widocznie się starzał.

Co prawda, mniej teraz się forsował, żeby udawać młodego, bo nie uważał tego za potrzebne. Zarembina ulokowała się na stałe u córki, czemu Sulicki bardzo był rad, bo czuł się zwolniony od eskortowania i pielęgnowania żony. Bardzo skwapliwie usunął się nawet z sypialni, ustępując miejsca teściowej, i pokazywał się w domu tylko w porze posiłków i rzadko wieczorem.

Zarembina napelniła dom batystami i koronkami, zajęta niby szyciem wyprawki dla wnuka. W rzeczywistości szyły szwaczki i hafciarki, ale „panie” miały okazję „pracy”, to jest sprowadzania próbek, przerzucania magazynów, debatowania, targowania, przeglądania żurnali, narad i namysłów, co im zużywało tyle czasu i śliny, że bywały wieczorem kompletnie wyczerpane. Bywały sesje wszystkich ciotek i kuzynek niekiedy w ważniejszych kwestiach, na przykład: czy czapeczki mają mieć hacik czy koronkę i jaką, lub czy higieniczniejsze płótno czy batyst.

Czasami wzywano Sulickiego do rady, ale on był zawsze zdania, że najlepsze to, co najdroższe. Zaś kobiety to oburzało, bo ich zasadą było, żeby wszystko było jak najtańsze i w jak najlepszym gatunku.

Dlatego to Zarembina brała często dorożkę i jeździła parę godzin po mieście w celu odtargowania trzech groszy na łokciu koronki i zawsze wracała z triumfem, że nie dała się wyzyskać, i miała ustaloną opinię, że nikt tak tanio, jak ona, nie kupuje.

Opowiadano cuda o tej wyprawce spodziewanego potomka Maniusi, a odwiedzające panie oglądały z zawiścią te pajęcze, miniaturowe stroje i wymysły.

Naturalnie wszyscy w rodzinie, nie wyłączając Maniusi, chcieli syna i ogólna była radość, gdy się urodził dziedzic rodu Sulickich, którego z wielką pompą ochrzczono imieniem Bolesław. Dziecko przyszło na świat wątłe i chorowite, z nieforemną głową i pajęczymi członkami.

Doktorowie³⁰⁰ zdecydowali, że matka karmić nie może, zaczęto więc szukać mamki i po kilku kandydatkach wybór padł na jakąś Bronkę, dziewczynę importowaną z prowincji, od Zarembów.

Teraz już Zarembina na stałe osiadła u córki i objęła zupełnie rządy domowe w swe ręce. Maniusia była temu rada i gdy tylko wróciła do sił, zaczęła bawić się, wynagradzać sobie długie miesiące przymusu i nudy.

Piękność jej rozwinęła się całym blaskiem. Widziała to w lustrze i w oczach mężczyzn, którzy ją znowu otoczyli, zasypywali komplementami śmiałymi, jako mężatkę, a dwuznacznikami wcale niezagadkowymi. Z dniem każdym i ona stawała się śmielsza i zalotniejsza, bawiła się bez trwogi i skrupułu, była pewna swej cnoty, bo nikogo nie kochała.

Dziecko zajmowało ją zrazu, ale znudziło ją prędko i drażniło nawet. Było brzydkie, zawsze chore, grymasne, otoczone służbą; bawić się z nim nie mogła, pochwalić nie było czym.

Po pewnym czasie nawet zapomniała o istnieniu syna i z rzadka tylko zaglądała do niego, pochłonięta karnawalem, który w tym roku był wyjątkowo długi i świetny.

Biedny Sulicki był męczennikiem. Nużyły go i męczyły bale, ale z bohaterstwem dotrzymywał placu żonie i spełniał jej wszystkie życzenia.

A Maniusia kompletnie szalała, upojona hołdami, powodzeniem, świetnością strojów i klejnotów. Cnotliwe matrony i brzydkie panny poczęły nią się gorszyć i obmawiać. Zaczęto wyliczać jej ofiary, szeptać o bardzo żywych sympatiach. Ale to był fałsz i zawiść. Maniusia kokietowała wszystkich, nie kochała żadnego i czuła się dumna ze swej cnoty i siły w tylu pokusach.

Zakończenie karnawału powitał Sulicki jak wyzwolenie z ciężkiej pańszczyzny, Maniusia z wielkim żalem. On począł chodzić na winta wieczorami, ona się nudzić.

Dla zabicia czasu czytała powieści, rozpoczęła haftować ekran do kominka, uczęszczać na modne kazania i na operetki, ale wszystko to nie wystarczało. Zmysły, rozigrane

³⁰⁰doktorowie — dziś popr. forma M.Im: doktorzy. [przypis edytorski]

tańcem, bezsennymi nocami, flirtem, nie dawały się usnąć i uspokoić, żądały wrażeń, wrażeń.

Miewała napady czułości dla dziecka, wtedy nosiła je na rękach, brała do łóżka, zaciłowywała łakomie. Potem następował okres zniecierpliwienia i prawie niechęci.

— Mamo, on jest wstrętny, idiotyczny, patrzeć na niego nie mogę! Czy on zawsze będzie taki łysy, bezzębny, żółty? Pfuj! On mi przypomina swego ojca. Zabierzcie go!

— Maniusiu, ciszej! Służba posłysz! — upominała Zarembina. — Biedaczek, istotnie nie bardzo ładny, ale on z tego wyrośnie. Zobaczysz, drugi będzie inny.

— Drugi! — Maniusia zaśmiała się ironicznie. — Nie ma głupich. Pięć centymetrów przybyło mi w pasie! Ani myślę dalej się defigurować!

— Moje dziecko, będzie, jak Bóg zechce.

— Et, niech mama głupstw nie prawi! Będzie, jak mnie się podoba. Ach, jak tu nudno!

Czasami, dla rozrywki, robiła scenę mężowi o byle co, ale gdy Sulicki, zamiast się spierać, na wszystko się zgadzał, przepraszał, stawał się podwójnie czuły i uległy, niecierpliwiło ją to i nudziło.

„Stary głupiec!” — nazywała go w duchu pogardliwie, nie czując ani wdzięczności za dobroć tego człowieka, ani przychylności i życzliwości nawet za to wszystko, co jej dawał, czym ją obsypywał.

W ten sposób donudziła się do lata. Postanowiono wyjechać do Karlsbadu, gdyż Sulicki potrzebował kuracji, mieli tedy jechać we dwoje, a dziecko zostawić u dziadków, ale wobec perspektywy pobytu z mężem u wód, Maniusia wolała spędzić lato u rodziców: „z dwojga złego”, jak szczerze wyznała matce, i nudziła się w dalszym ciągu na wsi do września. Wróciła do Warszawy w jakimś desperackim usposobieniu, przejęta do głębi przekonaniem, że jest nieszczęśliwa, że życie jej jest zmarnowane, złamane, że ją los srode pokrzywdził. Ożywiła się jednak zaraz, bo trzeba było robić sezonowe stroje — no, i znaleźli się satelici.

Dobre to było dla zabicia czasu i odurzenia choćby chwilowego. Otóż pewnego razu jakiś próżniaczy spacer zawiódł ją na wystawę Krywulta³⁰¹ i tam, obojętnie, pobieżnie oglądając obrazy, stanęła przed jednym jak zahipnotyzowana. Był to znany jej dobrze brzeg Bretanii, ten sam, tak pamiętny.

Spojrzała na podpis, nic jej nie wyjaśnił, nieznane nazwisko. Spytała tedy kasjerki.

— Pani życzy sobie nabyć? To studium malarza Brzechwy. Możemy się listownie porozumieć, mieszka stale w Paryżu.

Maniusia wróciła znowu do sali zawiedziona. Tamten był Francuzem, był więc tylko dziwny zbieg okoliczności. Dziwny istotnie. Ta sama skała bazaltowa, śliska od lizania fał, ten sam dziwaczny kamienny krzyż. Kupi ten obraz — musi kupić. Dała polecenie i adres i czekała na odpowiedź i cenę, którą Sulicki bez najmniejszego protestu zapłacił, i obraz powieszono w buduarze Maniusi.

Wtedy go dopiero Sulicki zobaczył i zdumiał.

— Co! Sto rubli za te pół łokcia płótna? I co to właściwie jest? Co to ma przedstawiać? Rozbestwili się ci pędzlarze i drwią w żywe oczy z publiczności.

— Już lepiej milcz, jak czego nie rozumiesz! — oburzyła się. — To jest *plenair*³⁰² świetnie uchwycony.

— Niech i tak będzie, jeśli cię to cieszy, kup sobie jeszcze więcej podobnych.

— Mamie to nic nie przypomina?

— To? — Zarembina włożyła pince-nez³⁰³ i obejrzała od światła i pod światło. — Może być, widziałam coś podobnego, jakieś premium do „Tygodnika”³⁰⁴.

— Et, dla was stworzono oleodruki! — oburzyła się Maniusia i nawet nie raczyła podziękować mężowi.

Od tej pory zaczęła interesować się malarstwem i bywać na wystawach. Na jakimś raucie poznała się z jednym z malarzy i spytała o Brzechwę.

³⁰¹wystawa Krywulta — znana warszawska wystawa obrazów Jana Krywulta, która odbywała się na rogu ulic Nowy Świat i Świętokrzyskiej. [przypis redakcyjny]

³⁰²*plenair* (fr. *plein-air*) — dosł.: przestrzeń otwarta; tu: pejzaż. [przypis redakcyjny]

³⁰³*pince-nez* (fr.) — binokle. [przypis redakcyjny]

³⁰⁴*premium do „Tygodnika”* — bezpłatny, ilustrowany dodatek do magazynu. [przypis redakcyjny]

— O, to szczęśliwy chłop! Ma okropny zbytek do Ameryki, przy tym odziedziczył grubo po stryju, który we Francji dorobił się fortuny w przemyśle. On tu wcale się nie pokazuje, ale nasi bywają u niego w Paryżu. Dobry kolega, zna go kolonia.

— Stary czy młody?

— Młody i podobno ma u pań wielkie powodzenie.

Maniusię jeszcze bardziej rozciekawiała ta rozmowa i myślała o tym wypadku parę tygodni, potem znudziła się, zniechęciła i zapomniała i o obrazie, i o jego twórcy.

W karnawale tego roku omal się nie zakochała w tenorze, Włochu, ale gdy się dowiedziała, że ma żonę i dwudziestoletniego syna, zapal jej ostygł.

Potem przeffirtowała na potęgę przez trzy bale z rozczochnym dekadentem, ale ten ją oburzył swoim cynizmem. I tak uchowała swą wiarę małżeńską do postu, i jak zwykle poczęła się nudzić na zabój. I wtedy pewnego dnia, gdy szła bez celu na spacer, by zabić czas i nabrać apetytu, spotkała oko w oko towarzysza morskich kąpiei.

Oboje drgnęli, zatrzymali się. Jej krew zalała policzki, on zaśmiał się po swojemu, szczerze, niefrasobliwie i jakby się wczoraj rozstali, uchylił kapelusza, pozdrawiając swobodnie:

— *Tiens, quelle chance, bonjour, comment va!*³⁰⁵

— Co pan tu porabia? — odparła, ochłonawszy.

— *Je vagabonde comme toujours. Arrivé hier! Et vous?*³⁰⁶

— *Homiciliée depuis deux ans.*³⁰⁷

— *Mariée?*³⁰⁸

— Skąd pan to wnosi?

— No, widzę. Pożegnałem primaverę, witam dogaresę³⁰⁹.

— A pan tu na długo?

— To zależy, jak mi się tu spodoba.

— Życzę zatem wesołej zabawy i żegnam — rzuciła urażona bezceremonialnością. Czy on myśli w dalszym ciągu nie prezentować się?

— Do widzenia, mam nadzieję.

— Wątpię, czy się spotkamy.

— Ja nie wątpię. Czy pani nie wierzy w przeznaczenie?

— Nie!

— A ja tylko w to. Przeznaczenie sprowadziło nas tam nad morze, ono nas teraz sprowadziło i jesteśmy sobie nadal przeznaczeni. Jestem pewny, że nie upłynie tydzień, a będziemy już codziennie się spotykali. Do widzenia zatem.

— O, to pan się bardzo myli. Możemy być rok w Warszawie i nigdzie się nie spotkać, „nigdzie” nazywam „w towarzystwie”, bo ulica się nie liczy.

— *Parions*³¹⁰, do tygodnia.

— Och, do dwóch nawet.

— *A discrétion?*³¹¹

— *Soit!*³¹²

Roześmiała się pewna siebie.

Z tym się rozeszli. W domu Maniusia nie wspomniała nic matce, że spotkała przygodnego znajomego.

Zarembina zresztą nic o tej znajomości nie wiedziała.

³⁰⁵ *Tiens, quelle chance, bonjour, comment va* (właśc. *comment ça va*)! (fr.) — Proszę, co za szczęście, dzień dobry, jak się pani ma! [przypis redakcyjny]

³⁰⁶ *Je vagabonde comme toujours. Arrivé hier! Et vous?* (fr.) — Ja się włóczę, jak zawsze. Przybyłem wczoraj! A pani? [przypis redakcyjny]

³⁰⁷ *Homiciliée depuis deux ans.* (fr.; właśc. *domiciliée depuis...*) — Mieszkam tu od dwóch lat. [przypis redakcyjny]

³⁰⁸ *Mariée?* (fr.) — Zameżna? [przypis redakcyjny]

³⁰⁹ *Pożegnałem primaverę — witam dogaresę.* — Brzechwa kontrastuje dwa typy kobiecej urody. Z jednej strony jest to *primavera*, obraz włoskiego malarza Sandro Botticellego (ok. 1445–1510), przedstawiający młodą, jasnowłosą dziewczynę symbolizującą wiosnę, a z drugiej wenejanka – *dogaresa* (żona doży), dojrzała kobieta, która często pojawiała się na obrazach weneckiego malarza Paolo Veronese (1528–1588). [przypis redakcyjny]

³¹⁰ *Parions* (fr.) — Założmy się. [przypis redakcyjny]

³¹¹ *A discrétion?* (fr.) — Sekret? [przypis redakcyjny]

³¹² *Soit!* (fr.) — Niech tak będzie! [przypis redakcyjny]

W trzy dni potem Suliccy byli na raucie dobroczynnym, gdzie Maniusia miała własny namiot i zjadła karotowała³¹³ znajomych, gdy wtem ujrzała zdumiona, że jej mąż rozmawia z „jej” nieznajomym. Po chwili zbliżyli się do niej i Sulicki przedstawił.

— Maniusiu, pan Brzechwa, malarz, chce się z tobą zapoznać.

Pomimo całej wprawy i rutyny światowej, nie umiała ukryć wrażenia i znaleźć słów zdawkowej uprzejmości.

On z uśmiechem rzekł:

— Pragnąłem poznać i podziękować za zlitowanie się nad moją pracą. Oprócz mnie nikt nie lubił ani chciał mieć wspomnienia tego zapadłego kąta Bretanii, a oto pan radca mówi, że pani ten obraz nabyła. Nie marzyłem, że tak piękną i uroczą będzie mieć właścicielkę.

Mówił po polsku poprawnie, ale z lekkim akcentem. Ochłonęła i odzyskała towarzyską rutynę.

Po chwili rozmawiali już we troje o zagranicy, potem o Warszawie, dokąd przyjechał wezwany przez chorą siostrę. Okazało się, że Sulicki znał tę siostrę, a raczej nieboszczyka jej męża, z którym nawet kolegował w Towarzystwie.

Siostra była o wiele starsza od Brzechwy, z rodziny zostali tylko dwoje, pośpieszył więc na jej wezwanie, znalazł bardzo osłabioną i zdenerwowaną, ale już rekonwalescentkę. Postanowił zatem zabawić czas jakiś, zanim zupełnie nie wyzdrowieje i wzmacni się.

— Zapewne zamieszkał pan u siostry? W tej wspaniałej kamienicy są podobno i pracownice malarskie? — spytał Sulicki.

— Nie, umieściłem się w pracowni kolegi Brożka, który wyjechał do Egiptu.

— A to na jakiej ulicy? — badał Sulicki.

— Na Marszałkowskiej, bliżej ogrodu, nie pamiętam numeru, orientuję się po cukierni.

— Ach, wiem, wiem! Olbrzymia, przechodnia kamienica. Stręczono mi ją kiedyś, omal nie kupilem. My mieszkamy na Nowym Świecie, róg Alei, we własnym domu.

— Czy panowie co kupują? — spytała Maniusia z uprzejmością kupcowej. — Mam perfumy, wody toaletowe, pasty, mydła, niedrogo, w najlepszym gatunku.

— Ależ po to tylko jestem, chcę skorzystać z okazji. Jestem bardzo rachunkowy i oszczędny! — śmiał się Brzechwa.

Zaczął wybierać, przebierać, targować się uparcie, droczyć i przekomarzać, a wreszcie płacić, szukać pieniędzy, narzekać, że drogo, i jeszcze się targować.

Wokoło wszyscy się śmiali i bawili, Sulicki bodaj najwięcej. W końcu Brzechwa za dwa flakony i mydło zapłacił sto rubli i to kompletnie już zachwyciło radcę. Poszli obaj do bufetu, a potem widziała ich Maniusia wciąż razem. Nie zdziwiła się też, gdy jej mąż powiedział po powrocie do domu, że Brzechwę zaprosił na ich „wtorki”.

— To, widzisz, żaden hołysz i drapichrust-malarz. Odziedziczył cały majątek tego Brzechwy, co to wiesz, dorobił się fortuny w Paryżu, a weźmie i po siostrze wszystko. To solidny człowiek i zupełnie do rzeczy. A przy tym wszyscy o nim wiedzą, to, widzisz, marka, a gdzie on nie był, czego nie zna! Zabawi całe towarzystwo.

Wenta³¹⁴ przeciągnęła się późno³¹⁵, po niej Brzechwa zabawił jeszcze parę godzin z kolegami na kolacji i było już po północy, gdy wracał do domu. Głowa go trochę bolała, więc poszedł pieszo.

Trochę myślał o Maniusi i uśmiechał się jakby z udanego figla. Potem przedstawił ją sobie w stroju dograessy, taki typ weneckiej Werończyka, złotowłosa, majestatyczną, w sztywnych strojach średnich wieków, w gondoli pod pióropuszem, w królewskiej pozie, w otoczeniu służebnic i lutnistów.

Na ulicy padał śnieg, było ciemno i zimno, a on widział zachód letni na lagunach³¹⁶ i taką gondolę sunącą u portyku Pałacu Dożów³¹⁷.

³¹³karotować — wyludzać, wyzyskiwać. [przypis redakcyjny]

³¹⁴wenta — kiermasz na cele dobroczynne. [przypis edytorski]

³¹⁵przeciągnęła się późno — dziś popr.: przeciągnęła się do późna. [przypis edytorski]

³¹⁶laguna — płytką zatoką lub zalew, oddzielona od morza przez powstanie piaszczystej mierzei. [przypis redakcyjny]

³¹⁷portyk Pałacu Dożów — brama wejściowa najpiękniejszego pałacu w Wenecji (z XV w.), zbudowana z kolorowego marmuru; odznacza się bogatą ornamentyką. [przypis redakcyjny]

Wtem z rogu ulicy Królewskiej spostrzegł stojącą pod latarnią kobietę. Spojrzał na nią przelotnie i minął. Kobieta zaczęła za nim iść i choć go nie zaczepiała, zniecierpliwił go ten pościg. Zatrzymał się, stanęła i ona. Zmierzyli się oczyma i uderzyło go, że nie miała miny wyzywającej i zuchwale cynicznej, ale raczej ponurą. Czarne jej, przepaściste oczy patrzyły nań tragicznie, wzrokiem głodnego zwierza.

Chciał ją odpędzić, może zwymyślać, ale rzekł:

— Po co się włóczysz na taki czas?

Ruszyła ramionami.

— Bo nie mam karety ani gabinetu, a żyć trzeba — odparła z jakimś sztucznym humorem.

— No to masz rubla i nie włóż się za mną.

Zdawało się, że się zawahała chwilę, ale wreszcie w milczeniu wyciągnęła rękę, zgrabiała od zimna, i wzięła monetę. Potem stanęła znowu pod latarnią.

— Nie idziesz do domu? — spytał.

— Z rublem? — zaśmiała się gorzko. — Spróbuj przeżyć we troje dzień za rubla!

Dwóch mężczyzn ukazało się na drugiej stronie ulicy. Poszła szybko ku nim i zginęła mu po chwili z oczu.

„Przepyszne ma oczy” — pomyślał i poszedł dalej.

Zabawił go kontrast tej sali, przepychu, gdzie bogate i cnotliwe matrony, bawiące się i flirtujące, obdzierały mężczyzn na cele filantropijne, i tej ulicy w zimową noc oddaną głodowi i rozpucie.

W ruchliwym mózgu artysty zbladł obraz przepysznej kobiety-dogaressy, zasnęła się postać kobiety głodnej. Obejrzał się za siebie i pożałował, że tej nędzarki nie zamówił sobie na jutro do szkicu. Ale nie było jej już widać, poszedł tedy, ziewając, do domu.

Nazajutrz złożył wizytę Sulickim. Zastał oboje, został przedstawiony Zarembinie i zabawili godzinę. Wieczorem spotkali się w teatrze. Nieznacznie zawiązywał się bliższy stosunek. Maniusia była pozornie bardzo sztywna i doskonale udawała, że go nie zna. On się bawił wybornie.

W parę dni potem, wracając dość późno od siostry, spotkał znowu na ulicy kobietę-włóczęgę.

Tym razem zatrzymał ją i zaczepił pierwszy:

— Słuchaj no, nie pozowałaś nigdy malarzom?

— Nie, zanedbom chuda i czarna.

— No, to przyjdź jutro do mnie. Masz tu adres, jeśli mi będziesz odpowiednia, to dam ci rubla za godzinę pozowania. Dobrze?

— Nie wiem. Jeśli się namyślę, to przyjdę w południe — i odparła bez zapału, apatycznie, prawie niechętnie.

— Jeśli jutro nie przyjdiesz, to wezmę inną.

Ruszyła ramionami lekceważąco i skrzyła w boczną ulicę. Nie spodziewał się, że przyjdzie, i prawie się zdziwił, gdy nazajutrz zjawiła się w pracowni.

Była jak zwykle ubrana jaskrawo, w lichą tandetę i dygotała z zimna. Przy świetle dziennym wydała mu się jeszcze chudsza, zniszczona i z jakimś złowieszczym wyrazem zapadłych oczu.

Zrozumiała wrażenie jego twarzy i rzekła:

— A co? Po dniu to na modelkę nikt mnie nie weźmie. Na darmo tyle drogi szła.

— Daleko mieszkasz?

— No jużci, że nie w Alejach na pierwszym piętrze od frontu! Odpocznę trochę i ogrzeję się.

Podeszła do pieca i przygarnęła się do niego z widocznym, zwierzęcym zadowoleniem. Potem powiodła oczyma po pokoju i zatrzymała wzrok na zastawie stołowej. Brzechwa, zajęty tego dnia robotą, kazał sobie przynieść śniadanie od siostry i jadł właśnie, gdy ona przyszła.

— Zdejm³¹⁸ kapelusz i żakiet — rzekł.

Nie zdawała się słyszeć, patrzyła uparcie na jedzenie.

— Jak się nazywasz? — spytał.

³¹⁸zdejm — dziś popr. forma: zdejmij. [przypis edytorski]

— Ja? — ocknęła się i pomyślała. — Wójtówna czy jakoś tak — rzuciła niedbale.

— Sama mieszkasz? — spytał.

— Et, takie badanie, jak w cyrkule! Co tam ciekawego. Przyszłam pozować, a nie chcesz, to mi daj za kurs, to sobie pójdę.

— Zdejm żakiet i kapelusz — zawołał niecierpliwie.

Spełniła żądanie i ukazała się w wytartej bluzce czerwonej, widocznie nie na nią robionej.

Zapatrzył się na nią badawczo, podszedł, dotknął włosów, przechylił głowę, znowu patrzył, wreszcie zawołał krótko:

— Chodź — i wprowadził ją do pracowni.

Tam ją ustawił we właściwej pozie i świetle i usiadłszy naprzeciw, zaczął szkicować. Oczy jego przechodziły z niej na płótno, skupione, pochłonięte myślą. Po chwili zaczął poświsztować przez zęby polkę z *Ptasznika*.

Kobieta stała nieruchomo czas jakiś, potem poczęła drżeć, podniosła rękę, przetarła oczy, znowu starała się wytrzymać pozę, wreszcie zatoczyła się i osunęła na jakiś stół.

— No, co ci? Nie możesz wytrwać godziny? — zawołał niecierpliwie.

— Zaraz mi odejdzie. Zamroczyło — rzekła słabo, ocierając pot z czoła.

Ale bladła coraz bardziej, chwiała się, zamykała oczy. Poszedł do jadalni i przyniósł jej, co znalazł pod ręką, szklankę piwa. Wypiła chciwie i po chwili dźwignęła się.

— No, już mocniej! — rzekła, stając w poprzedniej pozie. — Dobrze jest zjeść albo wypić cokolwiek.

— Możesz ty głodna?

— No, a co myślisz? — zaśmiała się. — Nie zarobiłam od wczoraj nic, to i nie jadłam.

U nas tak.

— Zjedzże! Dlaczegoś nie powiedziała?

— Eee, dotrwam i tak. Daj jeszcze piwa, będzie mi dosyć. Jakbym zjadła, tobym w cieple wnet zasnęła. Ale jeśli mi dasz, co tam na stole zostało, to zabiorę, wychodząc do domu.

— Masz rodzinę?

Ruszyła, milcząc, ramionami tylko i wypila piwo.

Wziął się znowu do roboty, ale już nie gwizdał. Zaciekawiała go tą jakąś dziką zawziętością i skrytością. Prędko skończył szkic.

— No, dosyć na dzisiaj. Przyjdiesz jutro?

— Przyjdę. A ile dostanę?

— Mówiłem ci, rubla za godzinę.

— Dobrze, ale mi dziś daj pięć rubli z góry. Odrobię.

— Na co ci potrzebne? Na życie?

— Pies by tego życiem nie nazwał, ale tak się mówi.

— No, dam ci pięć rubli, ale mi daj swój adres, imię i opowiedz, jakie to masz życie.

— Bardzoś głupi. Adres mogę dać fałszywy, a historię zełgać, jak mi się podoba. Nikomu nic do mojej historii, a adres to: Czerniakowska 52, Józef Siwiec.

— No, dobrze. Masz pięć rubli, a teraz zjedz i zabierz resztę śniadania.

Przeszli do jadalni, ale kobieta nie chciała nic tknąć z jadła. Zabrała wszystko w papier, otrzymane pięć rubli schowała za gorset, i ubrawszy się, prędko wyszła.

— Tyle ją będę i widział — rzekł do siebie Brzechwa.

Ale przyszła nazajutrz akuratnie o dwunastej i wyglądała mniej wyczerpana.

Że był zajęty przy czymś innym, kazał jej się rozebrać i czekać. Usiadła przy piecu i po chwili zaczęła półgłosem mruczeć jakąś piosenkę.

— Musiałś dziś dobrze zjeść — zaśmiał się.

— Wyspałam się za całe dwa ruble.

— Jak to?

— Ano, dałam Józefowi, to sobie poszedł pić na całą noc, a ja już w domu nocowałam.

— No, a trzy ruble na co poszło?

— Długi popłaciłam.

— I nic nie zostało?

— A nic. Dziś już trzeba iść na robotę.

Skuliła się przy piecu i mruczała jakąś niewyraźną melodię, która zapewne była skoczna, ale w jej wykonaniu miała coś okropnie tragicznego.

— To z tym Józefem mieszkasz?

Skinęła głowę, nie przestając śpiewać.

— Dawno?

Podniosła oczy i wlepiała je w jakiś jeden punkt.

— Dawno, dawno, długo! — wymówiła w jakimś osłupieniu.

Potem się zerwała, poczęła oglądać pracownię, dotykać makat i sprzętów, spojrzała też na swój wczorajszy szkic i zaśmiała się.

— Ot, i mój portret będzie na świetle, jak takich, co jeżdżą na gumach i mają brylanty.

— No, a ty się nie spodziewasz zrobić kariery?

— Ja? Ze mnie już nic nie będzie. Ja tak ciągnę, ciągnę, jak szkapa w jednokonce; kiedyś padnę i hycel sprzątnie.

— Po cóż więc tak żyjesz, jeśli cię to nie bawi?

— A to pan myśli, że ludzie często robią to, co lubią, takie ludzie, jak ja? To niech pan spyta psa, co w śmietniku ryje, czy nie wołałby na półmisku polędwicy z garniturem. Grzebie się w śmietniku, bo to człowiek pluje i klnie, a zdechnąć z głodu nie chce.

— Przecie musiałaś mieć rodzinę i robotę przedtem?

— Każdy umarły przedtem żył był! To i co mu z tego? Et, zawraca mi pan głowę, najlepiej to nie myśleć! Bo i co to pomoże? Co było, to się nie wróci, co jest, to i bez myślenia pamiętne, a co będzie, to ochoty nie doda, żeby nad tym rozmyślać. Żeby człowiek mógł być ciągle pijany albo ciągle spać! Czy pan mi dziś każe pozować?

— Źle ci tak siedzieć?

— Źle, nie źle, ale wołałabym odrabiać dług.

— To go odrobisz w każdym razie. No, zaczynamy. Zdejmiesz dziś bluzkę, udrapuję ciebie w tę płachtę. Koszulę spuść do pasa.

Posłusznie rozebrała się, wtedy ujrzał, że koszuli nie miała wcale, a na plecach parę sinych szram. To ciało wynędzniałe, chude, wzbudzało w nim wstręt estetyczny i litość. Ale było jako studium głodu świetne, zaczął szkicować pilnie, potem wziął się do podmalówki.

— Skąd masz te pręgi na plecach? — spytał.

— Ach, jeszcze są? — zrobiła ruch ręki, jakby osłonić się chciała, ale machnęła ręką i zaśmiała się.

— Zamaluj je na zielono.

— A koszulę też zamalować na zielono?

Zaśmiał się i on.

— Śmieszna ja, prawda? Bo to mój ojciec był Murzyn, a matka biała. Z tego ja jestem w paski i koszuli nie potrzebuję, bo w Afryce ciepło!

— No i zapewne z tej racji murzyńskiego pochodzenia jesteś czyjąś niewolnicą.

— A jakże, tak wypada!

Spojrzał w jej oczy badawczo. Bezdenna, czarna, ponura była głąb tych źrenic.

— Biednaś ty! — rzekł poważnie.

Odwróciła oczy i zadrgały jej wargi, ale w tej chwili już się śmiała.

— Nie, ja Kaśka Wójtówna.

I zaśpiewała półgłosem:

A ja z puszczy Janówna,

A do tego Wójtówna.

— Co to za piosenka?

— Ot, taka chłopska. Stróżka jedna mnie nauczyła. Wesola ona? Co?

— Bardzo, tak jak i ty wesola dziewczyna.

— Co też ludzie wszystkie do mnie się uwzięli! Śmieję się i śpiewam, a każdy mi dogaduje, że jestem niewesoła. Licho wie, jak wam dogodzić! Taką już mam gębę nieszczęśliwą! Przez to i mało zarabiam, nie dogodzić ludziom.

— Nie oszukać ludzi — poprawił ją. — Słuchaj, umiesz ty cokolwiek szyć, prać, prasować, cerować?

— Ach, pan mi chce niby dopomóc? Iii, próżne zawracanie głowy! Ni do szycia mi, ni do cnoty pora.

— Jak chcesz. Nie miałem zamiaru dać ci cnoty, ale jak ktoś nie ma koszuli, chleba, a sine pęgi na plecach, tom myślał, że będzie wołał inne zajęcie.

— Niedługo bym się cieszyła tą koszulą i chlebem. Nie kij na plecach, a majcherek³¹⁹ pod żebrami bym poczuła, a ja żyć muszę! Ot, żeby mi pan dał piwa czy wódki, to mi więcej nic nie potrzeba.

Dał za wygraną nieproduktywnej litości i przestał o niej myśleć jako o istocie ludzkiej. Napoił ją piwem i malował, po godzinie odprowadził i prawie byłby rad, żeby nie chciała odrobić owych pięciu rubli. Ale przyszła nazajutrz. Był już znudzony i zniecierpliwiony, bo spotkał rano Maniusię na wystawie i był nią żywo zajęty.

Gdy ulicznica weszła, nie ukrywał swej niechęci.

— Słuchaj no — rzekł — już mi nie jesteś potrzebna, możesz sobie iść i nie wracać więcej.

— No, a jakże będzie, że mi pan dał z góry za pięć godzin? — rzekła, jakby spotkał ją ciężki zawód.

— To ci je daruję. I masz tu jeszcze trzy ruble.

Zapałały jej oczy, odtrąciła jego rękę z datkiem.

— Anim ja żebraczka, ani złodziejka, winnam panu trzy ruble, to je odniosę. No, pewnie moje ciało nie model dla malarza, to pan mnie brakuje. Dziękuję i za to. Tak tu czysto, syto i ciepło, to wiadomo, że nie dla mnie.

— Chodź, zjedz i ogrzej się — rzekł zdjęty litością.

— I, nie trzeba. Adju³²⁰ panu!

I wyszła prędko. Było mu na chwilę przykro, ale tylko chwilę. Potem rozłożył się wygodnie, i paląc papierosa, rozmyślał o swej „dogaressie”, jak stale Maniusię nazywał. Epizod był na najlepszej drodze, wszystkie fazy Brzechwa już naprzód odgadywał, obrachował nawet postępowe terminy, wiedział, kiedy Manusia ulegnie. Znał znakomicie taką kategorię kobiet znudzonych, ciekawych, żądnych wrażeń, próżnujących w dostatku.

— Wyjadę stąd po Wielkanocy — zdecydował, biorąc się po długim rozmyśleniu do malowania.

Minęło parę tygodni. Brzechwa bywał w świecie, żył z kolegami, bawił się po knajpach, tylko nie przyjmował nikogo w pracowni, nawet służby siostry nie dopuszczano sprzątaniam i zerwał drut od dzwonka. Przychodził tam zwykle późno w nocy, rano wychodził do siostry, potem wracał i bawił kilka godzin do obiadu, który najczęściej spożywał w restauracji.

Ta tajemniczość i warowność pracowni sprawiła, że Sulicki uczuł się bardzo uhonorowany, gdy go Brzechwa zaprosił wraz z żoną, by zwiedził jego pustelnię. Dnia tego ustrojono pracownię kwiatami, wyperfumowano, w jadalni zastawiono lekką zbytkowną przekąskę. Suliccy przyszli o oznaczonej godzinie, zabawili dość długo, wesoło i przyjemnie. Radca wyszedł trochę nawet podchmielony, Manusia rozmarzona, kryjąc usta w olbrzymi bukiet pąsowych gwoździków, który jej Brzechwa podał do karety przy pożegnaniu. Nazajutrz Sulicki otrzymał z dowcipnym bilecikiem szkic *Głodu*, który mu się bardzo podobał. W ten sposób portret ulicznicy znalazł się u Sulickich w gabinecie.

Zrobiono mu złote ramy i radca pokazywał z triumfem wszystkim znajomym.

Model szkicu zastąpił raz drogę Brzechwie, gdy w południe szedł do pracowni. Czatowała snadź na niego i rzekła:

— Pan się tak teraz zamyka, że bez wytrycha się nie dostać. Ot, odnoszę panu dwa ruble.

— Co za dwa ruble? Oszalałaś? Nic mi nie jesteś winna. Dajże pokój!

— Com winna, to wiem. Tego panu nie wrócę, bo nie mam i mieć nie będę. A te dwa ruble to niech pan bierze.

³¹⁹*majcher* — nóż. [przypis edytorski]

³²⁰*adju* (z fr., właśc. *adieu*) — do widzenia; żegnam. [przypis edytorski]

Kaszlała mocno i była jeszcze bardziej nędzna i znękana. Siła się bezskutecznie na śmiech.

— No, no, jak chcesz. Wezmę te głupie dwa ruble i oddam jakiej twojej koleżance na rogu ulicy. Za to wstąpie i odpocznij trochę. Nieświeźnie ci idzie, uważam.

Weszła i już bez proszenia i namowy zjadła, co tylko jej podał. Nie mówiła nic, pożerała jak zwierzę wygłodzone, potem pod wpływem paru kieliszków wina stała się rozmowniejsza.

— Aha, bryndzę miałam z kredą! Któregoś ranka wstaję, a tu ani rusz. Kolki w pierśsiach, gorączka; myślałam: koniec. Tydzień przeleżałam. A tu i z mieszkania wysypali, a teraz Józefa wzięli do ula³²¹ na miesiąc, no i ten, psiakrew, kaszel psuje mi zarobek.

— No, więc gdzie teraz mieszkasz?

— At, po ludziach. Jakie tam moje mieszkanie! Graty poszły na komorne. Łóżko tom wykradła, a że nie było tam gdzie wstawić, tom sprzedała. Śpimy na ziemi u jednej znajomej.

— Jak to śpimy? Ty i kto?

— Ja i mój mały.

— Masz dziecko?

— Co się pan dziwuje? Mam, dwa lata skończył, jeszcze nie chodzi, słabe, taką wielką ma głowę. Powiadali, nie będzie żył, a żyje. Będzie żył! Prawda, panie, że takie słabowite, to byle przeżyło lat parę, to się poprawi? Mnie różnie bywa, ale on nigdy głodny nie był, ani jednego dnia, i koszulę ma, i pierzynkę — wszystko, co mu trzeba. Ho, ho! Żeby go kto ukrzywdził!... Zresztą to takie dziecko, co nie dokuczy nikomu, czasem tylko jak kocię piszczy, a to dzień i noc cichutko sobie leży. Może i dobrze, że nie chodzi, bo gdzieby to chodziło w tej ciasnocie. Tak to nikomu nie zawadza.

— A ojciec? — pytał nieśmiało Brzechwa.

Kobieta nagle umilkła. Oczy jej, prawie jasne, gdy mówiła o dziecku, zaszły jakby czarną chmurą. Utkwiła je w próżnię nieruchomo, przez długą chwilę. Zerwała się nić zwierzeń i szczerości, odpowiedziała krótko, z pogardliwym rzuceniem ramion:

— Oho, jeszcze pan chce, żeby i ojciec był. Taki zbytek.

— A dawno ty tak żyjesz?

— Dawno, nie dawno. Może dwa lata. Długo!

Zdawała się upojona jedzeniem i ciepłem, głowa opadła bezsilnie.

— Pójdę już — rzekła, wstając z westchnieniem. — Dobrze tu, ale niezdrowo. Potem wszędzie zimno, straszno, obrzydliwie, duszno. Teraz to mieszkam na Granicznej, u Julki rudej. To tam w stancji mieści się siedem osób, a wieczorami schodzą się na karty inni, bo jej brat lubi kompanię. Jak leżałam chora, to dziw, że mnie nie rozdeptali.

— Zostań i zaśnij na otomanie.

— Eee, pan żartuje!

— Wcale. Idę malować. Zbudzę cię, jak będę wychodził.

— Pan, dalibóg, dziwny człowiek. Nie boi się pan, że ja co ściagnę i drapnę?

— Co prawda, nie pomyślałam o tym.

— Czy tu do pana przychodzą kobiety?

— Przecie i ty jesteś.

— Ho, ho! Do pana to pewnie przychodzi jedna. To ci musi być pierwsza klasa!

— Nie, żadna nie przychodzi, żadnej nie chcę.

— I, albo to prawda?

— No, śpij, pilno mi do roboty!

Zwinęła się w kłębek na otomanie, podesławszy swój żakiet pod nogi, żeby dywanu nie zbrudzić, i po chwili zasnęła.

Ale w godzinę potem już weszła do pracowni.

— Może panu co posłużyć? Może co sprzątnąć? Ja potrafię — rzekła prosząco.

— Koniecznie chcesz? No to weź i wymyj mi tamte pędzle — zaśmiał się.

Spełniła z widoczną radością polecenie, pościierała kurze, sprzątnęła zeschłe kwiaty, potem popatrzyła na niego, a widząc, że jest bardzo zajęty i że na nią nie uważa, wysunęła się cicho.

³²¹ul (gw., pot.) — więzienie, areszt. [przypis edytorski]

Cały tydzień następny Brzechwa nie zachodził do pracowni. Gdy się zjawił po tej przerwie, miał kapelusz nasunięty na czoło i podniesiony kołnierz paltota, przemknął szybko przez bramę, widocznie chciał być jak najmniej widziany w kamienicy.

W jakiś czas po nim weszła drugą bramą kobieta ciemno ubrana, w gęstej woalce³²². Na podwórzu obejrzała szyldy i numery, jakby szukała czegoś, potem weszła szybko na schody. Gdy mijala drzwi pracowni, te się otworzyły, kobieta wślizgnęła się do środka.

Na dworze dnia tego było chmurno i śnieg padał, mało kto wychodził z tych, którzy spacerują dla przyjemności.

Od dnia tego Brzechwa wpadał do pracowni nieregularnie, o różnych godzinach i przebywał dłużej lub krócej. Sztalugi były zawieszone płachtą, pędzle nietknięte. Za każdym razem kobieta zawoalowana przychodziła w czasie jego bytności i spędzali razem parę godzin.

Pewnego dnia, gdy byli sami, bezpieczni, w głębi mieszkania, usłyszeli ze zgrozą kroki w sąsiednim pokoju. Brzechwa się zerwał i otworzył drzwi.

Na środku pracowni obłożona, ociekająca wodą, straszna w swych łachmanach, stała jego przygodna uliczna modelka.

— Czego tu? — krzyknął ze złością. — Jakes się dostała?

— Zatrask otwarty, weszłam... — wybełkotała.

— Idź do diabła! Jak śmiesz tak wlać?

Usuwał ją prawie przemocą.

— Niech pan mnie ratuje! Mały umiera, nie mam na doktora — wybełkotała.

Ale on był rozdrażniony, nie słuchał.

— Mówię ci, idź stąd! — krzyknął ostro.

Zawróciła się, zatoczyła, podeszła do stołu, coś chwyciła zeń, nie zauważył na razie nawet. Odetchnął, gdy za nią drzwi wchodowe zatrzasnął, i wrócił szybko, by uspokoić swą towarzyszkę.

Ale nastrój erotyczny był zerwany. Nie słuchając jego tłumaczeń, zdenerwowana, rozdrażniona, obrażona, wyszła, naprędce się ubrawszy.

Gdy został sam, odczuł dziwny niesmak z tego całego zajścia. Zły był na siebie za brutalne wypędzenie nieszczęśliwej nędzarki i żal czuł do swej kochanki za scenę i wybuch złości; za wypadek, w którym o tyle tylko był winien, że nie docisnął zatrasku. Postanowił jednak po namyśle iść ją przebłagać, a że to właśnie był wtorek, ubrał się i udał na przyjęcie do Sulickich.

Manusia przyjęła go bardzo sztywnie. Była mocno upudrowana dla zamaskowania łez. To go wzruszyło i gdy tylko znalazł sposobność chwili poufnej rozmowy, zaczął się tłumaczyć i przeproszać.

Była niewzruszona, nieufna i obrażona.

— Doznałam obelgi, której się nie wybacz — szepnęła zimno. — Może pan być przekonany, że na spotkanie z *takimi* kobietami więcej się nie narażę. Czy pan mi odnosi broszkę?

— Jaką broszkę?

— Zostawiłam na stole tam... u pana — wymówiła z trudnością, szeptem.

— Nie dostrzegłem. Jutro odniosę, ale doprawdy to była kobieta prosząca o wsparcie. Przysięgam!...

— O, nie potrzebuję kłamliwych przysięg — rzuciła z miną królowej i odeszła majestatycznie.

Przez cały wieczór nie zamienili więcej ani słowa.

„Odniosę jutro broszkę, będzie sama, to się chryja skończy” — myślał filozoficznie, wracając do domu.

Nazajutrz daremnie szukał w pracowni broszki i zupełnie spokojny, że jej tam nigdy nie było, poszedł do Maniusi o godzinie, gdzie wiedział, że nikogo z rodziny w domu nie znajdzie.

— Moja broszka? — było pierwsze słowo.

— Nie ma jej u mnie. Musiała się pani pomylić, nie mieć jej onegdaj na sobie.

³²²woalka — przezroczysty materiał, który ozdabia kapelusz damski, zazwyczaj zakrywający twarz. [przypis edytorski]

— Jak to? Co pan mówi? — zawołała, czerwieniąc się ze strachu i gniewu. — Zdjęłam ją przecie, położyłam na stole. O, Boże, broszka z węgierskim dukatem, pamiątka po matce mego męża, klejnot familijny. Ach, ja nieszczęśliwa, co ja teraz pocznę! Ukradła ją ta uliczna dziewczka, ten szurgot, pańska kochanka! Pfuj, w jakie błoto weszłam!

Poczęła spazmatycznie płakać, nie zważając, że jej z tym nie do twarzy, nie maskując się, szczerze, prawdziwie, zła, tchórzliwa, głupia, płytka, skruszona grzesznica, znowu cnotliwa, przejęta skruchą, bo mogła być skompromitowana.

On odczuł do niej raptowny wstręt i wstyd, że jej kiedykolwiek pożądał, że miał złudzenia, że był kochany, że mu się wydała ponętna.

— Niech się pani uspokoi i opanuje wzburzenie, broszkę odnajdę i odeślę — rzekł, wychodząc szybko, bo czuł, że gdy pozostanie dłużej, nie potrafi ukryć tego, co mu się gwałtem cisnęło na usta.

Wprost stamtąd pojechał na ulicę Graniczną i zaczął od domu do domu szukać rudej Julki.

Była to ciężka praca, ale że nie żałował napiwków stróżom, dotarł nareszcie do kamienicy, gdzie miejscowy cerber objaśnił go, że tak zwana ruda Julka była zapisana na tablicy jako Agnieszka Bryczyńska, kelnerka, i mieszkała w oficynie pod numerem 37.

Było już późno, podwórze długie i ponure, pełne snujących się obdartusów, ale Brzechwa odmówił, gdy stróż mu zaofiarował swą eskortę, i poszedł śmiało sam.

W izbie parterowej, do której zapukał, było gwaro. Musiał mocno kołatać, zanim jakiś przepity kobiecy głos wrzasnął:

— No, czego tam? Kto?

Otworzył i rozejrzał się. Pod oknem, w głębi, kilku mężczyzn grało w karty. Parę butelek wódki mieli pod ręką, palili papierosy i dym gryzący napelniał izbę. Trzy łóżka, pełne gałganów, zajmowały resztę miejsca. Przy kuchence, w kącie, jedna kobieta się myła obnażona, druga czesała się, paląc papierosa. Na jednym z łóżek spał w butach i ubraniu jakiś drab, na drugim jęczała trzecia kobieta, snadź ciężko chora.

Gdy Brzechwa wszedł, grający nawet się nie obejrżeli, klócili się zajadle. Kobiety, zajęte strojami, wlepiły węń zdumione, łakome oczy.

— Czym można służyć? — spytała z zalotnym uśmiechem ta, co się czesała, ruda, snadź gospodyni mieszkania.

— Czy tu mieszka taka czarna, nazwała się Kaśka Wójtówna?

Obie kobiety wybuchnęły cynicznym śmiechem.

— Patrzcie, jakie ci ta miała stosunki! Pi, pi!... Józef, słyszysz, potrzebują twojej Kachny!

Ruda Julka szturchnęła śpiącego draba.

— Psiakrew, nie ruchaj, bo jak cię zdzielię! — zamruczał, widocznie już pijany.

— Nie zastałem jej, widzę — rzekł Brzechwa.

— Wszystko jedno, mogę ją zastąpić. Jej to chyba już nikt nigdzie nie zastanie.

— Dlaczego? Wyniosła się? Czy to tylko na pewno ta, której szukam? Tamta miała dziecko.

— Hale, ładne było dziecko! Dobrze, że już go nie ma.

— Umarło?

— A cóż miało takie żyć! Gniło i zgniło.

— Dziś umarło?

— Wczoraj. No, jak przysła z miasta, to już zziębło.

— Ona gdzie?

— A lichy ją wie! Zabrała trupa w chustkę i gdzieś poniosła.

— Jeszcze wczoraj?

— No, toć mówię. Wpadła jak zwariowana do tej pokraki, jak do cudu. Mówię: „Już ci doszło, masz na pogrzeb?”. A ta dawaj głowę walić o podłogę, a potem porwała na ręce, prosto w drzwi i poszła. Dziś rano Józef przyszedł z ulą i ot, czeka na nią. Hale, doczeka się!

Drab musiał dosłyszeć, rozbudził się, bo się dźwignął i wśród pijackiej czkawki wybełkotał:

— Psiakrew, doczekam się czy nie, to mniejsza! Znajdę, odszukam, ściągnę rachunek za ten miesiąc, nie schowa się ode mnie.

Brzechwa stał, nie wiedząc, co czynić. Wreszcie zwrócił się do draba:

— Ona mi bardzo potrzebna. Służyła mi za modelkę. Malarz jestem, oto mój adres i trzy ruble, dam jeszcze dziesięć, gdy mi ją kto sprowadzi lub wskaże, gdzie jest. Czy to jej prawdziwe imię i nazwisko? Tak zapisana w policji?

— Pewnie, że tak zapisana — ziewnął drab, biorąc łapczywie pieniądze. — No, kiedy ona jeszcze może dać dziesięć fajgli³²³, to warto poszukać zaraz. No, do rana to ją ją złapię i przyprowadzę.

— Ma ci ten malarz pomidorowy gust! — rzuciła pogardliwie ruda Julka. — Dziesięć fajgli za te gnaty!

— Stul gębę, psiajucho! — krzyknął drab.

Kobieta odpowiedziała mu gradem wymysłów. To nareszcie zwróciło uwagę graczy, obejrżeli się.

Brzechwa spiesznie wyszedł, słyszał na podwórzu, że w izbie powstał krzyk i razy, i aż się dziwił, że wydostał się z tej jaskini żywy.

Cały następny dzień przesiedział w pracowni, wyglądając draba na próżno, zdenerwowany, zniecierpliwiony, klnąc w duchu cały świat, kobiety i siebie.

Wieczorem ktoś do drzwi zaskrobał, dłoń, szukająca klamki, macająca jakby na oślep. Otworzył, stała przed nim ulicznica.

— Ano, jesteś przecie! — zawołał. — Wzięłaś stąd broszkę? Coś z nią zrobiła?

Oczy miała otwarte, ale bez wzroku, osłupiałe, usta trochę otwarte, ale nie rzekła słowa.

Wyciągnęła spod chusty rękę zgrubiałą, brudną, umazaną ziemią czy błotem, na dłoni błyszczła broszka.

Porwał ją z odetchnieniem ulgi i dopiero na jej wygląd i twarz zwrócił uwagę.

— Pochowałaś dziecko?

Skinęła głową i zawróciła się, by odejść.

Zatrzymał ją za ramię.

— Dokąd idziesz? — zawołał przerażony.

— Do małego — odparła.

— Zostań! Opamiętaj się! Gdzieś ty była te dwa dni? Szukałem cię u rudej Julki. Nie wracaj tam, tyś chora!

Popatrzyła nań, jakby budziła się ze snu, jakby starała się zrozumieć.

— Nie ukradłam broszki — rzekła powoli, sennie. — Nic nie mam, nic nie mam, odniosłam, pójdę do małego, och, będę spać, spać — całą noc. Nie pójdę już na ulicę, nie potrzeba. Mam dwie fuksje i kanarka w klatce, ojciec przyjdzie o jedenastej. Mały też śpi, zdrów!

— Poczekaj, przeprowadzę cię — rzekł, tknięty przecuciem, że albo mówi w gorączce, albo jest obłąkana.

Zawrócił do mieszkania, chwycił tylko palto i kapelusz. Już jej na schodach nie było, zeszedł szybko na dół do bramy, stróż jej nie widział, musiała pójść drugą stroną.

Ale gdy minął podwórze i dostał się do drugiej bramy, i tam nikt jej nie zauważył. Jak szary cień przemknęła i utonęła w tłumie ulicy. Brzechwa stanął bezradnie na chodniku, patrząc tu i tam.

— Przepadła — szepnął.

Spojrzał na zegarek. Była siódma, wrócił śpiesznie do pracowni, przebrał się i poszedł do Sulickich.

Radca był na posiedzeniu. Manusia wybierała się do ciotek, ale w ostatniej chwili dostała migreny i wyprawila w swym zastępstwie matkę.

W eleganckim negliżu przyjęła go pomimo bólu głowy i wprowadziła do buduaru, słabo oświetlonego.

Nie była już sztywna, z lekka nadąsana, pragnąca przeprosin i pojednania. Nie spytała o broszkę, a gdy ją podał, rzekła z zalotnym grymasem:

— Ach, ile ja przesłam zgryzoty i strachu z pana powodu!... Powinnam nienawidzić!

— Strachu? Co pani mogło grozić?

— Jak to co? A gdyby się broszka nie odnalazła?

³²³fajgiel (daw.) — rubel. [przypis edytorski]

— Och, byłaby po paru dniach akurтна jej kopia.
 — Dobrze panu mówić. To przecie pamiątka.
 — Po matce męża pani. Mój Boże, pani aż tak szanuje takie pamiątki!
 Roześmiał się. Uraziło ją to, poczuła w jego głosie lekceważenie i szyderstwo.
 — Pan w ogóle nie ma pojęcia o jakimkolwiek poszanowaniu!
 — Niestety! Nikt mnie tego nie nauczył.
 — Wierzę, sądząc po pana niewybrednych gustach.
 — Mianowicie? — spytał, patrząc na nią bystro.
 — No, kiedy uprawia pan stosunki ze złodziejkami!...

Wstał, czując, że kipi, że jeszcze chwila, a powie słowo obelgi tej kobiecie „z porządnego towarzystwa”.

— O, pani, kto z nas nie jest złodziejem? Wszystko zależy od punktu widzenia. Szczęściem, złodziejka odniosła pani klejnot rodzinny, u mnie zapomniany. Nie grozi pani nic. Pozwoli się pani pożegnać. Jutro wyjeżdżam.

Manusia zachwiała się, krew jej uderzyła do głowy.
 — Jak to? Pan odjeżdża? To niemożliwe! O, Boże! A, a, a cóż będzie ze mną? Z nami?
 — Zapomnimy, jak każdej zabawy. Nas przecie stać na taką zabawę z nudów! Żegnam panią.

— Potwór! Oprawca! O, Boże, com ja uczyniła, nieszczęsna!
 Padła na otomanę, kryjąc głowę w poduszki.
 On nawet nie spojrział na nią i wyszedł.
 — Rok nie spojrzę na żadną — zamruczał, schodząc na dół.

Następnego dnia składał pożegnalne wizyty. Wieczorem zaprosił kolegów na kolację i tam któryś najpóźniej przybyły rzekł:

— Czytaliście wieczorne gazety?
 — Nie. Co tam ciekawego?
 — Ano, epilog sprawy Morzyńskiego.
 — Co to Morzyński?
 — Nie pamiętacie? Przed paru laty zabił go posłaniec kamieniem.
 — Ach, jego narzeczona poszła za tego starego piernika Sulickiego.
 — No, ten. Otóż wtedy daremnie szukano jakiejś jego kochanki, córki owego posłańca. Aj, głośna była sprawa. Stuch go bronił.

— Więc co?
 — Dziś rano na grobie Morzyńskiego na Powązkach znaleziono trupa kobiety. Jakiś drab znalazł i zawiadomił stróżów. Gdy ją podjęto, znaleziono poruszoną ziemię, zaczęto szukać i wydobyto płytko zagrzebane zwłoki dziecka.

— To pewnie moja — zawołał Brzechwa.
 — Co: twoja?
 — Modelka. Wczoraj jeszcze u mnie była, wydawała się obłąkana po śmierci dziecka. Jak to? Więc ona była kochanką narzeczonego tej pięknej Sulickiej?

— Prawdopodobnie.
 — To okropne! Cóż, otruła się czy zabiła?
 — Podobno zmarła z wycieńczenia. Cały romans.
 — Romans? Dramat raczej! Brr! Jakie to wszystko ohydne! Jaka to była dziwna istota!
 — Ech! Może to wcale inna. Zresztą możemy się dowiedzieć. Ot, tam, przy stoliku pod oknem, siedzi Stuch. Znam go, to się spytam. Chcesz?

— Chodźmy razem, przedstaw mnie.
 Poszli. Adwokat badawczo spojrział na Brzechwę, a na zapytanie odparł:
 — Nie wiem, czy ta umęczona była pańską modelką, ale z pewnością była Mańką Gedrasówną. Widziałem ją w prosektorium.

— Czarna, chuda, średniego wzrostu, okryta chustą w wielkie kraty?... Tak ubrana wyszła wczoraj ode mnie. Gonilem za nią nawet, czując, że jest obłąkana, ale zginęła w tłumie.

— Ach, ona od dawna jest zgubiona, ma teraz spokój. Nie trzeba jej żałować, ale tych, jej podobnych, które jeszcze żyją dla tak zwanej rozrywki i przyjemności ludzkiej.

— I leży dotąd w prosektorium?
 — Nie. Zapłaciłem za jej pogrzeb.

Śmierć, Kobieta,
 Mężczyzna, Kochanek,
 Dziecko, Pozycja społeczna,
 Obyczaje

Tu spojrział znowu badawczo na Brzechwę i dodał:
 — Mieszkam w tym samym domu, gdzie pan miał pracownię, o piętro niżej tylko. Spotykałem pana parę razy na schodach.
 — To dziwne, że w takim razie i tej dziewczyny pan nie spotkał. Przychodziła prawie codziennie o dwunastą.
 — O tej porze nie jestem nigdy w domu. Widywałem inną pana... modelkę — rzekł. Brzechwa nic nie odpowiedział. Zrozumiał, że Stuch wiedział wiele.
 Tu się odezwał kolega malarza.
 — Jednakże pani Sulickiej nie będzie miło przeczytać o tym wypadku. Podobno przechorowała ten skandal z narzeczoną.
 — Pani Sulicka jest ponad skandalem. Wtedy może istotnie, jako pannie, groziła kompromitacja, ale teraz jest w niezdobytej twierdzy, pod strażą męża, towarzystwa, praw, przywilejów, fortuny. Ręczę wreszcie, że mało kto, a ona może najmniej, pamięta sprawę Morzyńskiego. To są takie sezonowe epizody.
 — Pan zna panią Sulicką? — spytał go Brzechwa.
 — Rosła i wychowała się na moich oczach. Byłem korepetytorem jej braci...
 — No, ci panu sławy nie przysporzą — zaśmiał się malarz.
 — Ani ja im dogadzałem, bo mnie stamtąd wyrzucono sromotnie — odparł Stuch z uśmiechem. — Urażałem za dużo ich pojęcia przyzwoitości i moralności. To jest rodzina, szanująca stare zwyczaje, tradycje, bogobojna, konserwatywna i porządna, a ja — kapcan i warchoł. Zgubiłem się do reszty obroną Gedrasa i nie znam mnie już teraz.
 — Ręczę, że posadzą pana o umyślne wygrzebanie tej historii z trupem na grobie Morzyńskiego.
 Stuch się zamyślił, gorzki uśmiech miał na ustach.
 — Wątpię. Teraz oni są za dużo spokojni, pewni, bezpieczni, syci, żeby chcieć myśleć, przypominać, gniewać się, wyciągać jakieś wnioski. Zresztą to temat nieprzyzwoity, obrzydliwy i w dobrym towarzystwie unikany, żenujący.
 W każdym razie epizod z Gedrasami wyczerpany. Ma on, na co zasłużył, ma i ona słuszną karę za grzech i bezwstyd. Jest na świecie nagroda na cnotę w uznaniu i szacunku ludzkim, jest pogarda i ohyda dla jawnego występku i obrzydzenie nawet dla takiego trupa. Tak jest!

Pozycja społeczna

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rodziewiczowna-joan-viii-1-2>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Rodziewiczówna, Joan. VIII 1-12, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Barbara Zadrożny, Izabella Góral, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-8067-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).